

A vibrant, stylized illustration of a party scene. The background is a deep purple. In the center, a brown deer head with white antlers and a red tongue sticking out is integrated into the letter 'ę' of the title. Surrounding the text are various party elements: a hand holding a red and white party mask in the top right, a blue sneaker in the top left, a woman with blonde hair holding a brush in the bottom left, a woman with purple hair and sunglasses holding a drink in the bottom center, and a woman with blonde hair in a red top in the bottom right. The title 'Tobie się uda' is written in a large, bold, yellow font.

Tobie się uda

MILENA WÓJTOWICZ

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Tobie się uda

MILENA WÓJTOWICZ

KRAKÓW 2023

Copyright © by Milena Wójtowicz 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Piotr Chojnacki

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Kornelia Dąbrowska

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc, Natalia Patorska

Okladka – Agata Wawryniuk

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN epub: 9788382108491

ISBN mobi: 9788382108484



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr

Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaż

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

Prolog

Iwona Borkowska miała prestiżową pracę, atrakcyjnego męża, interesujące hobby i urodę z rodzaju tych oszałamiających.

Nie miała za to kochanka. Ani jednego, wbrew temu, co sądzili ekspedientka z piekarni, sąsiadka z naprzeciwka, listonosz i właścicielka pekińczyka imieniem Pufcio.

Co więcej, głęboko wierząca w cnotę małżeńską Iwona długo nie zdawała sobie sprawy, o co posądza ją całkiem spore grono osób. Być może nadal trwałaby w tej słodkiej nieświadomości, gdyby okolicą nie wstrząsnęła sprawa o wiele bardziej zajmująca od byle romansu, a mianowicie – morderstwo!

Gdy tak stała w swoim ogródku przy płocie i ze zgrozą patrzyła na zgraję umundurowanych policjantów kręcących się po sąsiedniej posesji, po trawniczku, na którym jeszcze w niedzielę piękny i żywy Krystian Pożalka przeżył mięśnie w trakcie treningu siłowego, Iwona pomyślała, że ten dzień nie może być już bardziej tragiczny.

I wtedy oczywiście tuż za jej plecami pojawiła się zmora ostatnich kilku dni – Anatola, ciotka męża Borkowskiej – i teatralnym szeptem, słyszonym chyba aż pod Ślężą, zadała pytanie.

– Ale przyznaj się, Iwonko, tak między nami, kobietami. Miałaś w końcu z tym martwym typkiem romans czy nie?

Zszokowana i zaskoczona Iwona odwróciła się ku ciotce i zastygła niczym słup soli, bo dotarło do niej, że nietaktowne pytanie szanownej krewnej zainteresowało co najmniej połowę zespołu kryminalistycznego zajętego zbieraniem śladów w ogródku Krystiana, prawie wszystkich sąsiadów obserwujących bacznie rozwój sytuacji ze swoich posesji i jeszcze przypadkowych gapiów, którzy sterczeli przy wylocie ulicy.

A na domiar złego policjant w cywilu, przystojny jak sam diabeł, w czarnej koszuli kusząco rozpiętej pod szyją, niemal jednym susem

znalazł się przy płocie, nonszalancko oparł się o sztachety i pochylił ku obu paniom Borkowskim, omiatając je wręcz namiętnie chciwym spojrzeniem.

– Miała pani romans z ofiarą? – spytał głosem tak aksamitnym, że Iwone zaczęło się robić gorąco z przyczyn zupełnie niezwiązanych z morderstwem. – To fascynujące! Musimy o tym porozmawiać!

*

Jeśli chodzi o podejrzenia kuriera, to owszem, Iwona po zastanowieniu była skłonna przyznać, że może celowo pewne rzeczy mu zasugerowała.

Ale naprawdę nie spodziewała się, że wyniknie z tego taka afera!

Gość był nowy w rewirze i do tego rozwoził paczki naprawdę późnym popołudniem. Borkowska o tej porze nie spodziewała się już nikogo. Jej mąż Tadeusz bawił na nocnym rajdzie gdzieś pod Ślężą. Iwona, którą łono natury zwiedzane nocą i bez udogodnień cywilizacyjnych brzydziło, została oczywiście w domu. Miała w planach wieczór spa, a przed nim popołudnie pełne fitnessu w towarzystwie najnowszego nagrania trenera Józka, któremu prawie wierzyła, gdy ją zapewniał, że jedynie pięćset milionów przysiadów z obciążeniem dzieli ją od zadka z seksownej stali.

– Dawaj, serdeńko, specjalnie dla mnie, jeszcze, jeszcze!! – zachęcał donośnie z ekranu telewizora trener, udając równocześnie, że w machanie ciężarkami przy przysiadach wkłada tyle samo wysiłku co nieszczęsne, trenujące z nim niewiasty.

Borkowska stęknęła przeciągle z głębi swojego jestestwa. Zacisnęła mocniej dłonie na ciężarkach i już zabierała się do kolejnej serii, kiedy od fitnessu oderwało ją natarczywe walenie w drzwi.

Zostawiła Józka oraz hantle i poszła sprawdzić, kto o tej porze nie tylko zakłóca jej spokój, ale jeszcze, zamiast jak każdy dobrze wychowany człowiek poczekać przy furtce, wbija tak od razu do ogródka i pod same drzwi. Musiała mieć foch wypisany na twarzy, bo kurier zaczął się tłumaczyć, zanim jeszcze zdążyła mu odpowiedzieć na powitanie.

– Dzień dobry, dzwoniłem do furtki, ale nikt nie reagował, a widziałem światło, to myślę, zapukam, bo tu paczkę mam dla pana Tadeusza

Borkowskiego...

– Ja odbiorę, mąż jest w delegacji – wpadła mu w słowo Iwona, bo z salonu już dobiegały wezwania trenera Józka, by jego serdeńko się nie poddawało i nie odpuszczało, tylko oddało mu całe siebie, a zwłaszcza ten seksi tyłeczek.

Kurier, zamiast oddać paczkę, wciąż trzymał ją kurczowo przy sobie i miał przy tym bardzo dziwną minę. Iwona nagle uświadomiła sobie, że przyznała się widywanemu okazjonalnie, lecz w gruncie rzeczy obcemu facetowi, do nieobecności męża.

Na dodatek przypomniawszy sobie, że sąsiadka spod szóstki ostatnio coś nadawała o rosnącej przestępczości w okolicy, o napadach i o tym, że rozumie pani, my, kobiety, musimy się pilnować.

A ona właśnie niemal potwierdziła, że jest sama nie tylko teraz, ale i przez całą noc!

Gdyby ten typek chciał ją udusić, zamordować albo choćby okraść, to przecież mógł to zrobić prawie bez przeszkód!

– To nie znaczy, że jestem sama – dodała pospiesznie, opierając się o framugę drzwi wejściowych, żeby kurier przypadkiem nie próbował luknąć do środka.

– Dajesz, serdeńko! – wykrzyknął radośnie z telewizora w salonie trener Józek na znak, że mordercza seria burpeesów jeszcze się nie skończyła.

– Pan mi odda tę paczkę.

Borkowska właściwie wyrwała karton wciąż dziwnie osłupiałemu dostawcy. Rzut oka na logo wystarczył, żeby rozpoznała dostawę survivalowego szajsu Tadeusza. Ileż on tego zamawiał, cud, że mieścili się w domu z tym całym sprzętem i jeszcze stadem biednych wypchanych zwierzątek, świętą pamiątką po panu Borkowskim seniorze. Z nieprzyjemnych rozważań wyrwało ją gromkie pytanie zadane przez trenera, czy serdeńko się weźmie do roboty, czy on ma się bawić sam ze sobą.

– Dziękuję, do widzenia, Józek na mnie czeka – pożegnała się Iwona i zamknęła drzwi, dla pewności na dwa zamki, i jeszcze przystawiła

hantlami.

Tej nocy na wszelki wypadek spała z młotkiem pod poduszką, choć prawdę mówiąc, trening z Józkiem wymęczył ją tak, że nawet gdyby stado włamywaczy pościagało w nocy te cholerne poroża ze ścian, ona pewnie by się co najwyżej przewróciła na drugi bok.

*

Opinia ekspedientki z piekarni (i nie tylko jej) była prawdopodobnie logicznym następstwem sceny, jaką Iwona zrobiła w mięsnym. Właściwie trudno nawet mówić o scenie, co najwyżej o scence. Drobne nieporozumienie, do którego na pewno by nie doszło, gdyby ludzie w sklepie umieli się zachować. I czytać etykiety. I pilnować własnych spraw, a nie kultywować wścibstwo i złośliwość.

Stoiska z pieczywem i wędlinami sąsiadowały ze sobą. Iwona weszła do marketu, przywitała się z sąsiadką spod jedyńki czekającą na pokrojenie chleba i stanęła w kolejce po mięso tuż za znaną jej z widzenia panią w kostiumiku. Borkowska ją kojarzyła, podobnie jak pół okolicy, z tego, że chętnie wypowiadała się w lokalnych mediach na temat upadku obyczajów, dobrego wychowania, kultury, rodziny, patriotyzmu, planu zagospodarowania miejscowego dla dzielnicy Oltaszyn – dosłownie wszystkiego. Chyba wszyscy miejscowi dziennikarze mieli ją pozapisywaną w telefonach i uderzali do niej zawsze, gdy potrzebny był jakiś lokals negatywnie nastawiony do wszystkiego.

Pani w kostiumiku skończyła wreszcie kręcić nosem nad asortymentem i dokonała wyboru.

– Pani mi ukroi karczku wieprzowego, tego izraelskiego – poleciła młodej, zestresowanej ekspedientce z plakietką „Uczę się” przypiętą do bluzki.

Iwona parsknęła dyskretnie, a sprzedawczyni zamarła na jakieś trzy sekundy, po czym skojarzyła, że chodzi nie o Ziemię Obiecana, lecz o Góry Izerskie, i sięgnęła po właściwy produkt.

Najwyraźniej Borkowska nie była wystarczająco dyskretna, bo pani w kostiumiku zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem od stóp aż po czubek

głowy i jeśli sądzić po minie, nie była zachwycona tym, co zauważyła.

– Wędliny, proszę pani, to nie żart – oznajmiła chłodno. – Od razu widać, że pani w wygląd idzie i inne fiu-bździu. Wygląd przemija, to, co w garnku, zostaje. A mężczyznę, proszę pani, to trzeba karmić mięsem, bo się zlisi! – mówiła na tyle głośno, że słysząc ją było chyba w całym sklepie, a już na pewno przy stoisku z pieczywem, dokładnie tam, gdzie stała sąsiadka spod jedyńki, rozwodząca się wegetarianka.

– Mój mężczyzna nie je mięsa – wypaliła Iwona, zanim w ogóle do niej dotarło, co robi. Gdyby trochę przemyślała wypowiedź pani w kostiumiku, to zaczęłyby od ustalenia, jak w ogóle wygląda lisienie się mężczyzn i po czym takiego zliszonego faceta poznać.

– Ale pani tu w czwartek z mężem była i on żeberka kupował – zauważyła niepewnie ekspedientka. – I mówił do pani, że to jego ulubione.

Pani w kostiumiku już-już zaczynała lśnić blaskiem triumfu, a na to Iwona pozwolić nie mogła.

– Nie powiedziałam „mój mąż”, tylko „mój mężczyzna” – wycodziła.

I owszem, z perspektywy czasu była skłonna przyznać, że obecni w sklepie mogli z tego wyciągnąć mylne wnioski. A wszystko dlatego, że Iwona chciała komuś – całkiem słusznie! – utrząść nosa.

*

Natomiast zwidy sąsiadki spod czwórki były kompletnie nieuzasadnione. To znaczy, owszem, być może pod nieobecność Tadeusza Iwona urządziła babski wieczór. To nawet nie była impreza, bardziej interwencja... albo terapia. Celina, najlepsza przyjaciółka Iwony, zwykle poukładana i stabilna pod każdym względem, dostała nagle jobla na punkcie faceta. Teoretycznie nic dziwnego, gość idealnie się dla niej nadawał, sama Borkowska mogła to poświadczyć.

I szczęśliwie był do wzięcia, bo jego narzeczona opuściła ziemski padół w sposób gwałtowny i podejrzany. Tak podejrzany, że wrocławska policja nie wiedziała, czy posądzać o morderstwo Jana Zbendę, czy raczej Celinę Nowacką.

Celkę na wieść o tym, że jest podejrzana o morderstwo, początkowo szlag trafił. Zaraz potem doznała gwałtownego przyływu dylematów moralnych na tle tego, czy drobna potencjalna zbrodnia w życiorysie dyskwalifikuje mężczyznę idealnego czy nie. Takich problemów nie dało się rozwiązywać samotnie i na trzeźwo, więc z drugą przyjaciółką Celki, Matyldą, urządziły sabat w domu Borkowskich.

Być może sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli i w pewnej – dość później – chwili niezupełnie trzeźwa Matylda zaczęła wyrwać się na wolność, a konkretniej na ulicę, w poszukiwaniu taksówki, która miała je podwieźć tam, gdzie są młodzi studenci politechniki, ale na litość, niech pierwsza rzuci pustą flaszką ta, co się nigdy nie upiła na głupio z przyjaciółkami. I nie zachęcała potem donośnie koleżanki, żeby pokosztowała życia i wyrwała sobie tego studenta, bo jeśli nie teraz, to kiedy.

Poza tym dyskusje na temat podrywania młodszych facetów były najbardziej lajtową częścią wieczoru, niemal niewartym wspomnienia przerywnikiem między próbą odtworzenia rzekomego zabójstwa byłej narzeczonej mężczyzny idealnego a profilaktycznym planowaniem jego morderstwa.

Właściwie to miały fart, że sąsiadka nie była świadkiem tej bardziej krwiożerczej części wieczoru, bo dopiero by poszły plotki po osiedlu...

*

Pani od pekińczyka mogłaby być mniej wścibska i wtedy nie byłoby z nią żadnego problemu.

Ale nie, wyprowadzała tego psa, jakby była co najmniej strażnikiem więziennym z dobermanem, a nie agentką ubezpieczeniową z chodzącym podnóżkiem. I oczywiście zamiast pilnować, czy prowadzi to biedne stworzenie pyskiem do przodu (a gdyby ktoś Iwonę pytał, to trudno było poznać, gdzie ten kudłaty prostokąt ma nos, a gdzie ogon), łypała dokoła, na przykład na Borkowską, która symulowała prace ogrodnicze przy grządce z widokiem na ćwiczącego Krystiana.

Koleś regularnie ćwiczył na zewnątrz – sam się prosił, żeby robić mu za wdzięczną publiczność! Iwona właściwie wyświadczała mu przysługę. Dużo przysług!

Poza tym nigdzie w przysiędze małżeńskiej nie było o patrzeniu. Będę ci „wierna, wspierająca, cośtam, cośtam”, ale nie ślepa!

A tylko ślepa nie zerknęłaby choćby raz na ćwiczącego Krystiana – facet miał metr osiemdziesiąt wzrostu, mięśnie jak prawdziwy drwał, blond grzywę niemal dorównującą blaskiem temu, co Iwona sama nosiła na głowie, i wypielegnowaną brodę niczym u współczesnego wikinga.

Oczywiście Iwona patrzyła tylko, jak sąsiad trenuje, a potem przybiera pozy przed statywem z komórką, by zaspokoić swoich obserwujących fociami naprzężonych mięśni i nagiego torsu.

I naprawdę, pani od pekińczyka mogła sobie darować te oburzone stęknienia i westchnienia za każdym razem, gdy mijiała ogródek Iwony. W końcu Borkowska nie wytrzymała i spytała uprzejmie, czy może dać Pufciowi wody, bo strasznie biedaczyna sapie.

Właścicielka aż cała poczerwieniała i wyburczała coś o tym, że nie wypada. Iwona tylko wzruszyła ramionami. Jasne, nie wypadało. A kto regularnie ciągał biedne zwierzątko wzdłuż ulicy w godzinach treningów pięknego Krystiana, zamiast zabrać je do zacienionego parku? Pani od Pufcia nie musiała być takim psem ogrodnika, widoków starczyło dla wszystkich – dla niej, dla Iwony i dla tych dwóch tysięcy piętnastu followersów z insta.

*

Ale za ciotkę Anatolę i jej urojenia Iwona w żadnym razie nie zamierzała brać odpowiedzialności. Ciotka Anatola była wyłączną winą i odpowiedzialnością Tadeusza, który szlajał się aktualnie po jakichś górach, nieświadom, że powinien siedzieć we Wrocławiu i własną pierśią chronić żonę przed podejrzeniami sąsiedztwa i przy okazji przed mordercą, który najwyraźniej zaczął grasować w spokojnej dotąd dzielnicy.

Wieść o tym, że w bloku Anatoli wymieniano pionowy wodociąg i wyjątkowo uzdolniona ekipa budowlana zrujnowała jej przy tym doszczętnie łazienkę, spadła na Iwonę i Tadeusza tuż przed zaplanowanym wyjazdem w Bieszczady. On miał tam odbyć kolejny rajd, a ona być w lokalnym spa. Po jego biegach i jej relaksach zaszyli się razem jeszcze na dwa dni w przytulnym hoteliku, on triumfujący survivalista, ona gładka i pachnąca...

I te piękne plany zrujnował im rozbity sedes ciotki Anatoli.

Remont jej łazienki był nieunikniony, mógł jednak potrwać, bo podwykonawca ze wszystkich sił próbował zrzucić winę na spółdzielnię, a spółdzielnia twardo obwiniała podwykonawcę. Przez chwilę obie skłócone strony próbowały odpowiedzialność przypisać Anatoli – wszak to jej łazienka o powierzchni dwóch metrów i dwudziestu pięciu centymetrów kwadratowych była tak wypełniona sedesem i kabiną prysznicową, że utrudniała prace remontowe – ale ciotka zerknęła tylko na nich zimno znad swoich ogromnych szkieł i wspomniała coś o znajomym prawniku.

Oczywiste było, że w mieszkaniu bez łazienki można wegetować, lecz niekoniecznie mieszkać. Powiadomiony o sytuacji Tadeusz, przejęty niedolą jedynej żyjącej krewnej, od razu rzucił się na pomoc.

Mieli pokój gościnny, do tego z własną łazienką – w sam raz dla ciotki, która zamieszkałaby u swoich, na tyle blisko własnego mieszkania, że mogłaby doglądać remontu.

Pozostawał tylko jeden problem. Szanownej krewnej nie wypadało zostawić samej, nawet w domu, który wybudował jej świętej pamięci brat. Tadeusz miał zawody, wyzwania i medale, Iwona tylko zarezerwowane zabiegi kosmetyczne, którym równie dobrze mogła się oddawać w innym terminie albo i bliżej domu. Decyzja była oczywista.

I tym sposobem Tadeusz łąził po górach, Iwona nie leżała wysmarowana algami, a ciotka Anatola, która jakimś cudem w ciągu czterech dni zdołała przyswoić wszystkie lokalne plotki, stała w ogródku i rzucała w zasięgu słuchu policji obciążające uwagi.

Rozdział 1

W przypadku Iwony i Tadeusza sprawa była bardzo prosta. Poznali się na uczelni – ona, piękna i ambitna, studentka pierwszego roku ekonomii, wyjechała z rodzinnej Nysy na studia do ogromnego Wrocławia. On, trzeci rok prawa, wrocławianin z urodzenia, przystojny z twarzy, zamożny z domu.

Zaiskrzyło od razu. Zaczęli się spotykać i Iwona nawet zdążyła poznać Anatola i Halinę tuż przed tym, jak zginęli tragicznie w wypadku. Tadeusz nagle został zupełnie sam, co prawda formalnie dorosły, ale wciąż jeszcze za młody na taką samotność. Iwonę w pierwszej chwili sparaliżował strach. Spędziła wieczór w akademiku z Celiną i z butelką wina, masochistycznie pozwalając przyjaciółce rozkładać na czynniki pierwsze swoje uczucia. Czy było jej go tylko szkoda, czy naprawdę jej na nim zależało? I czy naprawdę chciała już teraz, w wieku dziewiętnastu lat, pchać się w poważny związek? Czy ten chłopak w ogóle był tego wart? Wino było tanie, Celka bezlitośnie analityczna, a wnioski jednoznaczne.

Przez resztę roku Iwona wspierała Tadeusza, podnosiła go na duchu, a jednocześnie stawiała na głowie, żeby nie zaniedbywać studiów. Sesję egzaminacyjną skończyła z samymi piątkami. Na drugim roku dostała wyróżnienie rektora. Na koniec trzeciego szczęście na egzaminach przynosił jej pierścionek zaręczynowy. Tadeusz tuż przed sesją ukląkł przed nią i poprosił o rękę. Rok czwarty i piąty spędziła, dopieszczając zdolności organizacyjne – godziła ze sobą studia, pracę, czas spędzony z narzeczonym i regularne spotkania z przyjaciółką.

Iwona kończyła studia z wyróżnieniem i poczuciem, że udało jej się już w życiu dużo, a uda się jeszcze więcej.

– Czyli Tadeusz uciekł na tydzień w góry, sam, a tobie zrzucił na kark ciotkę, żebyś się przypadkiem nie nudziła? – upewniła się najlepsza przyjaciółka Iwony, Celina Nowacka.

Siedziały jak zwykle w kuchni, żeby zminimalizować kontakt z trofeami myśliwskimi. Celka ubrana w typowe dla niej czerni i szarości, Matylda dla odmiany w intensywnym turkusie i czerwieni. Nawet włosy zrobiła pod stylizację – pół głowy w jednym kolorze, pół w drugim.

Iwona westchnęła znad kieliszków od szampana. Była niedziela po południu, więc nauczona doświadczeniem nie wystawiała nawet na stół niczego mocniejszego. Celka i Mati nie narzekały, chociaż Matylda Pawłowska z lekką podejrzliwością odniosła się do zaserwowanych przez gospodynię mimoz.

– Do soku pomarańczowego bardziej pasuje mi wódka – stwierdziła. – Jakoś tak patriotyczniej.

– Patriotyczny byłby sok jabłkowy z żubrówką – poprawiła Celina. – Ale daj spokój z wódką, jest niedziela, jutro korpulduki idą do pracy.

– Chyba że mają urlop – skorygowała Iwona. – I o dziewiątej rano mają być przytomne i promienne pod domem ciotki. Pij mimozę, dobra jest.

Matylda wzruszyła ramionami i zajęła się opróżnianiem kieliszka.

– Dobra. I taka bardzo w stylu znudzonych gospodyń domowych z amerykańskiego filmu. Wiesz, patologia za świeżo pomalowanym płótem i przyciętym trawnikiem.

– Wypraszam sobie...!

– Nie masz równo przyciętego trawnika, bo krzaki ci go porastają – wytknęła jej Celina. – Więc nie masz co wypraszać, nie łapiesz się.

– Właśnie! – zgodziła się Matylda, najwyraźniej nie chcąc przesadnie prowokować gospodyni. – U ciebie patusów nie ma, ale ci na początku ulicy, z trawnikiem jak pole golfowe...

– Inżynierostwo. Sprowadzili się parę miesięcy temu, zrobili remont generalny i wykarczowali cały ogródek.

– Inżynierostwo? – Matylda podeszła do okna i uchyliła firankę. Przez rosnące w ogródku krzewy próbowała dojrzeć dom na początku ulicy. –

Co to, dziewiętnasty wiek? O was jak mówią? Radcostwo?

Iwona prychnęła.

– O nas mówią Borkowscy. Ci nowi są dziwni, nie pamiętam w ogóle, jak się nazywają, on się prawie nie odzywa, a ona prawie każde zdanie zaczyna od „mój mąż, inżynier...”. Mati, odejdz od tego okna, i tak mi już narobiłyście ostatnio obciachu na pół ulicy.

– Ale szesnasta jest!

– Co jest o szesnastej? – zdziwiła się Celina.

– Mój sąsiad ćwicz w ogródku – wyjaśniła Iwona.

Celka obróciła się na krześle i zmierzyła Matyldę spojrzeniem pełnym potępienia.

– No co, zapamiętałam sobie – broniła się Pawłowska.

– Nie masz już sobie czym pamięci zajmować? Nic dziwnego, że Mołdawska spod czwórki uważa, że tu jakieś orgie urządza.

– Urządzasz orgie i nie zapraszasz? – oburzyła się Matylda. – Poprawka, mnie nie zapraszasz? Celki to rozumiem, nikt by jej nie zaprosił, bo jeszcze by się Jan dowiedział i zaczął mordować rywali...

Celina wywróciła oczami, ale nic nie powiedziała. Za rozsądna była, żeby dyskutować z rzeczywistością, a rzeczywistość przedstawiała się następująco: była narzeczona Jana Zbendy zginęła w podejrzanych okolicznościach, a Jan i nieznaną go wówczas w ogóle Celka znaleźli się na czele listy podejrzanych.

Fakty w tym przypadku wypowiadały się raczej skąpo. Na pewno Monika Malinowska, eks (jak twierdził Jan) narzeczona Zbendy, nie żyła. Na pewno Jan i Celina idealnie do siebie pasowali. Na pewno śmierć Malinowskiej została, bez przekonania, uznana przez policję za wypadek. Na pewno prowadzący śledztwo podkomisarz Zacharczyk w ten wypadek nie wierzył (ale przynajmniej przestał podejrzewać Celinę i zadowolił się samym Janem). I na pewno cholerny Jan ani razu jednoznacznie nie odpowiedział na pytanie, czy zabił Monikę.

Sama Celka podchodziła do sytuacji realistycznie, z dystansem i sarkazmem. Jak twierdziła, wolałaby przeżywać romantyczną historię

z jakąś kliszą typu wspólny parasol w deszczu, a nie z trupem w tle, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, zwłaszcza jeśli się ma wysokiego, niebieskookiego bruneta z wręcz idealnie dopasowanym do jej potrzeb zestawem cech osobowości. Możliwość, że ów mężczyzna idealny morduje, była nieprzyjemna, lecz nie na tyle, żeby Celinę od niego odstraszyć.

Była nieźle w gościu zakochana, ale kłapek na oczach nie miała. Nie miały ich też jej przyjaciółki. Z tego powodu Celka, Iwona i Matylda podjęły pewne kroki, żeby zabezpieczyć Nowacką na wypadek, gdyby wykańczanie narzeczonych weszło Janowi w krew.

– Nie urządzam żadnych orgii. I nie mogę się patrzeć, jak Krystian ćwiczy – powiedziała ponuro Iwona. – Trochę wtopiłam i teraz powinnam spasować...

Celina wyprostowała się gwałtownie, a Matylda porzuciła okno i firankę.

– Ty? Ty wtopiłaś? – upewniła się niedowierzająco Nowacka. – Ty, cnota małżeńska, „mnie już tylko wolno patrzeć”, która od pierwszego roku studiów świata poza Tadeuszem nie widzisz, ty niby wtopiłaś?

– Opowiedz nam o tym koniecznie! – zażądała chciwie Matylda.

Borkowska spojrzała na nią krzywo. Mati była kimś, do kogo trzeba się przyzwyczaić. Aż do tej całej hecy ze Zbendą Iwona nie miała potrzeby tego robić – Pawłowska była przyjaciółką Celiny, współlokatorką z czasów studiów, towarzyszką singlowskich imprez. Ale z powodu Jana i podejrzeń policji nagle obie, Iwona i Matylda, musiały połączyć siły i razem wspierać Celkę. A także, w razie gdyby Jan okazał się jednak seryjnym zabójcą narzeczonych, miały go wspólnie zamordować.

Takie plany zbliżyły ludzi, nawet tak różnych.

– Mogłabyś się tym mniej rajcować – zauważyła potępiająco.

– Sorry, ale u Celiny się wszystko uspokoiło, a mój organizm pragnie sensacji. Celka, trzymaj ręce przy sobie, to twoja wina! Ty zaczęłaś!

– No tu akurat Mati ma rację – zgodziła się Iwona. – Ty zaczęłaś, ale to nie znaczy, że ja muszę kontynuować!

– Ale kontynuujesz! – wytknęła jej natychmiast Nowacka. – Dawaj, bo Mati źle znosi suspens, zobacz, całą mimozę już wypła.

Pawłowska spojrzała na swój kieliszek. Faktycznie był pusty.

– Wchodzi jak soczek – stwierdziła odkrywczco. – Siedź, sama sobie doleję. Ty mów.

Iwona wzięła głęboki oddech.

– Podłożyłam się w mięsnym – wyznała.

Obie, Celina i Matylda, zmierzyły ją identycznymi spojrzeniami pełnymi absolutnego, poirytowanego niezrozumienia.

– Jak podłożyłaś się w mięsnym? Na wędlinach?

– Nie dosłownie! Podłożyłam się i wyszłam na kobietę niewierną.

W kuchni przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko bulgotaniem szampana, który Matylda dolewała do kieliszka w absolutnie niewłaściwej proporcji.

– Iwona, ty to musisz rozwinąć – powiedziała wreszcie Celina. – Bo za cholere nie wiem, jak można w mięsnym wyjść na kobietę niewierną.

– Ja wiem – zgłosiła znad swojego kieliszka Mati. – Ale jakoś wątpię, żebyś realizowała wykwity mojej wyobraźni, więc rozwiń temat.

– Zwyczajnie! Przyznałam się do romansu!

Matylda zakrztusiła się mimozą. Celka błyskawicznie poderwała się z kanapy i zaczęła walić Pawłowską w plecy. Iwona rzuciła się zabierać Mati kieliszek, żeby go nie stłukła.

– Dość – wycharczała w końcu Matylda. – Już się odetkałam. Oddaj mi tego szampana, ja się muszę napić...

Nowacka przyjrzała jej się krytycznie.

– Tylko może tak, żebyś przeżyła, co? Już mam za dużo policji w życiorysie, nie chcę mieć w otoczeniu zgonów.

– Nie będzie na ciebie, będzie na Iwonę...

– Ej! – zaprotestowała Borkowska.

– ...która jest ostatnią osobą, po której bym się spodziewała, że zdradzi męża.

– Wypraszam sobie, nikogo nie zdradzam, a już na pewno nie własnego męża! – oburzyła się Iwona.

Celina wróciła na swoje krzesło.

– Już nic nie rozumiem – poskarżyła się. – Albo macie z Tadeuszem tak urozmaicone i rozległe życie erotyczne, że ja o tym w ogóle nie chcę słyszeć...

– Ja chcę! – wtrąciła się Matylda.

– ...albo jesteś koncertową idiotką i łazisz po sklepach, przyznając się publicznie do romansu, którego nie masz. To która opcja?

Przy tak postawionym pytaniu Iwona właściwie nie miała szans, by wyjść z twarzą.

– Jestem koncertową idiotką.

Ciszę przerwał głuchy huk. Celina z impetem walnęła czołem w stół. Matylda rzuciła się dolewać jej szampana. Chlupnęła szczerdnie i symbolicznie dopełniła sokiem pomarańczowym.

– Czekaj, ty się lepiej napij, nie niszczyj jej mebli tylko dlatego, że jest głupia!

– Nie jestem... – zaczęła Iwona, ale zaraz się zreflektowała. – No dobra, jestem. Nie niszczyj mi mebli.

Celina podniosła głowę. Pawłowska zajęła miejsce obok Nowackiej.

– Wyjaśnij mi to, bo dalej nie pojmuję – poprosiła zwodniczo łagodnym tonem Celka.

Mati poparła ją energicznym kiwaniem głowy.

– Głupio się podłożyłam, przyznaję, ale zrozumcie, przede mną stała taka wkurzająca baba, z tych, co zadzierają nosa i łaskę robią ziemi, że po niej stąpają, i nawijała o tym, że mężczyźnie do szczęścia potrzebne jest mięso. Specjalnie to robiła, bo obok jest piekarnia, a w kolejce do piekarni stała Magda, ta spod jedyńki...

– Aaaa! Ta, co jej mąż wyniósł się do sąsiadki dwa domy dalej... – przypomniała sobie Matylda. W ciągu ostatnich kilku miesięcy ożywionych kontaktów z Iwoną zdążyła wysłuchać najgorętszych plotek o jej sąsiadach, zwłaszcza tych zza płotu.

- Tak! I Magda jest wege, od lat. Ten przepis na nadziewanego bakłażana mam od niej! A Laura, ta nowa Zbyszka, ma knajpę z grillem, specjalność golonka i kaszanka.

- Auć! - jęknęła współczująco Matyllda.

- No właśnie! Więc wypaliłam, że mój mężczyzna nie je mięsa i jakoś problemu nie ma.

- To jeszcze nie jest przyznanie się do romansu - wytknęła Celina.

- Bo ja się w ogóle nie chciałam do niczego przyznawać! Ale ekspedientka się odezwała, że przecież Tadeusz lubi mięso i razem u niej kupujemy...

- Rany, ale nietaktowna - oburzyła się Matyllda.

- Bardzo. Ale musiałam jakoś z tego wyjść z twarzą, więc palnęłam, że nie mówiłam o mężu, tylko o tym drugim, czy jakoś tak...

- I to nazywasz wyjściem z twarzą? - spytała uprzejmie Celina. - Coś w stylu „chcesz wyjść z twarzą, pokaż wszystkim gołą dupę”?

- Przyznaję, nie przemyślałam tego! Ale co, tylko ty możesz robić spontanicznie głupie rzeczy?

- Ja się nie przyznałam do żadnego romansu!

- Uciekłaś do Zielonej Góry z potencjalnym mordercą!

- Kto z kim przestaje i takie tam - wtrąciła się Matyllda. - Kłóćcie się potem, chcę wiedzieć, co było dalej.

- Nic nie było! Każdy zapłacił za zakupy i się rozeszliśmy, tylko Magda ze mną od tamtej pory nie rozmawia!

- Nic dziwnego, może mieć uzasadniony uraz do niewiernych małżonków, nawet tych niemięsożernych.

- Wiem! Ale nie wiem, jak jej to wyjaśnić. Jak pójde i zacznę nawijać, że chciałam bronić jej honoru, to albo będzie uzna za totalną idiotkę, albo gorzej, nie uwierzy i będzie uważała, że jestem romansującą idiotką totalną...

- Przewalone - zgodziła się empatycznie Matyllda.

- A Tadeusz co na to?

- Nic, w ogóle mu o tym nie mówiłam. Nie będę się mężowi przyznawać do własnej głupoty!

Celina spojrzała na nią z politowaniem.

- Wolisz mu wyjaśniać, że nie masz romansu?

- Pfff! - prychnęła wzgardliwie Iwona. - Tadeusz by w życiu nie uwierzył, że mam!

- Tadeusz siedzi w górach i wróci za tydzień, jak twoje wyskoki w mięsny pójdą w zapomnienie. Ty się nie martw, co on na to, ty się martw, co na to szanowna ciocia Tadeusza - zauważyła przytomnie Matylda. - Będzie u ciebie tydzień mieszkała, jak do niej dotrą te plotki, to cholera wie, co zrobi. Życie ci obrzydzi, nakabluje twojemu mężowi...

- Proszę cię, Tadeusz by w ogóle czegoś takiego nie chciał słuchać.

- Jesteś pewna?

- Tak na dziewięćdziesiąt dziewięć procent... No dziewięćdziesiąt osiem... Siedem... Rajuśku, czy ja zniszczyłam swoje małżeństwo? - spanikowała Iwona.

Celina i Matylda spojrzały na siebie, komunikując się bez słów. Pawłowska bez słowa wstała i poszła pyknąć ekspressem do kawy, a Nowacka zabrała Borkowskiej kieliszek.

- Będziemy trzeźwo myśleć - oznajmiła.

- Jak trzeźwo, a co, jeśli Tadeusz...

- Tadeusz zasuwa na rajdzie w Bieszczadach i jest szczęśliwy jak knur w błocie. Co więcej, pewnie jest tak samo ubłocony.

Iwona skrzywiła się na samą myśl.

- Dlatego z nim nie jeżdżę... A jeśli już, to do spa. Lubię udogodnienia cywilizacyjne.

- To sobie lub. Ważne, że między twoim idiotycznym wyznaniem a Tadeuszem jest jakieś pięćset kilometrów i jeszcze tydzień minie, zanim ta odległość się zmieni.

- Więc mamy masę czasu na zarządzanie kryzysem - dodała Matylda, stawiając przed Iwoną kubek z kawą.

- Mleko...

– Żadnego mleka, pijesz leczniczo, dla jasności umysłu. Podwójną ci zrobiłam.

Żeby nie wyjść na niewdzięcznicę, Borkowska mężnie upiła łyk i wszystkie siły skupiła na tym, żeby się nie skrzywić.

– Co wiemy o cioci? – spytała Celina.

Iwona zamyśliła się głęboko. Tak naprawdę to o cioci nie wiedziała prawie nic...

Anatola była jedyną żyjącą bliską krewną Tadeusza, starszą siostrą jego ojca, Anatola. Iwona była zdania, że dziadkowie Borkowscy wyjątkowo się nie popisali w kwestii nadawania imion dzieciom.

Rodzice Tadeusza nie żyli od dawna, a ciotka Anatola utrzymywała z bratankiem i jego żoną sporadyczne kontakty. Zdarzały im się odwiedziny w święta, w imieniny ciotki i urodziny Tadeusza. Wizyty zwykle były krótkie, sztywne i polegały na aktualizacji informacji o bieżących okolicznościach życiowych, przynajmniej przez Tadeusza i Iwonę. Ciotka Anatola nigdy niczego nie aktualizowała, a na pytania odpowiadała półsłówkami.

Szczerze mówiąc, to Iwona nie miała wielkiego pojęcia, jaką osobą jest ciotka. Robiła wrażenie kogoś, kto osądza wszystkich i wszystko zza swoich ogromnych okrągłych okularów. Nad okularami miała włosy w kolorze brudnej purpury, kontrastujące z opaloną, by nie powiedzieć sfajczoną na słońcu skórą. Iwonę aż świerzbiło, żeby cioci sprezentować zestaw filtrów, ale uznała, że to mogłoby znacząco pogorszyć już i tak przecież kiepskie stosunki rodzinne.

Mieszkanie Anatoli było pełne ciemnych mebli i obrazów z mazajami w odcieniach – a jakże – purpury. Iwona bardzo się pilnowała, żeby przypadkiem któregoś z nich nie skomplementować, bo jeszcze ciotka obdarowałaby ich bohomazem i Tadeusz uparłby się, żeby to dzieło zawiesić między porożami, a tego by Borkowska nie zniosła.

Ciotka Anatola funkcjonowała na obrzeżach ich życia, prawdopodobnie gdzieś kiedyś pracowała, być może miała jakiegoś miłego, dochodzącego absztyfikanta, ale nigdy im go nie przedstawiła.

Czymś się pewnie interesowała, ale nie dzieliła się informacjami na ten temat.

I tak by pewnie było nadal, ku obopólnej satysfakcji, gdyby nie katastrofa budowlana.

To wszystko Iwona bez oporów opowiedziała zasłuchanym przyjaciółkom.

– Tylko tyle? – zdziwiła się Matylda.

– Spędzam z nią może po trzy godziny trzy razy do roku, co więcej mam wiedzieć? Tadeusz nigdy specjalnie się nie palił do kontaktów, ciotka też rzadko dzwoni... Coś tam się chyba zadziało jeszcze za czasów jego rodziców, ale nigdy nie wnikałam w szczegóły. Jego rodzina, jego sprawa.

– A nie wiesz, czy lubi ploty? Spiknie się z tą twoją sąsiadką od orgii i posłucha, co ona o tobie myśli?

Zestawienie chyba niemal stuletniej pani Mołdawskiej i orgii w jednym zdaniu wstrząsnęło Borkowską mocniej niż kolejny łyk kawy.

– Nie wiem!

– Jest emerytowaną strażniczką moralności? – podsunęła Mati. – Wiesz, taką, co cię będzie osądzać za nietradycyjny dom... Brudne gary, dzieci nie macie...

– Nie zostawiam brudnych garów w zlewie! – oburzyła się Iwona. – A dzieci mamy w planach, tak może za rok albo dwa. Tadeusz już nawet imię dla dziewczynki wybrał.

– Jakie?

– Angelika. Nie do końca je czuję, ale on się zapiera, że zawsze miał wizję córeczki Angeliki i ta wizja za każdym razem, jak on o tym mówi, zaczyna mi się coraz bardziej podobać... – przyznała Borkowska. – Chcę wsadzać gary do zmywarki i zastanawiać się, jak nazwiemy chłopca, a nie martwić się, czy ciotka ze mnie zrobi przed Tadeuszem jakąś... nierządnicę!

– Od razu nierządnicę... Jeden romans to za mało na nierząd – pocieszyła ją Mati. – Przy takich ostrych kryteriach to strach pomyśleć,

kim ja bym była...

– Bywalczynią orgii – podsunęła Celina. – Tych, w które wierzy sąsiadka Iwony. Sorry, ale przeciętna mieszkanka Ołtaszyna na pewno nie ogarnęłaby niuansów twojego schodzenia i rozchodzenia się z Sebulą, Areczka na przychodne i kogo ty tam jeszcze masz...

– Mam przewalone – jęknęła Iwona.

– Nic nie masz przewalone – stwierdziła stanowczo Celina. – Słuchaj mnie uważnie. Po pierwsze, póki masz ciotkę w domu, nie łypiesz na Krystiana.

– To przecież oczywiste!

– Nie histeryzuj, tylko słuchaj. Nie łypiesz na Krystiana. Nie puszczasz ciotki do sklepu, a już na pewno nie do tego mięsnego.

– A jak będzie coś chciała...?

– Nie daj jej szansy czegoś chcieć, podstawiaj jej te swoje frykasy pod nos, zanim zdąży zgłodnieć. I trzymaj ciotkę z dala od sąsiadów. Magda raczej z nią przez płot chyba nie zagada, ale będziesz musiała uważać na tę z naprzeciwka...

– Mam spędzić tydzień na gotowaniu i pilnowaniu ciotki, żeby z nikim nie gadała? Chciałam się do spa umówić!

– Możesz iść do spa, byle z ciotką. Nie zostawiaj jej samej, bo się sępy zlecą.

– Nie wiem, czy ona chodzi do spa... Może na solarium...

– Pójdziecie sobie razem i będziecie budowały więź rodzinną – pouczyła ją Celina.

– Zawsze mogło być gorzej – podsunęła pocieszająco Matylda. – Przynajmniej cię policja nie wezwała na przesłuchanie w sprawie morderstwa. I właściwie to masz fart, że na to przesłuchanie wzywają, a nie robią je w domu, bobyś jak nic została pierwszą podejrzaną.

– Dlaczego? – oburzyła się Iwona.

– No weź, mieszkasz w mauzoleum wypchanych zwierząt. Jeśli ktoś tu się nadaje na morderczynię, to właśnie ty. Ale spoko, nie masz w okolicy trupa, masz tylko pseudoromans.

Rozdział 2

– Nie mam żadnego romansu – zaprotestowała Iwona donośnie i być może nieco histerycznie.

Stojący po drugiej stronie płotu policjant odwrócił głowę i znacząco zerknął w głąb ogrodu Krystiana.

– Jeśli weźmiemy pod uwagę stan pana Pozałki, czas terazniejszy faktycznie nie wchodzi w grę – zgodził się filozoficznie.

Borkowska gotowa była przysiąc, że na ulicy zapadła kompletna cisza. Słysząc było jedynie, jak spragnieni sensacji, skandalików i rozrywki sąsiedzi strzygli uszami.

– Nie mam i nie miałam żadnych romansów! – wywarczała, być może trochę głośniejsze, niż powinna. – Kanapki za to mam, rozgrzebane! Zajęta jestem! Możemy dalej rozmawiać w domu!

Bez czekania na reakcję wkurzającego przedstawiciela władzy wykonawczej odwróciła się na pięcie, podniosła z trawnika upuszczone wcześniej deskę i nóż i poszła sobie. Anatola mogła glińiarzom furtkę otworzyć albo mogli sobie przez płot skakać, miała to w nosie.

Tyle dobrego, że Tadeusza przy tej całej hecy nie było!

W kuchni robot sprząający bezskutecznie próbował zassać paski papryki. Iwona zostawiła go przy tym żalonym zajęciu i skupiła się na kanapkach. Anatola nie lubiła papryki, więc proszę bardzo, będą bez papryki. A jeśli policjant jej powie, że nie przepada za pomidorami, to już jego problem, niech sam nakarmi nimi odkurzac!

Sięgnęła po składniki. Prawie wszystko było już gotowe i nawet bez jej ulubionego warzywa posiłek zapowiadał się perfekcyjnie. Iwona lubiła, jak było perfekcyjnie. W pracy, w życiu, nawet w kanapkach – stworzenie czegoś, co wyglądało idealnie, sprawiało jej głęboką satysfakcję. Jasne, przy dopiętym leasingu na linię produkcyjną za pół miliona euro satysfakcja była trochę głębsza niż przy artystycznie przybranej kromce

chleba, ale na udane spotkanie z klientem Borkowska nie mogła liczyć, wszak miała urlop.

We własnym domu z ciotką swojego męża za towarzystwo i trupem sąsiada za płotem, a nie w spa i na rozkosznych masażach, ale mimo wszystko urlop. Więc musiała sobie jakoś radzić, zajmować głowę i ręce znajomą i lubianą czynnością i czerpać radość z drobiazgów.

Przez okno usłyszała, jak Anatola przejmując rolę gospodyni i zaprasza policjantów do środka, nawijając coś o tym, że biedna Iwonka doznała szoku i niech jej panowie wybaczą, teraz kobiety są takie delikatne...

Biedna Iwonka bez wahania dorzuciła do pasty łososiowej, aprobowanej, a może nawet lubianej przez ciotkę, podwójną ilość ostrych papryczek piri-piri. W końcu była w szoku, mogła jej się rączka omsknąć. Z wprawą przełożyła mus do rękawa cukierniczego i zaczęła kręcić zawijaski na kanapkach. Skończyła dekorować pierwszy talerz akurat wtedy, gdy otworzyły się drzwi wejściowe. Od razu postawiła go na stole. Miłosiernie dołożyła jeszcze dzbanek z wodą i szklanki, na wypadek gdyby niespodziewani goście musieli popić kanapki albo potrzebowali wody, żeby dojść do siebie po ciężkim przeżyciu, jakim było przejście przez korytarz do kuchni.

Dom wybudowali i udekorowali nieżyjący rodzice Tadeusza, który przez sentyment i cześć dla przodków nie pozwalał nic w nim zmienić. Nic a nic, poza wystrojem sypialni i to tylko dlatego, że Iwona stanowczo odmówiła uprawiania seksu w towarzystwie martwych zwierzątek.

Borkowski senior najwyraźniej był za życia wyjątkowo zapalonym i odnoszącym sukcesy myśliwym, a do tego miłośnikiem eksponowania trofeów we wnętrzach. Nawet w salach muzealnych nie widywało się tylu poroży, wypchanych łbów lub całej zwierzyny. Iwona skrycie marzyła o tym, że kiedyś całą tę nekromenażerię zjedzą mole albo że Tadeusz nagle uzna, że remont to najlepszy pomysł świata, ale pragmatycznie uznawała, że wobec licznych zalet męża tę jedną wadę może tolerować, a na pamiątki po teściu całkiem dosłownie przymknąć oko. W końcu jeśli ona nie patrzyła na nie, to one też nie powinny lypać na nią tymi szklanymi, upiornymi ślepkami.

Z korytarza dobiegł ją głos Anatoli.

– Proszę dalej, Iwonka jest w kuchni, tam jest mniej zwierzyny.

Ciotka wprowadziła policjantów. Szli z ociąganiem, rzucając spojrzenia za siebie. Najwyraźniej wystrój korytarza wywarł na nich duże wrażenie. Borkowska przyjrzała im się, gdy przedstawiali się grzecznie i zajmowali wskazane przez Anatolę miejsca przy stole.

Obaj robili nader przyjemne wizualnie wrażenie. Starszy i ważniejszy był podkomisarz Zacharczyk. To on uwieszał się na płocie, rozognionym spojrzeniem zachęcając Borkowską do zwierzeń. Teraz też patrzył na nią tak, że nie do końca wiedziała, czy szykuje się spektakularne aresztowanie, czy równie spektakularny seks.

Iwona szczerze przyznała przed sobą, że gdyby nie była mężatką... Zacharczyk reprezentował sobą jakiś metr dziewięćdziesiąt zwierzęcego magnetyzmu, do tego nosił wyjątkowo podkreślający urodę garnitur. Gdyby nie Tadeusz... I morderstwo, nie wolno jej zapominać o morderstwie!

Za Zacharczykiem niczym cień podążał sierżant Królewski, dla odmiany śliczny w niewinnie młodzieńczy sposób, z krótkimi, lekko kręconymi włosami, ogromnymi brązowymi oczami i pięknie ukształtowanymi ustami.

Od obu trudno było oderwać wzrok i Borkowskiej udało się to tylko dlatego, że przypomniała sobie o ciotce. Nie wypadało jej oblukiwać obcych chłopów na oczach ciotki własnego męża!

Niepotrzebnie się martwiła. Anatola ignorowała powinowatą, za to bezczelnie pożerała spojrzeniem Królewskiego. Sierżanta na szczęście pochłaniały bez reszty wiszące w korytarzu okazy taksydermii. Co chwila odwracał głowę i zerkał na nie, sprawdzając chyba, czy nie zeszły ze ścian, żeby go śledzić.

– Kawy? Herbaty?

– Kawa byłaby cudowna. – Podkomisarz się rozpromienił.

Królewski, szturchnięty przez przełożonego, oderwał się od kolekcji ojca Tadeusza i pokiwał głową.

- Dla nas coś mocniejszego, Iwonko - zadysponowała Anatola. - Przeżyliśmy szok, musimy odzyskać równowagę.

- Mam wino...

- Wino? - Ciotka się skrzywiła. - Iwonko, w takich sytuacjach potrzeba prawdziwego alkoholu. Nalej nam, panom nie proponuj, bo są na służbie.

Borkowska zacisnęła zęby, podeszła do barku, wyciągnęła literatki pamiętające jeszcze czasy jej świętej pamięci teściów i do obu porządnie chlusnęła wódki. Dopełniła soki pomarańczowym i z uprzejmym uśmiechem podała ciotce.

Anatola uniosła szklaneczkę w stronę policjantów, sygnalizując, że pije ich zdrowie, i wzięła solidny łyk.

Oczy stanęły jej w ślup, policzki wydeły się jak u chomika, a na spalonej słońcem skórze wykwitł rumieniec.

- Chcesz mnie otruć? Tak przy policji?

Iwona wzruszyła ramionami i upiła łyżeczek ze swojej szklanki.

- Chciała ciocia coś mocniejszego. Mogę dolać wody. Albo podać wino.

- Nie trzeba - wychrypiała ciotka, pociągnęła solidnie i otrząsnęła się niczym mokry pies.

- Skoro panie już dochodzą do siebie, to może dokończymy powitania i prezentacje - zaproponował podkomisarz. Położył przed sobą notes i długopis i spojrzał wyczekująco na gospodynię.

- Iwona Borkowska, Anatola Borkowska... - zaczęła Iwona.

- Anatola Świeradek-Kozłowska - sprostowała ciotka.

- Co? - wyrwało się Borkowskiej. Tadeusz nigdy nie wspominał, że ciotka ma inne nazwisko...

- Świeradek po pierwszym mężu, Kozłowska po trzecim - uzupełniła Anatola. Przysunęła do ust szklankę i napiła się ostrożnie.

O tym, że Anatola miała choćby jednego męża, Tadeusz też nic nie mówił! Mało tego, opowiadał kiedyś Iwonie, że to przykre, że ciotka zawsze była sama!

- To ilu ciocia miała tych mężów?

- Czterech.

- I nie zaprosiła nas ciocia na żaden ślub? - Iwona nie potrafiła ukryć urazy.

- Jak wychodziłam za mąż za Świeradka, to Anatol zagroził, że się mnie wyrzeknie. Powiedziałam, że proszę bardzo, nie rozmawiał ze mną, aż owdowiałam. O drugim ślubie to mu nawet nie wspominałam, po co mi były kwasy w rodzinie. Za Kozłowskiego wyszłam już po śmierci Anatola i Haliny, trochę nie wiedziałam, jak się Tadziowi przyznać do tych wszystkich małżeństw. Pytania by zadawał, jeszcze by się zdenerwował. Poza tym Kozłowski to była bardziej transakcja wiązana, nienawidzi swojej rodziny i chciał się koniecznie żenić, żeby na mnie przepisać majątek. Nie żeby dużo z tego majątku planował zostawić, prawie wszystko idzie na dożywocie w domu opieki.

- Pan Kozłowski żyje? - zainteresował się podkomisarz.

Sierżant siedział cicho niczym trusia, a oczy miał wielkie jak spodki.

- Żyje, dziewięćdziesiąt pięć lat ma skurczybyk i jeszcze pewnie do setki pociągnie. - Anatola westchnęła. - Trochę szkoda, pasowałoby mi wdowieństwo...

- Pani Anatolu - wymruczał Zacharczyk, wpatrując się w ciotkę, jakby co najmniej była Monicą Bellucci, a nie żwawą siedemdziesięciolatką w rybaczkach, pociągającą subtelnymi łyżkami wódkę z sokiem na Ołtaszynie. - Pani Anatolu, pan Kozłowski jest i pozostaje pani trzecim mężem, o ile oczywiście dobrze rozumiem...

- Dobrze pan rozumie.

- A mówiła pani, że miała mężów czterech. Pani Anatolu, pani jest chyba bigamistką!

Tak się tym odkryciem ucieszył, że niemal zacierał rączki. Iwonę za to zdjęła zgroza. Niech to, aresztują powinowatą, co ona powie Tadeuszowi...?!

Ciotka w ogóle nie przejęła się oskarżeniami. Prychnęła wzgardliwie i zbyła je machnięciem opalanej dłoni.

- Czwarty ślub nie jest ważny. Wie pan, to było takie wakacyjne małżeństwo, jak na koloniach. Karim się upierał, to powiedziałam sobie, a co mi tam! Egipt, plaża, piramidy, niech myśli, że mu wierzę, że jestem

tą jedyną i że można się chajtnąć w altance z widokiem na morze, bez żadnych papierów i z belgijskim animatorem prowadzącym ceremonię. Mam zdjęcia, pięknie było. I mieliśmy lepszy zachód słońca niż Zdenia z Łodzi, wie pan, z nią się Karim żenił miesiąc później i pogoda już nie była taka...

– Nie nadażam – poskarżyła się Iwona. – Miałaś dwóch mężów, teraz masz trzeciego, który jest szuja, i czwartego, ale nie jesteś bigamistką, bo czwarty ślub to była ściema. A twój fałszywy czwarty mąż ożenił się z jakąś Zdenią, ale też nie jest bigamistą, bo te wszystkie śluby są nieważne? I w ogóle to spoko, bo masz lepsze zdjęcia z tego nieprawdziwego ślubu?

– Właśnie! Co też mówisz, że nie nadażasz, ze wszystkim nadażasz!

– Paweł, notujesz? – upewnił się Zacharczyk, nie odrywając zafascynowanego spojrzenia od Anatoli.

Sierżant Królewiaak pokiwał głową i spojrział na swój otwarty notes wzrokiem smutnego spaniela.

– Diagram narysowałem, ze strzałkami. Tylko zgubiłem się przy Zdeni, nie wiem, jak ją wpisać...

– Jako drugą nieprawdziwą żonę czwartego nieprawdziwego męża ciotki – odpowiedziała mu Borkowska.

– Gdzie tam drugą, dwudziestą! – prychnęła ciotka. – Karim jest mężczyzną o wielkim temperamencie, wielkim – zapewniła podkomisarza.

– Ciociu, gość z ciebie sobie zrobił taką dojazdową raz-i-wonkę!

– Raczej minimum-raz-dziennie-przez-tydzień-i-won-aż-do-następnego-turnusu-wonkę – skorygowała uczciwie Anatola. – Poza tym powściągnij zgrozę i nie szkaluj własnego imienia, Iwonko. To jest obopólnie... właściwie wielopólnie korzystny układ, wszyscy wiedzą, w co się pakują, i wychodzą zadowoleni i zaspokojeni.

Borkowska ukryła twarz w dłoniach.

– Ciociu, za dużo informacji – jęknęła.

Podkomisarz sprawiał wrażenie, jakby bardzo chciał jej przytaknąć, ale jeszcze bardziej nie chciał podpadać ciotce – bezbłędnie zidentyfikował samicę alfa w stadzie, to mu Iwona musiała przyznać.

– Mam siedemdziesiąt dwa lata – przypomniała Anatola. – Jeśli chcesz sobie pojechać na wakacje i spędzić je z młodszymi o lat trzydzieści, pełnoletnimi i pozostającymi w pełni władz umysłowych młodzieńcami, to sobie pojedą i spędzę!

– Czy ciocia mogłaby się nie przyznawać do uprawiania seksturystyki akurat jak mamy policjantów w domu?!

– Dlaczego? Przecież to poza ich jurysdykcją. – Anatola przyjrzała się krytycznie swojej pustej szklance. – Iwonko, od obiadu nic nie jadłam, a ty mnie tu rozpijasz na pusty żołądek! – powiedziała potępiająco.

Borkowska bez słowa podeszła do stołu i przysunęła talerz z kanapkami o pięć centymetrów bliżej ciotki.

– Proszę się częstować – zachęciła policjantów Anatola. – Są na szczęście bez papryki, Iwonka nakarmiła nią odkurzacz.

Wszyscy zgodnie spojrzeli na robota sprzątającego, który w kącie walczył z posiekany warzywem i przegrywał.

– Chyba mu nie smakuje... – wyrwało się sierżantowi.

Iwona bez słowa, za to z dużą dozą napędzanej złością energii posprzątała paprykę z podłogi. Wdzięczny odkurzacz zaszemrał i pojechał żerować gdzie indziej.

– Powinnaś sobie sprawić prawdziwe zwierzątko – pouczyła ją Anatola. – Wtedy miałabyś się czym zająć, jak Tadeusza nie ma, i nie musiałabyś romansować.

Borkowska odwróciła się na pięcie i ze wszystkich sił próbowała zabić ciotkę wzrokiem. Nie pomogło, starsza pani wciąż pozostawała żywa i niewzruszona, za to podkomisarz aż promieniał i wodził uszczęśliwionym spojrzeniem od Iwony do Anatoli.

– To może teraz porozmawiamy o tych romansach? – zaproponował radośnie.

- Nie. Było. Żadnego. Romansu - wycodziła Iwona. - Ani jednego. Jestem kobietą szczęśliwie zamężną i nie mam potrzeby szukać tego szczęścia gdzie indziej.

Anatola zacmokała z dezaprobatą i sięgnęła po kanapkę.

- Ta z naprzeciwka, ta w wielkich okularach, większych od moich, spod czwórki, zasadza się na mnie, odkąd przyjechałam. I za każdym razem, jak rozmawiamy, insynuuje, że gdy tylko Tadeusz wyjeżdża, to przeskakujesz przez płot do tego, niech mu ziemia ogrodowa lekką będzie, jak mu tam było...

- Pozałka - podsunął sierżant.

- ...no właśnie, do niego.

- I ciocia jej uwierzyła? Płot ma metr, jakbym taki umiała przeskoczyć, to chyba bym w zawodach startowała!

- Faktycznie, to się trochę kupy nie trzyma...

- Mołdawska spod czwórki się kupy nie trzyma! Albo inaczej, trzyma się wszystkiego, co się da, bo obejrzała już wszystko, co jest w telewizji, i teraz szuka sobie rozrywek. Nie moja wina, że życie nie dorasta do telenowel i ona musi sobie wymyślać, bo rzeczywistość jest za mało pasjonująca.

- Ale! - Ciotka przełknęła kęs kanapki i uniosła palec gestem znaczącym. - Ale! Ta Mołdawska mi opowiadała, że jej z kolei opowiadała Dąbrowska...

- Dąbrowka - poprawiła odruchowo Iwona. - To ta z pekińczykiem i histerią - dodała wyjaśniająco pod adresem policjantów, którym mieszkańcy ulicy, a właściwie uliczki, objawili się jako tłum może niezbyt liczny, wszak na Agregatowej* było tylko osiem posesji, lecz zwarty i gotów do walki.

- Dąbrowka - zgodziła się Anatola. - Wszystko jedno, ważne, że ona cię widuje, jak podglądasz sąsiada. Podglądałaś.

Ciotka miała niewątpliwie rację i Borkowska stanęła przed dylematem: czy przyznać do tego, że od czasu do czasu obejrzała się - wyłącznie platonicznie! - za mężczyzną innym niż jej własny, czy też skłamać

w obecności policji. Rodzinie ściemniałaby bez chwili wahania, ale śledczym... Kołatało jej się w głowie, że w kryminałach zawsze ktoś niewinny głupio kłamie, a potem jest podejrzany niemal do samego końca i strasznie wszystko komplikuje... Celina, namiętna czytelniczka tego gatunku, zawsze na to psioczyła.

Wybór był w zasadzie oczywisty. Iwona nie życzyła sobie być podejrzaną dłużej niż to absolutnie konieczne, nie zamierzała też gmatwać śledztwa i zdecydowanie wolała tłumaczyć się z tego, że oko jej czasem zahaczy tam, gdzie nie powinno, niż z nieistniejących romansów.

– Podglądałam – oznajmiła dzielnie. – I bez potępiania mi tu! Jeśli ciocia może sobie romansować na wakacjach i popełniać rzekome bigamie, to ja mogę sobie czasem na przystojniaka popatrzeć! Obie w końcu jesteśmy mężatkami, prawda? Więc mniej żdźbeł u innych, niech się ciocia skupi na tej belce w oku swoim!

– A nie podglądała go pani przypadkiem dziś? – wtrącił się uprzejmie Zacharczyk. – Tak między siedemnastą a osiemnastą? Może pani coś widziała? Albo kogoś?

– Nic nie widziałam! Robiłam te cholerne kanapki dla ciotki i nic nie widziałam!

– Nie przeklinaj, tylko podziękuj – stwierdziła surowo Anatola. – Jakbyś podglądała, to jeszcze byś zobaczyła, jak człowieka mordują. Miło by ci było?

Iwonę aż dreszcz przeszedł.

– Nie! Nie chcę oglądać żadnych morderstw!

– Nikt pani nie każe, ale niewątpliwie bardzo by nam pomogło, gdyby zobaczyła pani mordercę.

Iwona już miała ochotę odpowiedzieć, że być może jednego widuje regularnie na spotkaniach towarzyskich, ale uznała, że wyciąganie na światło dzienne perturbacji życiowych najlepszej przyjaciółki byłoby nietaktowne. Więc tylko wbiła w komisarza bezradne spojrzenie swoich ogromnych, błękitnych oczu.

– Trudno – westchnął podkomisarz z takim żalem, że Borkowskiej zrobiło się głupio, że jednak nie zerknęła na to, jak ktoś Krystiana

morduje. – Ale coś pani dziś widziała. Choćby to, co działo się podczas znalezienia zwłok...

Sierżant, który w skupieniu robił notatki, przy okazji posilając się kanapką z pastą łososiową, nagle gwałtownie poczerwieniał. Upuścił długopis i w panice spojrział na przełożonego.

Podkomisarz, który poczęstunku nie tknął, wpatrywał się w Królewiaka z fascynacją.

– Doznałeś przełomu w śledztwie? – spytał.

Sierżant, wydymając policzki i nie otwierając ust, wydał z siebie zduszony jęk bólu. Oczy zaszyły mu łzami.

– Łazienka w przedpokoju po lewej – odpowiedziała ciotka.

Królewiaak poderwał się i uciekł z kuchni. Podkomisarz aż zamrugał z zaskoczenia i wyglądało na to, że po raz pierwszy tego dnia utracił panowanie nad sytuacją. Anatola sięgnęła po kolejną kanapkę z pastą łososiową.

– Młodzież teraz taka delikatna – westchnęła. – Faktycznie trochę ostraci ta pasta wyszła, Iwonko. Nie powinnaś takiej gościom serwować, trafisz na kogoś z delikatnym podniebieniem i proszę, jest przykrość.

Iwonka nie skomentowała, tylko nalała wody do stojących na stole szklanek. Zacharczyk nieufnie przyjrzał się talerzowi. Anatola tymczasem bez oporów pochłonęła kolejną kanapkę.

Sierżant wrócił z toalety widocznie zdenerwowany i Iwona już-już miała delikatnie spytać, czy wszystko w porządku, ale uprzedziła ją Anatola.

– A właśnie! Zabierz, Iwonko, stamtąd to zwierzę – poleciła. – Ono się na mnie patrzy w chwilach intymnych i wymagających skupienia, a w moim wieku regularne wypróżnianie to podstawa. Przy bażancie nie mogę. A teraz jeszcze widzisz, pan policjant się zestresował, nie dość, że go potraktowałam ostrym jedzeniem, to teraz jeszcze doznał szoku psychicznego. W ogóle nie wiem, jak wy możecie żyć z tymi zwierzętami...

– Nie możemy – mruknęła pod nosem Iwona. – To znaczy, Tadeusz może. Mój mąż. To przecież po jego rodzicach.

– Pani teść polował?

Anatola prychnęła.

– A gdzie tam. Anatol by nie wiedział, z której strony strzelby się strzela. On to wszystko w karty wygrał od takiego Zburaški. Ohydny typ. I do tego hazardzista nałogowy, wszystko stawiał, pieniądze, dom, broń, trofea. Żonę i dzieci by też postawił, ale się kobieta opamiętała i go zostawiła. Anatol też po prawdzie nie lepszy, zwęszył okazję i tylko tamtego podpuszczał. I wygrał, oczywiście, mój brat miał zawsze fart do głupich przedsięwzięć. Wygrał cały ten szajs i potem wrócił z tym nad ranem ululany, złapał młotek i zaczął wbijać gwoździe. Halina się obudziła i zrobiła awanturę jak stąd do Opolu. A Anatol się zaczął zarzekać, że po jego trupie to ze ściany zdejmą! I nie zdjęli, mało tego, jak wytrzeźwiał, to powiesił resztę. I już tak zostało. Ale teraz, jak już tyle lat nie żyje, to możecie się tego przecież pozbyć.

Szczękę Iwony można było zbierać z podłogi razem z rękami, które jej całkiem opadły. Przez całe lata żyła w przekonaniu, że te pchlarze wiszące na ścianach to dziedzictwo po przodkach, pozostałość po okropnym, co prawda, ale umiłowanym hobby świętej pamięci teścia, a nie po zakrapianym wieczorze z kartami. Mało tego, Tadeusz ją w tym mniemaniu utwierdzał!

Już-już otwierała usta, żeby spytać, czy jej mąż był świadom pochodzenia kolekcji, lecz uprzedził ją podkomisarz.

– Dzieje pań rodziny są niewątpliwie fascynujące – wymruczał, wpatrując się intensywnie to w jedną, to w drugą. – I z przyjemnością zapoznam się z nimi bliżej w późniejszym terminie. Ale czy teraz pozwolą panie, że powrócimy do dzisiejszych wydarzeń?

Oczywiście, że pozwoliły.

* Wrocławska dzielnica Ołtaszyn może pochwalić się wieloma ulicami o fascynujących nazwach (jak choćby Traktorowa i Diamentowa), ale ulicy Agregatowej tam nie znajdziecie. Jest całkowicie fikcyjna, tak jak i jej mieszkańcy (przyp. autorki).

Rozdział 3

Zaczęło się całkiem niewinnie, od szczekania.

Iwona w ogóle nie zwróciła na nie uwagi, skupiona na tworzeniu artystycznego talerza kanapek. Dutch baby, muffiny śniadaniowe i jajka w koszulce na toście nie wywoływały u ciotki podziwu ani w ogóle żadnej reakcji i wewnętrzna perfekcyjna pani domu Iwony cierpiała katusze. Zdecydowała się postawić na klasykę i zaserwować Anatoli na kolację kanapki, ale takie, żeby jej oko zbiałało.

Podczas gdy ona komponowała kolorystycznie pomidoroki koktajlowe w trzech kolorach z papryką, również w opcji trikolor, wyprowadzony na spacer pekińczyk Pufcio dostał nagle szału na środku chodnika, dokładnie na wprost żywopłotu, na tle którego Krystian Pożałka zwykł wykonywać deskę boczną.

Pufcio był z natury zwierzęciem flegmatycznym i przedstawienie pod tytułem wściekły podnózek odstawił po raz pierwszy. Zaniepokojona właścicielka, Agata Dąbrówka, wpierw próbowała psa uspokoić, potem odciągnąć od płotu sąsiada, aż wreszcie, zdesperowana, zmieszana, ale i zaciekawiona, co też jej pupila tak poirytowało, podeszła do furtki Pożałki i zapuściła solidnego żurawia do środka.

I wtedy zaczęła wrzeszczeć tak, że nawet Pufcio zamilkł, zszokowany zachowaniem właścicielki.

Iwonie wypadła z rąk deska, na której leżała papryka równo pokrojona w paski. Zwabiona hałasem Anatola zajrzała do kuchni i oceniła sytuację.

– O, dobrze, nie znoszę zwykłej surowej papryki. Ale czy musiałaś od razu tak wrzeszczeć?

– To nie ja! – zaprotestowała Borkowska, oburzona idiotycznym posądzeniem. – To na zewnątrz!

Na potwierdzenie jej słów wrzask rozległ się znowu, równie straszliwy i przeszywający. Na ulicy najwyraźniej działo się coś strasznego.

Odkąd Iwona sięgała pamięcią, Agregatowa była miejscem spokojnym i cichym. Nikt sobie na niej nie urządzał wyścigów autami po nocy, żaden z mieszkańców nie imprezował przesadnie i nawet przeprowadzka Zbyszka spod jedynki od jeszcze-wówczas-żony do ależ-między-nami-nic-wcześniej-nie-było-kochanki spod siódemki przebiegła w spokojnej atmosferze. Nikt nie krzyczał, nikt nie szarpał się za włosy, a mieszkańcy jedynki i siódemki bardzo kulturalnie i konsekwentnie ignorowali się nawzajem.

Nawet te napady i kradzieże, o których ostatnio słyszała, zdarzały się na Diamentowej czy Traktorowej, ale omijały Agregatową. Czyżby właśnie miało się to zmienić?

Iwona zamarła nad rozsypaną papryką, niepewna, co robić. Uciekać? Ryglować drzwi? Wzywać policję? Dzwonić do Tadeusza? Zaciągnąć ciotkę w jakieś bezpieczne miejsce, żeby seniorce rodu purpurowy włos nie spadł z głowy?

Anatola nie miała takich dylematów, sięgnęła do stojaka na noże, wyciągnęła największy i z determinacją wypisaną na twarzy ruszyła do przedpokoj.

- Ależ ciociu! - pisnęła Iwona.

Ciotka jej nie słuchała, więc Borkowskiej nie pozostało nic innego, jak pobiec za nią. Na zewnątrz działo się coś strasznego i przecież nie mogła puścić najbliższej krewnej Tadeusza samej! I to jeszcze z nożem w rękę! Mogła przecież przypadkiem kogoś zadźgać albo gorzej, zrobić sobie krzywdę! Borkowska na wszelki wypadek też złapała nóż i podniosła z podłogi deskę po papryce. Coś jej w głowie mignęło na temat ofensywy i defensywy, ale nie miała czasu rozwinąć myśli - musiała gonić ciotkę, która już otwierała drzwi wyjściowe.

Anatola, z nożem w wyciągniętej przed siebie ręce, wyszła do ogródka i zatrzymała się przed furtką, skąd miała świetny widok na armagedon przetaczający się przez ulicę Agregatową. Iwona, tuląca z kolei i ostrze, i deskę do piersi, jak przystało na ulubione, markowe sprzęty kuchenne, stanęła tuż za nią i nabrała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo histeryzująca przed płotem posesji numer pięć pani od

pekińczyka rozpoczęła trzecią turę wrzasków. Pufcio odzyskał w końcu rezon i dzielnie jej towarzyszył w wydawaniu dźwięków.

Hałasy zwabiły także pozostałych sąsiadów, tych, którzy zdążyli już wrócić z pracy. Pulchniutki inżynier spod dwójki próbował właśnie sforsować furtkę do ogródka, a niższy od niego o głowę, wąsaty Machajko spod szóstki zagradzał mu drogę własną wątłą piersią. Żona inżyniera bezradnie dreptała na w swoich niebotycznie wysokich szpilkach za miotającą się to w lewo, to w prawo Agatą Dąbrówką, próbując dla uspokojenia napić ją dietetyczną colą z plastikowej butelki. Sąsiadka spod czwórki stała w ogródku i obserwowała wszystko sceptycznie.

– Panie, trzeba człowieka ratować! – denerwował się inżynier, który próbował sięgnąć do klamki.

– Panie, tam nie ma już czego ratować! – protestował jego przeciwnik, twardo broniąc przejścia własnym ciałem.

– Skąd ty wiesz, człowieku, nawet nie próbowałaś! Z drogi! Resuscytację trzeba...

– Jak mu będziesz robił sztuczne oddychanie, jak on pół głowy nie ma?! – wrzasnął Machajko.

Na ulicy nagle zapadła cisza. Inżynier zmarł, jego żona upuściła butelkę, histeryzująca pani od pekińczyka też nagle zamilkła i zajęła się łapaniem psa, żeby przypadkiem nie poczęstował się rozlaną colą. Pufciowi chwilę zajęło załapanie, że już nie biegamy i nie szczekamy, lecz porwany w ramiona właścicielki w końcu się dostosował.

– Jak to nie ma głowy? – spytała słabym głosem inżynierowa.

Do Iwony dotarło nagle, że cała ta abstrakcyjna scena rozgrywa się pod furtką Krystiana, który zwykle o tej porze przeżył mięśnie w ogródku, ale teraz nie było po nim śladu, a pan Machajko spod szóstki mówił jakieś straszne rzeczy...

Porzuciła stanowisko za plecami Anatoli i pobiegła na swoją grządkę obserwacyjną. Ogródek Krystiana był pusty, tylko krzaki, trawa i statywy z telefonem i reflektorem w kształcie pierścienia...

Jeśli była komórka przygotowana do nagrywania filmików na insta, to musiał być też gdzieś w pobliżu jej właściciel, takich sprzętów nie

zostawia się samopas!

Iwona niepewnie podeszła do płotu, coraz mocniej przyciskając do piersi deskę i nóż. Zwykle nie zerknęła na teren sąsiedniej posesji aż tak ostentacyjnie, ale tym razem uznała, że jest usprawiedliwiona.

Najpierw zobaczyła nogi. Dwie, męskie, odziane w krótkie spodenki i sportowe obuwie. Jak zahipnotyzowana zrobiła jeszcze krok i przechyliła się nad ogrodzeniem, tak by dostrzec nagi, umięśniony tors i głowę...

Wrzasnęła nie gorzej od właścicielki pekińczyka, wypuściła wszystko z rąk i jednym susem odskoczyła metr od płotu. Zderzyła się z Anatolą i prawie nadziała się na trzymany przez ciocię nóż.

– Ciociu, do jasnej cholery... – zaczęła Iwona i zaraz zamilkła. Powinna odnosić się z szacunkiem do najstarszej żyjącej krewnej Tadeusza, a ona do niej takim językiem, jak nic ciotka się zaraz zbulwersuje...

– Iwonko, do jasnej cholery, uważaj, jak susy sadzisz, tu są ostre narzędzia – pouczyła ją Anatolę i z nożem w dłoni poszła zajrzeć do ogródka numeru pięć.

Borkowska musiała ciotce przyznać, że twarda była. Nie podskoczyła, nie wypuściła noża z ręki, tylko kiedy się odwróciła, na twarzy była bardziej beżowa niż brązowa.

– Policję... – oznajmiła gromko.

– Już wezwałem – pochwalił się wciąż strzegący furtki do ogródka już-świętej-pamięci Krystiana wąsaty pan Machajko. – Pierwszy byłem na miejscu! Wezwałem policję i pilnuję, żebyście nie zadeptali śladów!

– Ślady, jakie ślady, a wiadomo, ile on tak leży? – prychnął inżynier, chyba tylko po to, żeby nie przyznać sąsiadowi racji.

Do Borkowskiej dotarło, że owszem, wiadomo. Może nie znała dokładnego rozkładu dnia każdego ze swoich sąsiadów, ale orientowała się mniej więcej, kiedy wychodzą do pracy, wracają, wyprowadzają psa... A w godzinach treningów prężnego Krystiana miała doskonałą rozeznanie.

– Przecież jego musiał ktoś... dopiero co – wydusiła. – W dni powszednie Krystian zawsze zaczynał ćwiczyć o siedemnastej...

– Pani to już dobrze zna jego rozkład – mruknęła zgryźliwie Dąbrowka. Borkowska ją zignorowała.

– Osiemnasta jest! – krzyknęła. – Osiemnasta, rozumiecie? Ten morderca mógł go załuc dopiero co i może jeszcze gdzieś tu jest!

Jej słowa odniosły piorunujący skutek. Inżyniera zamurowało, stał, otwierając i zamykając usta niczym karp bez wody. Jego żona przeciwnie, zyskała znaczącą ruchliwość, nerwowo obracała się to w jedną, to w drugą stronę i wydawała bliżej nieokreślone dźwięki ogólnej zgrozy. Pana Machajko, który kiedyś zwierzył się Iwonie, że uwielbia słuchać podcastów kryminalnych, wyraźnie zachwyciła możliwość, że będzie miał ulubioną audycję w wersji live. Agata Dąbrowka przygarnęła mocniej Pufcia do siebie i rozpoczęła strategiczny odwrót rakiem. Wścibska sąsiadka spod czwórki, pani Mołdawska, porzuciła punkt obserwacyjny, by wrócić do domu.

Jedyną osobą, która zachowała zimną krew, była Anatola.

– Stać! Wszyscy zostają na widoku! – zarządziła. – W kupie siła i bezpieczeństwo! Co, jeśli morderca czai się w waszych ogródkach?

Nie dało się ukryć, że Anatola mogła mieć rację. Agregatowa, odchodząca od Nefrytowej, była bardziej zaułkiem niż ulicą, ślepo zakończonym i liczącym sobie tylko osiem posesji. Po trzy po każdej stronie i dwie na końcu, zamykające uliczkę. Najmłodszy dom liczył sobie ponad czterdzieści lat, więcej niż Iwona. Drzewa i krzaki w ogródkach też osiągnęły już słuszny wiek i co za tym idzie, słuszny rozmiar i gęstość, tyle że teraz cień, który rzucały, przestał się kojarzyć z relaksem i swojskością, a zyskał wymiar grozy. Za każdym płotem, żywopłotem lub w zaroślach mógł się czaić morderca i do sąsiadów powoli to docierało.

Inżynierowa przypała do męża i ze wszystkich sił złapała go za ramię. Dąbrowka przestała wycofywać się ukradkiem i teraz dla odmiany zerkała w stronę swojego domu i rozrośniętych perukowców z lękiem w oczach. Pani Mołdawska płynnie zmieniła kierunek marszu i zamiast wracać do domu, wyszła na ulicę. Pan Machajko wciąż promieniał. Iwona sama zaczęła zerkać przez ramię, w głąb własnego ogrodu, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że ktoś ją obserwuje.

Dlaczego nie było tu z nią teraz Tadeusza?

– Zaraz, a dlaczego pani ma w ręku nóż? – spytała nieco histerycznie żona inżyniera. Iwone niejasno kołatało się po głowie, że miała na imię Patrycja.

Do tej pory sąsiedzi pochłonięci trupem w ogródku nie zwracali uwagi na siebie nawzajem, ale teraz oczy wszystkich skupiły się na trzymanym przez Anatolę profesjonalnym nożu ze stali damasceńskiej.

– Czy pani go zabiła? – Patrycja zaczęła wpadać w ton histeryczny.

Ciotka prychnęła wzgardliwie.

– Oczywiście, że nie.

– To po co pani nóż?

– Żeby zabić mordercę, jeśli on będzie próbował dopaść mnie, oczywiście! – oznajmiła Anatola tonem doskonale oddającym jej opinię o inteligencji inżynierowej.

Na te słowa we wszystkich zebranych, poza Iwoną, jakby piorun strzelił. Rzucili się do aut i ogródków, by wyciągać rzeczy, które mogły służyć jako broń albo do oświetlenia okolicy, bo w końcu był wrzesień i powolutku zaczynało robić się szaro.

I w ten oto sposób pierwszy radiowóz wjeżdżający w Agregatową został powitany przez wściekły tłum z widłami, łopatami od śniegu i latarkami.

Właściwie to nikogo nie powinno dziwić, że policjanci wezwali posiłki, jeszcze zanim w ogóle zobaczyli zwłoki.

Rozdział 4

– Fascynujące – westchnął podkomisarz, który spijał niemal każde słowo z ust Iwony i Anatoli. Sierżant też westchnął, choć wyraźnie bardziej z powodu zachowania zwierzchnika niż z zafascynowania historią.

– Oburzające – skorygowała ciotka, racząc się kolejną kanapką. – Co z tymi dzisiejszymi stróżami prawa? Kilka osób na ulicy widzicie i od razu w nogi?

– Koledzy wycofali się strategicznie – wyjaśnił uprzejmie Zacharczyk. – Jak sama pani zauważyła, to młodzi ludzie, może jeszcze brak im doświadczenia, nie wiedzą, co robić, gdy staje przed nimi kobieta... walkiria... gotowa bronić swojego domostwa...

– To nie była walkiria, tylko ciotka Anatola z moim nożem szefa kuchni – poprawiła Iwona. – I inżynier z łopatą od śniegu. I jego żona z latarką, taką wielką. I pan Machajko z widłami. Pani Mołdawska miała grabie. A pani Agata psa. Pekinczyka, jeśli pan nie zauważył. Ta armatka wodna to naprawdę była przesada...

– Och, ledwie zbytek przezorności. Poza tym, zanim przyjechała armatka, to wszystko sobie przecież wyjaśniliśmy. – Zacharczyk się rozpromienił. – I obyło się bez ofiar. No, bez dalszych ofiar. A skoro o ofierze mowa. – Zatarł z entuzjazmem dłoń. – Z tego, co słyszałem od pani z pieskiem, pani...

– Agaty Dąbrówki – podpowiedziała ponuro Iwona.

– Właśnie, pani Agaty! Otóż jej zdaniem jest pani doskonale zaznajomiona z rozkładem dnia nieboszczyka. Szalenie by nam pomogło w śledztwie, gdyby zechciała się pani podzielić tą wiedzą.

Wpatrywali się teraz w nią wszyscy, podkomisarz z intensywnym zainteresowaniem, ciotka z podejrzliwością, a sierżant z uniesionym długopisem w dłoni, gotów do robienia notatek. Borkowska miała ochotę walnąć głową w ścianę albo chociaż w stół, ale nie mogła, nie przy takich

świadkach! A poza tym, jako przykładna obywatelka powinna przecież w tym śledztwie pomóc, nawet jeśli najwyraźniej samo śledztwo zaczynało jej trochę utrudniać życie!

– Nie znam jego rozkładu dnia, tylko treningów – przyznała. – W ogródku ćwiczy w każdy wtorek, czwartek i niedzielę. W tygodniu o siedemnastej, w weekend o szesnastej. W pozostałe dni chodzi na siłownię. A rano biega, ale nie wiem, czy zawsze o tej samej godzinie.

– Proszę, Iwonko, jaki z ciebie skrupulatny świadek... – zauważyła Anatola.

– Jakby ciocia się rozglądała, a nie słuchała plotek o mnie, to może ciocia by się bardziej przydała w śledztwie – odgryzła się Borkowska. Przemknęło jej przez głowę, że nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie, ale ta myśl błysnęła i zgasła, ustępując ogólnemu zdenerwowaniu.

– Pani Anatolo, zna pani już lokalne plotki? – ucieszył się podkomisarz. – Niech pani się koniecznie z nami podzieli. Co pani już wie o sąsiadach?

Zawiesił wzrok na wąskich wargach ciotki, gotów spijać z nich każde słowo. Anatola się skrzywiła.

– Jedyne plotki, które do mnie dotarły, to te o żonie mojego bratanka i... zmarłym.

– Kiedy się cioci udało cokolwiek usłyszeć? – wyrwało się Iwonie.

Pamiętna rad przyjaciółek, przez ostatnie cztery dni pilnowała ciotki kosztem własnego czasu, nerwów i samopoczucia. Zrobiła zakupy na zapas, podstawiała Anatoli frykasy pod nos, towarzyszyła na spacerze, obejrzała nawet z nią kilka odcinków tureckiej telenoweli i, o zgrozo, wciągnęła się w fabułę! Ciotka nie miała szansy podłapać jakichkolwiek lokalnych plotek!

– We wtorek. I wczoraj wieczorem... I trochę dziś rano. Wiesz, w moim wieku człowiek już mniej sypia, wstaje o piętej...

Borkowska ze zgrozą pomyślała, że będzie musiała nastawić budzik na czwartą czterdzieści pięć, żeby wyprzedzić starszą panią, ale zaraz do niej dotarło, że nie, już nie musi, wylazło szydło z worka, mleko się wylało, koty za płoty, ciotka już najgorsze potwarze na jej temat usłyszała, a to

oznacza, że ona, Iwona, nie musi wstawać przed świtem, co więcej, nie musi już wisieć jak ten sęp nad Anatolą...

To wystarczyło, żeby Borkowskiej zrobiło się lżej na duszy.

– Pani Mołdawska ciocię dopadła o piątą? – zainteresowała się.

– Tak... skąd wiedziałaś?

– Nikt inny by się nie snuł po okolicy o takiej godzinie. Pan Machajko mógłby ciocię dopaść wieczorem, ale jego nie interesują romanse, prędzej by cioci naopowiadał o wszystkich napadach, do jakich doszło w okolicy w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Pana Machajkę fascynuje przestępczość – dodała pod adresem policjantów. – Unikam go, bo jak mi zacznie nawijać o tym, w jakiej szemranej dzielnicy żyjemy, to potem aż się boję po ulicach chodzić.

Sierżant zmarszczył brwi.

– To nie jest gniazdo zbrodni, to Ołtaszyn!

– W zasadzie ma pan rację, ale pan Machajko ma statystyki. I słucha podcastów.

– A, jeden z tych – westchnął bez entuzjazmu Królewiał.

– Niesamowite – ucieszył się jednocześnie Zacharczyk. – Niech panie mi koniecznie coś więcej opowiedzą o swoich sąsiadach! Macie tu fascynujące towarzystwo. I takie kreatywne!

Iwona i Anatola wymieniły spojrzenia. Owszem, przy odrobinie dobrych chęci szarżę inżyniera na stróżów prawa można by tak nazwać. Zaprezentowane przez niego połączenie karate z atakiem łopatą do śniegu było może mało skuteczne i wymagało jeszcze dopracowania, zwłaszcza w przypadku piruetu zakończonygo wykopem, który sprawił, że bohaterski obrońca ulicy wylądował w żywopłocie posesji numer dwa, ale tak, był to pewien przejaw kreatywności.

– Mnie niech pan nie pyta, ja tu mieszkam tymczasowo od poniedziałku – odcięła się stanowczo od miejscowego szaleństwa starsza pani.

Iwona zaczynała mocno podejrzewać, że w ciągu kilku dni ciotka zdążyła ukradkiem nazbierać wiadro plotek nie tylko o rzekomych

romansach żony bratanka, lecz zachowała przemyślenia dla siebie i przejęła pałeczkę.

– Na ulicy mamy osiem domów. Nieparzyste po tej stronie co my, parzyste naprzeciwno. Siódemka i ósemka zamykają ulicę. Zaczynając od Nefrytowej: po naszej stronie, pod jedyneką mieszka Magda Rybacka z córką. Magda jest tłumaczką, ma różne zlecenia o różnych porach. Zuzanna studiuje, ma długo zajęcia. Nie było ich, gdy znaleźliśmy Krystiana, i chyba jeszcze nie wróciły. Naprzeciwno nich, pod dwójką, od pół roku mamy nowych sąsiadów. On jest inżynierem, ona ma na imię Patrycja, dwoje dzieci, imion nie kojarzę. Ich zwykle też nie ma do późna, nie wiem, czy praca, czy zajęcia dzieci. Ale dziś byli. On ruszył na pana kolegów z tą łopatą, a ona pana sierżanta oślepiła latarką...

Królewiak skrzywił się i potarł odruchowo oczy. Inżynierostwo miało naprawdę porządną latarkę, która w razie potrzeby mogła chyba wysyłać sygnały w kosmos. Na pewno sprawdziła się w ofensywie sąsiedzkiej lepiej niż widły.

– Pod trójką jesteście my, to znaczy ja, mój mąż Tadeusz i tymczasowo ciocia. Tadeusza nie ma, pojechał w niedzielę na rajd w Bieszczady. Pod czwórką pani Mołdawska, ona tu mieszka od lat, chyba od samego początku. Nikogo nie lubi, więc nie przejmujcie się, że wam chciała grabiami przebić opony. Pod piątką mieszkał Krystian, wprowadził się na początku roku, wcześniej mieszkała tu jego cioteczna babka czy ktoś taki. Starsza pani, sympatyczna, ale mało towarzyska. Krystian odziedziczył po niej dom. Pod szóstką są Machajkowie. On strasznie wścibski i wszystkim się jara, ona zawsze bardzo zajęta, łązi po zajęciach dla seniorów. Jak ktoś ma pecha, to na nią trafi i wtedy ona o wszystkim opowiada. W ogóle się trochę dziwię, że Machajko stał z tymi widłami, zamiast robić fotki i wrzucać na grupę sąsiedzką... Pod siódemką są Laura Waciak i Zbyszek Rybacki...

– Rodzina Magdy Rybackiej spod jedyнки? – spytał sierżant, który pracowicie wszystko notował.

– Mąż – odparła beznamytnie Iwona. – Chyba jeszcze aktualny, rozwód niesfinalizowany...

– Mąż spod jedynki wprowadził się do domu na tej samej ulicy z nową partnerką życiową?

– Wprowadził się do nowej partnerki życiowej – doprecyzowała Borkowska. – Laura tu mieszka od dwóch lat.

– I co na to żona?

– A jak pan myśli? – prychnęła Iwona. – Albo inaczej: jakby pan się czuł, gdyby panu żona po dwudziestu latach małżeństwa oznajmiła, że jutro się wyprowadza, ale spokojnie, będzie blisko. I że w ogóle w żadnym razie pana nie zdradzała, po prostu potrzebuje przestrzeni i instynkt jej mówi, że trzy domy dalej znajdzie ją od ręki?

– Aż dziwne, że to ten mąż nie leży w krzakach z rozwalonym łbem – mruknęła Anatola.

Sierżant pokiwał głową.

– Nie wiadomo, czy nie leży – wypaliła bez namysłu Iwona. – Nikt nie sprawdzał chyba ich ogródka, a widzieć, to ich dziś nie widziałam.

Królewiak bez słowa wstał i wyszedł z kuchni, zapewne żeby upewnić się, że na Agregatowej nie ma kolejnych zwłok.

– Mogłabyś być miłsza dla pana sierżanta – pouczyła Iwonę Anatola. – Najpierw go kanapką trujesz, teraz stresów dokładasz, może by coś zjadł, a tak musi po krzakach latać...

– Stres to by panowie mieli, gdyby się jutro okazało, że przegapili trupa. Trochę obciach.

– Niewątpliwie – zgodził się podkomisarz. – Niech pani kontynuuje, pani Iwono, później koledze powtórzę.

Borkowska wzięła głęboki wdech.

– Pod ósemką jest pani Agata. Ta od psa. Sprzedaje ubezpieczenia. Nas nie lubi, bo nie chcieliśmy od niej wziąć. Tadeusz może by się jeszcze dał przekonać, ale ja się nie zgodziłam. Agent ubezpieczeniowy to czasem prawie jak spowiednik, a ja sobie nie życzę, żeby ktokolwiek z tego plotkarskiego gniazda zmij wiedział o mnie jeszcze coś więcej.

– Ponad to, że miała pani romans z denatem.

– Z nikim nie miałam romansu – zirytowała się Iwona.

- Dlaczego? – spytała zniecierpliwiona Anatola.

- Co? – Borkowską zatchnęło.

- Dlaczego nie masz z nikim romansu? Ten Krystian to za życia niczego sobie był, sama widziałam. Inżyniera bym nie polecała, jakiś taki mdły i koordynacja ruchowa marna. Koordynacja ruchowa jest bardzo ważna w te klocki! – Ciotka znacząco uniosła brwi. Kilka razy, przeczuwając chyba, że Iwona i podkomisarz mogą od razu nie załapać.

Sierżant Królewski, który właśnie wrócił, zatrzymał się w drzwiach niczym spłoszone zwierzątko, gotów do ucieczki. W tym momencie z twarzy wyjątkowo przypominał wiszące w przedpokoju trofea.

Albo Iwonę, która też wpatrywała się w Anatolę niczym karp zaskoczony wyciągnięciem z wody, wytrzeszczając oczy i bezdźwięcznie otwierając i zamykając usta.

- Pani Anatolu, nie każda kobieta jest istotą tak wielkich namiętności jak pani – zapewniał tymczasem starszą panią Zacharczyk.

- Pan mi tu nie wyjeżdża z pochlebstwami – zachnęła się ciotka, jednak bez specjalnego przekonania. – To już nie te lata...

- Pani Anatolu, takich rzeczy chyba pani nie opowiada panu Karimowi... – zamruczał podkomisarz.

Sierżant robił wrażenie kogoś, kto bardzo chciałby zapaść się pod ziemię, uciec z powrotem do ogródka lub przynajmniej schować pod stół. Zachował się jednak profesjonalnie i nie uległ pokusie. Usiadł na swoim krześle i zajął się robieniem notatek. Anatola co prawda protestowała, ale na policzki wystąpił jej rumieniec, a Zacharczyk skupiał na niej całą swoją uwagę i spijał z jej ust niemal każde zgryźliwe słowo.

Iwone coś zaczęło świtać. Najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Tyle się nasłuchiwała o wkurzającym, roznamiętnionym stróżu prawa od Celiny... O gościu, który upierał się, że jeśli to nie Celka jest morderczynią, to może jest nim chociaż wówczas jej jeszcze nieznan Jan Zbenda...

- To pan! – wykrzyknęła, celując w niego wyciągniętym palcem.

Policjant odwrócił się i natychmiast przerzucił na nią sto procent swojej namiętnej koncentracji.

– Ja? Zapewniam panią, że ze śmiercią pana Pożalki nie miałem nic wspólnego. Może przypominam pani kogoś? Może mordercę? Może widziała pani kogoś u sąsiada? Proszę mi o tym opowiedzieć!

– Nie! To pan! Pan jest tym wkurzającym, przystojnym gliniarzem, który przesłuchiwał Celinę!

Zacharczyk zamrugał, jakby przez chwilę nie kojarzył, a potem rozpromienił się niczym słońeczko.

– Celina Nowacka! Pamiętam, pamiętam. Co tam u niej? Żyje jeszcze? – zainteresował się.

– Oczywiście, że żyje! – prychnęła Iwona. – Dlaczego miałyby nie żyć?

– Cóż, jeśli wziąć pod uwagę kręgi, w jakich obracała się ostatnio, gdy mieliśmy przyjemność...

– Nie mieliście – poprawiła go Borkowska, u której solidarność z przyjaciółką wzięła górę nad wszystkim innym, łącznie ze stresem spowodowanym zbrodnią.

– Słucham?

– Nie mieliście. Przyjemności – doprecyzowała. – Celka to moja najlepsza przyjaciółka, jestem na bieżąco ze wszystkim. Więc wiem, że żadnej przyjemności nie mieliście. Nie żeby pan nie próbował...

Sierżant odłożył starannie długopis, a potem bardzo powoli i delikatnie uderzył czołem w stół. Wyprostował się, podniósł pisadło i wrócił do notowania.

– Przepraszam, musiałem – powiedział. – Tomek...

Zacharczyk wywrócił ostentacyjnie oczyma.

– To już było po śledztwie. Poza tym sam słyszałeś, nic z tego nie wyszło.

Ciotka Anatola wodziła wzrokiem od policjanta do żony swojego bratanka.

– Iwonko, ty znasz pana władzę?

- Ze słyszenia - potwierdziła Iwona, trochę nieuważnie. Już druga osoba waliła czołem w jej stół, może należało jakiś grubszy obrus położyć?

- Jednostronnie, obawiam się - zmartwił się ostentacyjnie podkomisarz. - Ale proszę kontynuować. Co pani Celina o mnie opowiadała?

- Mógłby ją pan sam spytać, gdyby chciała z panem rozmawiać - oznajmiła Borkowska. - Ode mnie się pan nic nie dowie.

- Ależ, pani Iwono, kieruje mną tylko troska o życie pani Celiny. Jeśli przyjaciółka wszystko pani mówi, to wie pani, że pozostały pewne... wątpliwości. Nie chciałbym, żeby sytuacja obróciła się przeciw pani Celinie...

Iwona zbyła jego troskę machnięciem ręki.

- Pan się nie martwi, jesteśmy na to przygotowane.

Podkomisarzowi zaświeciły się oczy.

- Naprawdę? Niech pani mi o tym opowie. Na pani sąsiada też byłyście panie... przygotowane?

- Nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Krystiana - orzekła stanowczo Borkowska. - Zapisał pan?

Sierżant, nagle włączony do rozmowy, niemal podskoczył.

- Tak, wszystko.

Iwona bezceremonialnie zajrzała mu do notesu.

- To o Celinie może pan wykreślić, bez związku ze sprawą. Małżeństwa ciotki mojego męża też nie mają z tym nic wspólnego. Nic nie widziałyśmy, nic nie słyszałyśmy, obie byłyśmy w domu i jesteśmy niewinne! To proszę zapisać!

Królewiak posłusznie wynotował.

- A teraz możecie sobie panowie iść i przesłuchiwać pozostałych sąsiadów. Już dwudziesta pierwsza, jak się zasiedzicie u nas, to nie wyrobicie się z resztą ulicy do północy.

Sierżant wziął sobie jej słowa do serca i zaczął się zbierać, ale podkomisarz wciąż się ociagał.

- Ależ ja bardzo bym chciał jeszcze posłuchać o związkach pani Anatoli. – Zacharczyk uśmiechnął się czarująco.

- To niech pan sobie włączy telenowelę, a nie dręczy starszą panią! – zarządziła Iwona.

- Wypraszam sobie starszą panią! – zawołała Anatola.

Podkomisarz chciał coś jeszcze powiedzieć, ale do Królewiaaka albo trafiły argumenty Borkowskiej, albo zaczął się obawiać, co jeszcze przełożony wyciągnie z ciotki. Mało subtelnie pociągnął Zacharczyka za ramię i na zewnątrz.

Iwona zamknęła za nimi drzwi na dwa zamki, na wypadek gdyby śledczy albo grasujący w okolicy morderca próbowali wejść do środka.

- Ciocia ma siedemdziesiąt lat – wypomniała stojącej w korytarzu Anatoli. – Niezależnie od wigoru, kwalifikuje się ciocia na starszą panią!

Ciotka prychnęła z oburzeniem.

- Litości, nawet kochanka nazywasz czwartym mężem! – nie wytrzymała Iwona.

Anatola już chciała zaprotestować, ale nagle coś w niej skłęśło.

- Masz rację. Masz rację, jestem stara – jęknęła, jakby właśnie dotarła do niej własna data urodzenia. – I, o zgrozo, wyłazi ze mnie dulszczyzna Borkowskich, nawet do własnego kochanka nie umiem się wprost przyznać!

Iwona była zdania, że przyznawanie się do kochanków wychodzi cioci znakomicie, ale rozsądnie przemilczała ten temat i uczepiła się innego.

- Co to znaczy „dulszczyzna Borkowskich”? Nie rób takiej miny, zmieniłam nazwisko po ślubie, ta jakaś dulszczyzna jest też moja!

Rozdział 5

Anatola za nic nie chciała rozwinąć tematu, mimo że Iwona przebiegle najpierw odmawiała jej kolejnego drinka, a potem przeciwnie, koniecznie starała się ukoić alkoholem nerwy starszej pani, niewątpliwie skołatane wydarzeniami popołudnia. Swoje ukoili klasycznym wyparciem – nie mogła wszak myśleć o zwłokach w ogródku obok, gdy koncentrowała się na rozwiązywaniu rodzinnych tajemnic niskiego stopnia.

Ciotka łypała na nią podejrzliwie, wsuwała kanapki, jakby cały dzień nic nie jadła, i twardo milczała. Borkowska zaczęła osiągać granice wytrzymałości i miała coraz większą ochotę, żeby potrząsnąć Anatolą i wreszcie zmusić ją do puszczenia farby, lecz w sięgnięciu po przemoc przeszkodził Borkowskiej dzwonek.

Zirytowana Iwona poderwała się i już-już miała iść sprawdzić, kto przyszedł, kiedy przypomniała sobie, co się wcześniej stało. Od paru godzin nie mieszkała w spokojnej dzielnicy, przy zacisznej uliczce. Mieszkała dosłownie dziesięć metrów od miejsca zbrodni i musiała zachowywać się adekwatnie do sytuacji!

Wyciągnęła z szuflady tłuczek do mięsa i dopiero tak uzbrojona poszła otworzyć drzwi. Ciotka, wciąż bez słowa, porwała ponownie nóż szefa kuchni i zabezpieczała tyły.

W obliczu zagrożenia bez wahania zwarły szyki i Iwona była dumna z ich rodzinno-kobiecej solidarności.

Ulżyło jej też ogromnie, gdy otworzyła drzwi i okazało się, że jednak nie mieszkają w aż tak niebezpiecznej okolicy.

Na progu stał skamieniały niczym ten słupek soli sierżant Królewiaak, a na rękach trzymał najżałośniejsze stworzenie, jakie Iwona w życiu widziała.

Był to pies, który wyglądał jak nie siedem, tylko siedemnaście nieszczęść. Nieduży, wielkości warchlaka, miał krzywe łapy, krzywy pysk,

wybałuszone ślepka i sierść przypominającą bardziej szczecinę.

Spoglądał na Borkowską małymi, smętnymi oczkami w taki sposób, że natychmiast zrobiło jej się głupio. Biedne stworzenie, a ona tu do niego z ofensywą... Dla równowagi sierżant miał oczy wielkie jak spodki. Iwone przemknęło przez myśl, że stróże prawa powinni raczej przypominać wilki czy rysie, a nie spłoszone jelonki oślepienie reflektorami ciężarówky, ale może Królewiał miał aparycję maskującą.

O tłuczku uniesionym w pozie agresywno-defensywnej przypomniwała sobie dopiero, gdy sierżant chrząknął znacząco i skinął głową w stronę dzierżonego przez Borkowską tępego narzędzia.

- Przepraszam, ja tak na wszelki wypadek... - usprawiedliwiła się.

Królewiał nie wyglądał na przekonanego, lecz przynajmniej nie zamierzał uciekać. Anatola, niższa od Iwony o głowę, próbowała wyrzec z za jej pleców, przy okazji niemal dźgając ją nożem w łokieć.

- Ciociu - syknęła Borkowska.

Sierżant zrobił krok w tył.

- My naprawdę tylko tak na wszelki wypadek - wyjaśniła Iwona. - W samoobronie. Gdyby tu przyszedł morderca. Nie pan, oczywiście, policji już dziś nikt nie będzie atakował. A pan tak sam?

- Tomek... Podkomisarz Zacharczyk jest z prokuratorem w domu denata - przyznał niechętnie Królewiał. Tęsknie zerkał w stronę oświetlonego policyjnymi reflektorami ogródka Krystiana. Tam kręciło się jego policyjne stado, a tu, ledwie parę metrów dalej, był sam, zdany na łaskę dwóch uzbrojonych kobiet...

- Będziecie u Iwonki i Tadeusza szukać narkotyków? - zainteresowała się Anatola.

- Ciociu!

- No co, z psem przyszedł... Widziałam w telewizji, jak robią przeszukania.

- Nie, to nie tak - zapewnił ją pośpiesznie Królewiał. - To jest pies denata.

Iwona przyjrzała się zwierzęciu podejrzliwie. Ono z kolei wciąż spoglądało na nią z pełną rezygnacją.

– Krystian miał psa? Nie zauważyłam w ogóle...

– No tak, ty to byś od razu zauważyła... – wtrąciła się zza jej pleców Anatola.

Borkowska miała wielką ochotę sprzedać cioci przypadkowego kuksańca łokciem, ale powstrzymała ją świadomość, że starsza pani wciąż trzyma nóż w pozie ofensywnej.

– Od wczoraj – wyjaśnił sierżant. – Przygarnął kundla... właściwie to nie wiem, czy to jest kundel z pechem w loterii genetycznej, czy przerasowany kanapowiec... Schował się, dopiero teraz znaleźliśmy go w krzakach. Właściwie to powinniśmy odwieźć go do schroniska, ale udało nam się skontaktować z menedżerem pana Pożałki, który powiedział, żebyśmy zanieśli go do pani.

– Menedżer pana Pożałki? – zdziwiła się Iwona. – On miał jakiegoś menedżera?

– Bardziej gościa od social mediów, ale tak, miał. Bartłomieja Radeckiego...

Borkowska osłupiała.

– Bartka? Bartka Radeckiego?

– Zna go pani?

– Oczywiście, że go znam, to jest były Celiny. Od roku z nim nie gadałam, odkąd się rozstali, bo rozumie pan, Celka to moja przyjaciółka od zawsze, więc po rozstaniu to wiadomo, nawet jak jest kulturalnie, to jednak wypada wybrać stronę...

Sierżant miał taką minę, jakby nie było mu to wiadome, a on sam właśnie odbywał przyspieszony kurs życia według Borkowskich. Odważnie jednak wziął głęboki wdech i wpadł Iwonie w słowo.

– Pan Radecki prosił o przekazanie pani, że wszystko pani wyjaśni, tylko żeby pani na razie nic nie mówiła Celinie.

Iwona zdziwiła się jeszcze bardziej.

- On głupi jest? Kiedyś sprawiał wrażenie całkiem bystrego, ale wie pan, pozory mylą. A już zwłaszcza przy mężczyznach, mężczyźni to gorzej niż kameleony, taki kameleon, proszę pana, to jakiego koloru by nie przybrał, to i tak jest fajny, a facet? Jednego dnia spoko kratka, drugiego dnia ohydne paski, takie różowo-limonkowe, niech pan sobie wyobrazi. Aż wzdryga. Chociaż Bartek to się aż tak maskować nie mógł, Celka by z nim tyle lat nie wytrzymała, gdyby był totalnym głupkiem. No a tak poza tym, to oczywiście, że wszystko zaraz powiem Celinie. Niech pan nie robi takiej miny, to jest były mojej przyjaciółki, to chyba oczywiste, że jej powiem wszystko, zwłaszcza jeśli on tego nie chce. Zadzwonię albo chociaż wiadomość napiszę, żeby wiedziała, że on mi tu zwierzęta podrzuca!

- Bardzo mądrze, Iwonko - pochwaliła z za je pleców Anatola. - Nie ma co słuchać próśb jakichś mammasów, na tym się tylko źle wychodzi.

Dla podkreślenia swoich słów machnęła nożem. Sierżant zrobił drugi krok w tył.

- Czy ciocia mogłaby odłożyć nóż? Psa ciocia straszy - poprosiła dyplomatycznie Borkowska.

Anatola nie wyglądała na przekonaną, a pies na przestraszonego. Sprawiał wrażenie stworzenia, które jest już tak zrezygnowane, że nie ma w sobie dość energii nawet na strach.

Iwone coś piknęło w sercu. Nigdy nie chciała mieć w domu zwierząt i nie widziała się w roli opiekunki psa, ale nie mogła powiedzieć sierżantowi, że nie, niech sobie Bartek zabiera kundla albo niech go zawiozą do schroniska...

- Bartek powiedział, żeby go pan u mnie zostawił? - upewniła się jeszcze raz.

Królewiak pokiwał głową.

- Ja się w ogóle nie znam na psach - powiedziała niepewnie. - Ale może skoro to tylko na dziś...

- Jakie dziś - wtrąciła się surowo Anatola. - Iwonko, karmisz odkurzacz papryką, uwierz mi, potrzebne ci w życiu zwierzątko. Oddaj mi tłuczek i zabierz panu policjantowi psa.

- Tłuczek to może ja zabiorę - wtrącił sierżant. - Rozumie pani, tępe narzędzie...

Jedną ręką zręcznie odebrał Iwonie przyrząd i trzymał go ostentacyjnie w dwóch palcach, a drugą wepchnął w jej ramiona psa. I uciekł, nawet nie kryjąc się z tym, że szybkim truchcikiem opuszcza ogródek numeru trzeciego, żeby pobiec pod piątkę, do swoich ziomków i do zwłok.

- Czy on...

- Zwiął - potwierdziła głęboko zniesmaczona Anatola. - Dzisiejsza policja, oburzające. I jeszcze ukradł ci tłuczek!

- A to taki porządny, aluminiowy... - westchnęła z żalem Iwona. - Chwila, on powiedział, że zabiera, bo to tępe narzędzie? Że niby zatłukłam tym Krystiana?

- Sama mówisz, porządny tłuczek, może akurat by się nadał. Nie martw się, przyłożą do zwłok i potem ci oddadzą, jeśli oczywiście nie będzie pasował. Widziałam w telewizji.

- Przyłożą do zwłok? - pisała Iwona. Jej tłuczek, markowy!

Pies, do tej pory nieruchomo zwisający z jej ramion, poruszył się nerwowo.

- Nie strasz go - zgaśniła ją Anatola. - I wnieś to biedne zwierzę do domu, kto wie, czego on dziś był świadkiem...

Borkowską wmurowało w progu.

- Jak do środka, sama ciocia mówi, że on mógł widzieć, jak mordują Krystiana, a my go zabierzemy do tego... mauzoleum! Tu są wszędzie wypchane zwierzęta, co on sobie pomyśli?

- On sobie, Iwonko, pomyśli, że trafił między łowców i między swoich - oznajmiła Anatola. - To potomek wilka, naturalny drapieżnik, drzemie w nim dusza myśliwego!

Potomek wilka, z wyglądu bardziej przypominający mocno zużytą szczotę, podniósł łeb i spojrział na Iwonę, jakby chciał jej dać do zrozumienia, co myśli o natchnionym bełkocie ciotki. Borkowska poczuła z nim nagłą wspólnotę dusz, bynajmniej nie polujących.

Ale skoro już o polowaniach była mowa, przypomniał jej się pewien istotny szczegół, wcześniej zapomniany wobec natłoku innych wydarzeń.

– Czy ja dobrze pamiętam, że ciocia coś mówiła o tych wypchanych trupach na ścianach? Że ojciec Tadeusza naprawdę to wszystko wygrał w karty?

– Wszystkie co do jednego – potwierdziła Anatola. – Aż się dziwię, że się tego nie pozbyliście, ani to ładne, ani praktyczne...

– Tadeusz chce zachować ducha rodziców we wnętrzach. – Iwone nie udało się ukryć goryczy w głosie.

– To niech zrobi wieczór z kartami i wódką, a na koniec rozwali butelkę na ścianie w przedpokoju, tam, gdzie dzik wisi. Halina specjalnie go tam dała, żeby zasłonił dziurę, którą wybił Anatol. I jej się wcale ten wystrój nie podobał, ale zawarli układ. Ona się nie czepia martwych zwierzątek, a on jej oddaje całą biżuterię, którą wygrał albo której dłużnicy nie wykupili.

– Dłużnicy?

– Iwonko, Tadeusz ci nie powiedział, co robił jego ojciec?

Borkowska się skupiła. Nie, właściwie to jej nie powiedział, nigdy wprost. Wiedziała, że Anatol Borkowski miał firmę, której działalność zakończyła się wraz z jego śmiercią, ale Tadeusz zawsze mgliście mówił o interesach, handlu...

– Nie. Nigdy tak dosłownie.

Anatola pokręciła głową.

– Co też ten chłopak sobie myśli... Anatol był lichwiarzem. Takim najgorszego sortu, pijawką, chciwym draniem, do tego miłośnikiem hazardu. Do jednego i drugiego miał smykałkę, na szczęście swoje i rodziny.

– Ale... ale serio? – Iwone opadła szczęką.

Przez wszystkie lata małżeństwa przyzwyczała się do tego, że teściowie – z oczywistych względów – stali się mitycznymi istotami, podziwianymi i wspominanymi. Jak się właśnie przekonywała, Tadeusz najwyraźniej wyznawał zasadę, że o zmarłych tylko dobrze... albo miał

klapki na oczach? Ale dlaczego nic nie powiedział jej, własnej żonie? Przecież to by nic nie zmieniło! A może bał się, że zmieni? Borkowska usilnie próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek powiedziała coś, co kazało Tadeuszowi przypuszczać, że lepiej o profesji ojca nie wspominać... Mogła, faktycznie mogła coś powiedzieć, w końcu robiła w leasingach, zdarzało jej się psioczyć na nieetyczne pożyczki...

– Serio – potwierdziła Anatola. – A te wszystkie trofea wygrał, w dodatku razem z pokazną gotówką. Chyba dlatego Halina przełknęła, że się uparł je na ścianach powiesić... Diabli go wiedzą, może chciał na szlacheckich przodków pozować, wiesz, taki łuk Karwowskiego, tylko na ścianach...

– To nie był łuk, tylko portret rzekomego przodka – poprawiła Iwona.

Chętnie kontynuowałyby temat, ale zwierzę na jej rękach poruszyło się, wyraźnie sygnalizując, że ma dość noszenia. Borkowska postawiła kundla na podłodze, co ten natychmiast wykorzystał do zaznaczenia terenu.

Iwona pisnęła i rzuciła się po papierowe ręczniki.

– Nie stresuj go, bo jeszcze bardziej się zleje – skarciła ją Anatola. – Sama mówiłaś, pies po przejściach.

– Jak się otrząśnie, to trzeba mu będzie wytłumaczyć, że ma chodzić do ogródka. – Borkowska wytarła podłogę. – Co w ogóle mamy z nim teraz zrobić?

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nigdy nie miałam psa. Może kogoś powinniśmy spytać? Albo sprawdzić w internecie.

Iwona rozważyła opcje i bez słowa sięgnęła po telefon. Celina odebrała po trzecim sygnale.

– Sprawa jest poważna – oznajmiła grobowym tonem Borkowska. – Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać. Bartek, twój Bartek, to znaczy już nie twój, ale kiedyś, jest... był menedżerem mojego sąsiada. I skontaktował się ze mną, to znaczy policja się ze mną skontaktowała w imieniu Bartka...

- Co ty bredzisz? - wpadła jej w słowo Nowacka.

- Nie przerywaj!

- Jak mam nie przerywać, skoro nie rozumiem, co do mnie mówisz!

- Po polsku nie rozumiesz?

- Po polsku rozumiem, ale ty nie umiesz po sensownemu! Iwona, głęboki wdech, jeszcze raz i w punktach. Oddech, raz, dwa, trzy, czego potrzebujesz?

- Wyprawki dla psa - wypaliła Iwona. - Krystiana ktoś zamordował, w ogródku. On miał psa. Bartek kazał policji przynieść tego psa do mnie. Policjant mi go zostawił i zabrał mój tłuczek do mięsa, ten z Duki! I chyba jestem podejrzana o morderstwo, a na pewno o to, że miałam z nim romans. Z Krystianem, nie z Bartkiem. I nie z policjantem, chociaż on jest tak przystojny, jak mówiłaś, i ma gadane...

- O cholera - jęknęła Celina z głębi swojego jestestwa.

- O właśnie! - ucieszyła się Iwona, która wreszcie poczuła się zrozumiana. - I co ja mam teraz zrobić?

- Nie romansować z policjantem - odpowiedziała bez wahania przyjaciółka. - Wyciągnie z ciebie w łóżku przyznanie się do winy, jak ostatnia kanalia. Co z ciotką?

- Wszystko dobrze. Ma nóż, policjant jej nie zabrał. To chyba oznacza, że Krystiana nikt nie dźgnął.

- Iwona...

Borkowska zaczęła płakać.

- W ogródku leżą nogi Krystiana, ty w ogóle wiesz, jak wyglądają martwe nogi? Jak żywe, tylko bladziej! I mam psa, boję się o ciotkę i tego wszystkiego jest za dużo, i ja już sama nie wiem, co mam robić.

- Kawę - poleciła Celina. - Kawę sobie zrób. Albo nie, herbatę, taką powoli, porządnie parzoną, żebyś się na tym mogła skupić. Psu nalej wody do miski. Ciotce daj herbaty. Ja już jadę.

Rozłączyła się.

Iwona odłożyła komórkę z miłym i sprawiającym ogromną ulgę poczuciem, że chwilowo ktoś inny zajmie się ogarnianiem jej życia

i rzeczywistości, a ona sama musi tylko napić psa wodą, a siebie herbatą.

Myśli Anatoli podążały najwyraźniej tym samym torem, tylko postanowiła napić siebie i żonę bratanka resztką wódki z odrobiną soku.

*

Celina pojawiła się półtorej godziny później, objuczona trzema wypchanymi torbami. Iwona i Anatola wybiegły jej na powitanie, kundel dość niepewnie podążył za nimi. Borkowska obstawiała, że niezależnie od wilków wśród przodków wolał nie zostawać w krypcie taksydermisty.

– Zdażyłam przed zamknięciem sklepów. Mam posłanie, karmę mokrą, przysmaki odstresowujące i zabawki – oznajmiła Celka, gdy z całym tym nabojem przeciskała się przez furtkę. – Weź tę torbę, wyżej, nad płotem, pękata jest. Nie chcieli mnie tu w ogóle wpuścić, wyobrażasz sobie? Wskoczył jakiś knypek z radiowozu, powiedział, że nie wolno, i myślał, że ja się go posłucham! Zostawię ci cały ten chłam, chwilę posiedzę, ale Jan na mnie czeka w aucie na początku Nefrytowej, odmówił kontaktu z tym świrem pogrzebowym.

– Świrem pogrzebowym? – zdziwiła się Anatola.

– Pani Celino! – rozległ się radosny okrzyk podkomisarza.

– O właśnie tym – mruknęła Nowacka.

Zacharczyk niemal w podskokach pokonał ogródek Krystiana i dopadł płotu. Entuzjastycznie przewiesił się przez sztachety.

– Cudownie panią widzieć. Jak zdrowie? Nie ma pani przypadkiem jakichś duszności?

– Tylko mnie zatyka i wstrząsa na pana widok – odpowiedziała uprzejmie i donośnie Celka. – Niech pan się na coś przyda, proszę się tu pofatygować i pomóc mi z tym bagażem. A ten z tyłu to kto?

Iwona obejrzała się na sierżanta Królewia, który niepewnie wyglądał zza ramienia zwierzchnika.

– To jest asystent pana komisarza – wyjaśniła.

– Przewalone – poinformowała sierżanta z rzeczowym współczuciem w głosie Celina. – Niech pan zasuwa na naszą stronę i wniesie tę trzecią

torbę, sznurki mi się z niej wysypują.

Na hasło sznur podkomisarz, który już miał opuścić ogródek Krystiana, odwrócił się niczym w tanecznym piruecie.

– Sznury, pani Celino? Nie obawia się pani, że pana Zbęde na ich widok mogą ogarnąć pewne... popędy?

– Obawiam się tylko o pańskie wątle zdrowie psychiczne – odparowała Celina.

Królewiak wydał z siebie dziwny dźwięk, coś między parsknięciem a oburzonym westchnięciem.

– Ach tak? – Podkomisarz ucieszył się nie wiadomo z czego.

– Niech pan się tym przesadnie nie podnieca, wisiałoby mi, co się dzieje w pana głowie i innych częściach ciała, gdyby nie to, że sąsiad mojej przyjaciółki padł trupem. Jak widzę, braki kadrowe dają się wrocławskiej policji mocno we znaki, skoro już im się wszyscy kompetentni ludzie pokończyli i musieli wysłać pana. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że to jest jakaś w miarę prosta sprawa albo chociaż sprawca przyzna się z litości.

Zacharczyk nie sprawiał wrażenia zdruzgotanego jej słowami, wręcz przeciwnie – rozkwitał i promieniał w centrum uwagi niczym czarne słońce. Iwona w ogóle by się nie zdziwiła, gdyby podkomisarz zaczął zachęcać Nowacką, żeby jeszcze do niego mówiła, i jeszcze, i jeszcze...

Może by i rzeczywiście się do tego posunął, ale z głębi ogródka denata wychynął tym razem nieznanym Borkowskiej facet w średnim wieku. Ubrany był w garnitur, podobnie jak Zacharczyk, a w kłapie miał słusznych rozmiarów przypinkę z wizerunkiem jakiegoś świętego. Święty w jednej ręce dzierżył różaniec, a drugą podtrzymywał zezującego pieska.

– Podkomisarz Zacharczyk jest narzędziem sprawiedliwości i jako to narzędzie reprezentuje sobą polski wymiar sprawiedliwości – zaczął głosem tubalnym, natchnionym i mocno karcącym.

Iwona aż złapała Anatolę za ramię, przekonana, że Celina zaraz zostanie aresztowana za obrazę władzy, majestatu, czegokolwiek!

– Serio? – spytała zupełnie nieprzejęta majestatem Nowacka. – Bo ja miałam z panem podkomisarzem do czynienia. Wielokrotnie. A jeśli chodzi o polski wymiar sprawiedliwości, to wyciągnęłam wnioski, jak sam pan właśnie słyszał.

– Składała pani skargę? – spytał nieufnie przybysz. W jego tonie dało się usłyszeć lekką nutkę rezygnacji, jakby nie pierwszy raz stykał się z kimś reagującym alergicznie na Zacharczyka. Co, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co Iwona o nim słyszała od Nowackiej i czego sama była świadkiem, wcale jej nie dziwiło.

– Nie, a powinnam? – zainteresowała się uprzejmie Celina. – A pan to w ogóle kto? Też narzędzie sprawiedliwości?

– Prokurator Marcin Domski – przedstawił się szarmancko podkomisarz. – Panie prokuratorze, pani Celina Nowacka...

– ...nie wie nic o zdarzeniu, nie było jej tu, ma alibi na cały dzień, a nieboszczyka widziała ze dwa razy na oczy. No, może trzy – wpadła mu w słowo Celka.

– Pani Celino! – Zacharczykowi udało się trudna sztuka wyrażenia głosem radosnego zbulwersowania. – Pani też? Czy pan Jan wie, że obserwuje pani sąsiadów przyjaciółki?

– Pan Jan również nie wie nic o zdarzeniu, nie było go tu, ma alibi na cały dzień, a nieboszczyka nie widział na oczy w ogóle. Na wypadek gdyby pan się upierał, że jest inaczej, z przyjemnością pofatyguje się na komendę w towarzystwie swojego reprezentanta prawnego – wyrecytowała Nowacka. – Poza tym, serio, Wrocław ma sześćset tysięcy mieszkańców, a województwo dolnośląskie ze trzy miliony. Czy pana narzędzie sprawiedliwości mogłoby tak dla odmiany wyjść poza swoją strefę komfortu i poszukać podejrzanych gdzie indziej?

Prokurator, do którego to pytanie było skierowane, nie zaszczyił Celiny odpowiedzią. Sapnął, łypnął spode łba na podkomisarza i odmaszerował w głąb ogródka.

Zacharczyk najwyraźniej doskonale rozumiał mowę ciała zwierzchnika, bo westchnął teatralnie.

- Obowiązki wzywają... Do widzenia, pani Celino, cudownie widzieć, że pani jeszcze żyje - roztkliwił się na pożegnanie.

- Powiedziałybym, że nie odwzajemniam tego uczucia, ale jeszcze by pan to sobie zinterpretował - odgryzła się Nowacka. - Do widzenia. Ale pana asystent niech nie ucieka, podrzuciliście Iwonie psa, to chociaż pomóżcie wtargać wyprawkę.

- Ależ oczywiście. - Zacharczyk rozpromienił się, bez wahania poświęcając kolegę.

Sierżant rzucił mu spojrzenie zdradzonego szczeniaczka, ale posłusznie pomaszerował do ogródka Borkowskich.

Rozdział 6

– To jest lepsze niż *Suttanka Kösem* – powiedziała z głębokim zachwytem Anatola, gdy podkomisarz i prokurator zniknęli w głębi ogródka Krystiana.

– Serio? – Iwona miała wrażenie, że jednak w telenowelach jest więcej akcji i dramatu niż w życiu. – To... dobrze?

– To fatalnie – wyjaśniła jej Celina. – Życie to nie serial, powinno być nudne, przewidywalne i do opanowania. Już w tym roku zaliczyłam wystarczającą ilość akcji i absurdu, więcej nie chcę.

– No przepraszam cię bardzo, że mój sąsiad dał się komuś zamordować!

– Nie psioz pośmiertnie na sąsiada, to nie jego wina, kogo mu do śledztwa przydzielili.

Za plecami Nowackiej rozległo się nieśmiało chrząknięcie.

Sierżant stał pod furtką, tuląc do piersi torbę z psimi zabawkami niczym tarczę. Był przy tym niepokojąco podobny do wiszącego w przedpokoju Borkowskich popiersia młodej sarenki: oboje byli równie ładni i zaskoczeni sytuacją, w jakiej się znaleźli.

– To jest pan sierżant Królewicz – przedstawiła formalnie Iwona.

– Królewiak właściwie – poprawił nieśmiało policjant. – Ale wszyscy w pracy też mówią Królewicz.

Nowacka i Borkowska wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nic dziwnego, że wszyscy tak mówili. Sierżant miał urodę zagubionego książątka, które tylko czekało na wieży, aż je jakaś zmyślna niewiasta uratuje od smoka dzięki sile intelektu albo mięśni.

– To my też możemy? – zainteresowała się Anatola.

– Nie, ciociu. Pan sierżant jest z nami na stopie formalnej, nie może się bratać z osobami, którym konfiskuje tłuczki do mięsa.

Królewicz splotnął delikatnym i wyjątkowo twarzowym rumieńcem.

– Nie poznałaś mojej przyjaciółki. To znaczy nie zostałyście sobie oficjalnie przedstawione – przypomniała sobie Iwona, miłosiernie odwracając uwagę Anatoli od sierżanta. – Celina Nowacka, Anatola Świeradek-Kozłowska, ciotka Tadeusza.

– Dobry wieczór – przywitała się grzecznie Celka. – A pies gdzie? Weź tę torbę, tu są przysmaki odstresowujące.

– Przysmaki odstresowujące? – ożywiła się Borkowska.

– Dla psa. Takie z dodatkiem krewetek.

– Krewetki to by mnie teraz odstresowały. Taki koktajl... – westchnęła tęsknie Iwona.

– Zjedz przysmaczka – zaproponowała Anatola.

– To dla psa!

– Jak patrzyłam na składy, to psie żarcie jest lepsze od tych konserw, które gromadzi mój ojciec na wypadek apokalipsy – stwierdziła Nowacka. – Niech pan się przestanie czaić obok furki i wniesie to wszystko do środka! – ponagliła sierżanta. – Tam jest posłanie i podkłady, na wszelki wypadek.

– Podkłady?

– A wiesz, czy ktoś tego kundla nauczył, że ma się załatwiać na dworze? Albo czy w ogóle nie będzie się bał wyjść?

– Ma pani psa? – zainteresowała się Anatola.

– Nie, ale mój tata od zawsze ma przynajmniej dwa dobermany. Obronne, na wypadek gdyby apokalipsa w końcu przyszła. Niech pani nawet nie pyta – zastrzegła. – To jest długa historia, której nie zamierzam opowiadać. Wnieśmy to wszystko do domu i sprawdźmy, gdzie jest pies.

– Siedział w kuchni pod stołem – zaraportowała idąca przodem Iwona. Sierżant zamykał procesję. Sprawiał wrażenie kogoś, kto woli mieć otwartą drogę ucieczki.

Pies wciąż tkwił w tym samym miejscu. Siedział pod ścianą i wyglądał już nie jak siedem, lecz jak czternaście nieszczęść. Borkowska przyjrzała

mu się niepewnie. Wyglądał na zestresowanego, ale przynajmniej z miski ubyla połowa wody. Może faktycznie te podkłady to był dobry pomysł...

– Myślisz, że ma traumę po śmierci Krystiana?

– Jeśli się do niego mocno przywiązał...

– Przez jeden dzień raczej nie zdążył – zauważyła Anatola.

Celina odstawiła torby pod ścianę i przyjrzała się im krytycznie. Wszystkim: zasepionej Iwonie, wyraźnie zarumienionej Anatoli i spłoszonemu sierżantowi.

– Od początku – zażądała. – To jest pies Krystiana, tego fitnessiarza z ogródka obok, tak?

Wszyscy troje pokiwali głowami.

– I Krystian fitnessiarz nie żyje?

– Od tępego narzędzia – wyrwało się Iwonie. – Pan sierżant mi zabrał tłuczek!

Nowacka spojrzała na Królewiaaka nader wymownie, dając wyraźnie do zrozumienia, że do sprawy konfiskaty tłuczka jeszcze wróca.

– Pan podkomisarz uważa, że moja przyjaciółka i jej ciotka, pardon, ciotka jej męża od wczoraj rano zdążyły uknuć spisek i wykończyć sąsiada markowym tłuczkiem Iwony? – spytała uprzejmie. – Proszę się nie kłopotać odpowiedzią, to w zasadzie pytanie retoryczne. Ale chciałabym się dowiedzieć, skąd w tym wszystkim wziął się pies.

Iwona i Anatola zgodnie odwróciły się do sierżanta, oczekując od niego wyjaśnień. Królewiaak odchrząknął.

– W toku czynności ustaliliśmy, że pan Pożalka przygarnął tu obecne zwierzę wczoraj. Pies jest zaczipowany i ma komplet szczepień, a w jego książeczce jako właściciel wpisany jest pan Radecki, menedżer pana Pożalki.

Celina zmarszczyła brwi.

– Jestem pewna, że Bartek go nie zamordował, ale tak z czystej złośliwej ciekawości spytam, czy ktoś od państwa pofatygował się do niego, on chyba na Gądowie teraz mieszka, i skonfiskował mu wszystkie tłuczki?

- Myślisz, że Bartek w ogóle miałby w domu tłuczek? - zważyła Borkowska. Zdążyła całkiem nieźle poznać eksa Celiny, w końcu przez cztery lata był związany z jej najlepszą przyjaciółką, i z ręką na sercu mogłaby zaświadczyć, że z gadżetów kuchennych to Radecki prędzej by miał maszynkę do zwijania sushi niż coś tak pospolitego jak tłuczek.

- Myślę, że nie. Ale policja nie zna Bartka tak jak my i powinna sprawdzić gościa, który najwyraźniej miał więcej kontaktów bezpośrednich z denatem niż ty. W ogóle odkąd on jest czymkolwiek menedżerem?

- Pan Radecki nie działał w tej branży? - zainteresował się sierżant.

- W jakiej branży? Kryminalnej? Menedżerskiej? Fitnessowej? Na początku roku to działał wyłącznie jako deweloper gier, ale może zmienił ścieżkę kariery. Nie wiem, nie utrzymuję z nim kontaktów. Możecie go sami spytać, jak będziecie sprawdzać, czy ma tłuczek i alibi - zaproponowała złośliwie.

- Ty, ale wiesz, to trochę słabe tak napuszczać policję na byłego - wtrąciła się Iwona. - Oczywiście jestem totalnie po twojej stronie, ale wiesz, trzeba grać fair.

- Ty, a ty nie widzisz, że ja jestem totalnie po twojej stronie? - odparowała Celina. - Bartek by w życiu nikogo nie zamordował, ale niech się policja nie skupia tylko na tobie! Mogą go trochę poprzęsłuchiwać, niewinny jest, nie zaszkodzi mu to.

Borkowska zerknęła nerwowo w stronę sierżanta.

- Myślisz, że tego podkomisarza to obchodzi, czy ktoś jest niewinny? - syknęła. Próbowwała szeptem, ale chyba jej nie wyszło, bo Królewski nagle poczerwieniał i zaczął bardzo starannie udawać, że nic nie słyszy, za to sufit jest fascynujący.

- Kurczę, ty możesz mieć rację - westchnęła Nowacka.

Dyskusję przerwało im niedyskretne chrupnięcie. Anatola stała obok kuchennych szafek, wpatrzona w nie obie, z otwartą paczką chipsów w dłoni, i starała się je dyskretnie przeżuwać. Iwona poczuła ukłucie irytacji; ciotka mieszkała u niej niecały tydzień i już wyczała kryjówkę na przekąski!

– Mogłaby ciocia chociaż pana sierżanta poczęstować!

– W żadnym razie – zaprotestowała Celina. – Pan się zatka żywnością, a ja chcę się dowiedzieć, dlaczego kupuję wyprawkę dla psa mojego byłego.

– Bo do ciebie dzwoniłam, żebyś to zrobiła – przypomniała jej Iwona. – Właściwie to mogłam powiedzieć, że to tylko na jedną noc...

– Ty się nie tłumacz, od tłumaczenia to tu jest policja – uparła się Nowacka.

Jej przyjaciółka zaczęła podejrzewać, że Celina wykorzystała noszenie toreb, żeby odseparować od stada najsłabszą sztukę i wykorzystać okazję... Rany, jaka to była genialna strategia!

– W ramach czynności operacyjnych skontaktowaliśmy się z panem Radeckim – zaczął sierżant tonem urzędowo monotonnym, wciąż wpatrzony w plafon na suficie. – Pan Radecki dysponuje alibi na czas śmierci pana Pożalki. Ponadto pan Radecki poinformował nas o fakcie przebywania na terenie posesji psa, który został przez nas odnaleziony w krzakach. Na prośbę właściciela zwierzę zostało przekazane pod tymczasową opiekę znanej panu Radeckiemu pani Iwony Borkowskiej...

– Ładnie recytuje – stwierdziła Anatola. – W policji tak pana nauczyli? Macie zajęcia z elako... eloku... ejaku...

– Może ciocia sobie siądzie i napije się wody – wpadła jej gwałtownie w słowo Iwona. – A my tymczasem zajmujemy się psem.

Celina, która właśnie na czworakach zaglądała pod stół, pokiwała głową tak energicznie, że prawie przywaliła w krzesło.

– Wolałabym jeszcze wódki – wyznała Anatola.

Nowacka gwałtownie się wyprostowała. Dalej klęczała na podłodze, więc dokładnie na linii wzroku miała stół, zastawiony wyjątkowo jednoznacznie szkłem.

– Musiałyśmy się wspomóc psychologicznie, jak zobaczyłyśmy zwłoki – wyjaśniła Borkowska. – Jakoś tak rozmawiałyśmy z policją i płyny dobrze wchodziły... No, cioci lepiej niż mnie. A potem panowie już poszli, ale nie codziennie widzi się zwłoki w ogródku obok...!

Celina odwróciła się do sierżanta i zmierzyła go takim spojrzeniem, że stanął na baczność i mało brakowało, by zaszalutował.

- Pani Anatola jest w stanie nietrzeźwości - zauważyła surowo. - Ładnie to tak przesłuchiwać osoby nie w pełni sprawności umysłowej?

- Jak zaczynaliśmy rozmawiać, to ta pani jeszcze nie piła - zameldował pośpiesznie Królewski.

- Mówiłam, ciocia musiała ukoić nerwy - wyjaśniła Iwona.

- Absolutnie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę szok, którego doznała. Ale to nie powód, żeby wykorzystywać sytuację! Starsza osoba, wstrząśnięta, sięgająca po jedyne dostępne jej środki!

- Mogła się melisy napić - zaprotestował obronnie Królewski, wyraźnie przerażony tym, że nagle oskarża się go o wykorzystywanie okazji i niemalże rozpijanie starszych wiekiem świadków.

Nowacka zgromiła go wzrokiem.

- Melisy? W jej wieku? W Polsce? Ona ma wdrukowane sięganie po kielicha!

- Wypraszam sobie. Nie jestem pijana, tylko zmęczona - oburzyła się Anatola i sięgnęła po stojący na stole kieliszek.

Celina wstała z podłogi, otrzepała energicznie kolana i niczym byk na corridzie ruszyła na sierżanta.

- Nie dość, że korzystacie z chwili słabości świadków, żeby ich rozpijać, to jeszcze dręczycie starsze panie! Czy pan w ogóle widzi, która jest godzina? O tej porze osoby w wieku pani Anatoli powinny już szykować się spoczynek!

- Byle nie wieczny - mruknęła ciotka. - W Egipcie o tej porze dopiero z Karimem na dansing wychodziłam!

Karim lekko zbił Celinę z tropu, ale tylko na chwilę.

- A teraz w Polsce pójdzie się pani położyć i weźmie ze sobą psa. Jest po traumie, nie powinien być sam. A Iwona zrobi pani lekarstwo na kaca. Umie.

- Naprawdę? - ożywiła się Anatola. - I takie działające?

Do Borkowskiej nagle dotarło, że przecież Nowacka ma rację, w ogóle nie przesadza, ciotka Tadeusza jest ululana totalnie, kurczę, siła powinowata, jej mogło to w tym wieku zaszkodzić, cholera wie, czy starsza pani nie zażywa jakichś leków... Jeszcze jej tu szanowna ciotka zjeździe z przepicia i co ona wtedy powie rano policji?

Panika w Iwonie zatliła się wpierw delikatnie, by zaraz bez uprzedzenia wybuchnąć pełnym płomieniem nieugaszalnym i dającym tyle pary, że starczyłoby na wszystkie koleje ery przemysłowej, a co dopiero na jedną średnich gabarytów kobietę.

– Zaraz cioci zrobię kanapkę z dżemem – oznajmiła. – Ciocia zje przed snem, węglowodany i cukry są ważne. I magnez, czy ciocia może brać magnez? Jakie ciocia leki bierze? Muszę zobaczyć, jak one działają z magnezem. I z alkoholem, chociaż to już trochę po ptokach... I koniecznie płyny, zaraz wszystko przygotuję i zaniemiemy na górę posłanie dla psa i wodę dla was obojga. I może ten podkład, ale to dla psa, nie dla cioci, i koniecznie komórkę na szafkę nocną. Właściwie to ja mam jeszcze dzwoneczek, jakby ciocia w nocy słabowała, to trzeba mnie wezwać. Celina, odprowadzisz pana Królewicza do drzwi? Dobranoc, miło było poznać. Ciociu, z tym kieliszkiem to już się pożegnamy, zaraz wszystko wstawię do zmywarki...

Królewiak i Anatola wyglądali na tak samo oszołomionych przejściem huraganu Iwona. Celka, przyzwyczajona do nagłych wybuchów aktywności przyjaciółki, stanowczo ujęła sierżanta pod łokieć i pokierowała w stronę drzwi.

– Poszedł do ogródka obok – zameldowała, gdy wróciła do kuchni. – To teraz pies, węglowodany, pod oknami i przy wejściu postawimy garnki, zamkniesz za mną drzwi na wszystkie zamki i pójdziecie spać z naładowanymi komórkami pod ręką.

– Dlaczego garnki? – spytała nieśmiało Iwona.

– Żeby wam żaden potencjalny morderca nie wszedł przez okno! Skąd wiesz, czy tu się jeszcze nie kręci? Niby pełno policji, ale najciemniej zawsze pod latarnią.

Borkowska na jakieś pięć sekund skamieniała, a potem gwałtownie rzuciła się do szafek wyciągać naczynia kuchenne. Nowacka jej w tym pomagała.

- Jak zabraknie garnków, to postawimy kieliszki - powiedziała w natchnieniu Iwona. - I nalejemy do tego wszystkiego wody, zimnej. Każdy jakby znienacka wdepnął w gar z zimną wodą, toby wrzasnął albo co.

- Uciekł z krzykiem - podsunęła Anatola, która próbowała nakarmić chipsami wciąż chowającego się pod stołem kundla.

Celina bez słowa wyjęła jej z dłoni paczkę ludzkich chrupek, wcisnęła opakowanie przysmaczków antystresowych z krewetką i wróciła do wystawiania na podłogę patelni.

- Tej nie - zaprotestowała Borkowska. - To grillowa, ja ją sobie wezmę do sypialni jako broń. I szpikulec od grilla też wezmę.

- A ja? - zainteresowała się Anatola.

- Ciocia sobie weźmie psa i przysmaczki krewetkowe. Żadnej broni, nie w tym stanie.

- I zamknij się ciocia od środka - podsunęła Celina. - I proszę pamiętać, grunt to przestępcę spłoszyć, a jeśli się nie da spłoszyć, to trzeba gada unieszkodliwić. Ale spokojnie, nikt się nie powinien pchać z mordowaniem w takich warunkach. Pełno policji, sąsiedzi nerwowi, na miejscu tego mordercy to bym sobie poszła ze dwie ulice dalej.

Anatola wycelowała palcem w Celinę.

- Pani... pani to myśli jak prawdziwy przestępca! - powiedziała z wyraźnym podziwem.

- Celka byłaby świetną przestępczynią - potwierdziła zaraz Iwona. - Nie jest, oczywiście, bo ma ten, no, kościec moralny, ale byłaby super. A jakby jeszcze zaczęła mordować...

- Nie muszę nikogo mordować, jak widać wszyscy naokoło świetnie sobie z tym radzą bez mojego udziału - zirytowała się Nowacka. - Lej wodę do tych garnków, bo skoro o mordowaniu mowa, to Jan na mnie

czeka. Uparł się, że nie odjedzie, póki się nie upewni, że Zacharczyk mnie nie spróbuje aresztować.

- Tobie przecież odpuścił. Na Jana się wziął, ale tym razem to on przecież ma alibi? Poza tym ja rozumiem mordować byłą czy obecną narzeczoną, to jeszcze można mieć powód, ale wykończenie sąsiada przyjaciółki obecnej laski to już jest trochę za długi łańcuch kontaktów. Chociaż czekaj! - Iwona ożywiła się gwałtownie. - Może on z zazdrości? Obie z Matyldą sobie na Krystiana patrzyłyście, jak była okazja, może się dowiedział?

- Czy ty chcesz, żeby cię Zacharczyk usłyszał? - syknęła Celina. - Niech mi się policja przestanie pętać w życiorysie, wystarczy mi jeden trup przez asocjację, tego możesz sobie zabrać!

- Nie chcę - obrazila się Iwona.

- Pani mąż morduje? - zainteresowała się Anatola.

Kundel, skuszony smakiem krewetek, wyszedł już całkiem spod stołu i nawet pozwolił się starszej pani wziąć na kolana i podrapać za kłapniętymi uszami.

- Niczego mu nie udowodniono - rzuciła natychmiast lojalnie Borkowska.

- Nie mam męża - sprostowała jednocześnie Celina.

- Wiecie, że żadna z was nie powiedziała, że nie - zauważyła ciotka. - Tak tylko zap... zaop... zaobserwowałam.

- Pani mu da tych chrupek z białego opakowania. - Nowacka zignorowała wypowiedź Anatoli. - Nie za dużo, bo może mu zaszkodzić. I proszę się na razie nie ruszać z krzesła, będziemy zakładać pułapki.

Zostawiły ciotkę w kuchni i zajęły się strategicznym rozstawianiem naczyń. Celka planowała rozmieszczenie, a Iwona uzbierała wodne pułapki za pomocą konewki i dzbanka.

- On ma dobre to alibi? - wyszeptła Borkowska, upewniwszy się, że są na tyle daleko, że Anatola nie może ich usłyszeć.

- Dobre. Poza tym pytałam go, wiesz, tak trochę żartem, i powiedział, że tego nie zrobił.

– Powiedział ci? – Iwonę aż zatchnęło. – Niemożliwe! A jak pytasz o Monikę, to cały czas robi uniki!

– Prawda? Fajnie mieć szczerego faceta, nie ma co – westchnęła Nowacka, budująca wokół drzwi ogrodowych płotek z kieliszków do wina, szampana i wódki. – Jakby człowiek chciał, żeby dla świętego spokoju wziął i skłamał, to mu się nagle zasady włączają!

– Ale wiesz, że...

– No wiem.

– I co?

Celina wzruszyła ramionami.

– Cholera wie. Przywiązałam się.

– Zakochałaś się – skorygowała delikatnie Iwona.

– Może i tak. Trochę do kitu, skoro wszystkie podejrzenia mi rozkwitły jak chryzantemy na jesień.

– Mógł mieć dobry powód.

– Mógłby powiedzieć jaki. Mógłby cokolwiek powiedzieć, nie wiem, przyznać się w ramach wyznawania uczuć. A nie, wróć, mógłby w ogóle nie być mordercą!

– Może nie jest...

Nowacka popukała się w czoło.

– I co ja mam teraz robić? Daj mi tę konewkę, przewrócisz pułapkę.

Borkowska posłusznie przekazała jej naczynie i odsunęła się od kieliszków.

– Zawsze możesz z nim zerwać...

– Nie chcę – stwierdziła stanowczo Celina. – Szlag mnie trafia, ale nie chcę.

Iwona westchnęła ciężko. Niczego innego się nie spodziewała, przez ostatnie parę miesięcy Celka wsiąkla głęboko. Chociaż wsiąkla to nieodpowiednie słowo – jej życie i życie Jana splotły się niemal bezkolizyjnie, jakby byli ze sobą kilkanaście lat, a nie ledwie kwartał. Pociuszające było, że Zbenda chyba wsiąkł równie mocno, jeśli nawet nie bardziej. W końcu Nowackiej w rzuceniu się w odmęty uczuć trochę

przeszkadzały podejrzenia, podczas gdy on miał pewność, że Celina nie zamordowała swojej poprzedniczki.

– No to targasz ze sobą wszędzie kapok i wierzysz, że plan awaryjny będzie robił za wystarczającą groźbę. O rany. – Złapała się nagle za głowę.

– Co się stało?

– Policja zabrała mi tłuczek – jęknęła Borkowska. – Tłuczek był w planie awaryjnym!

– Bez tłuczka też dasz radę – uspokoiła ją Nowacka. – Masz młotek, wałek i Tadeusza śledzie do namiotu. A Matylda sprzęt rzeźbiarski, na pewno tam znajdzie tępe narzędzie. Jesteście gotowe na wszystko, chociaż oczywiście mam nadzieję, że nie będziecie musiały nikogo mordować.

– Ja też – wyznała Iwona. – Masz rację, jeden trup w życiorysie to aż nadto!

Rozdział 7

Przez kilka bardzo przyjemnych chwil zaraz po przebudzeniu Iwona w ogóle nie pamiętała, co zdarzyło się poprzedniego dnia. Przeciągnęła się, usiadła na łóżku, spojrzała w okno sypialni, które wychodziło na dom Krystiana, i nagle sobie przypomniała, że to nie jest już dom Pożalki, bo jego nie ma wśród żywych. Ba, chwilowo to w ogóle nie jest czyjkolwiek dom, tylko miejsce zbrodni.

Wzdrygnęła się. Zbrodnie wyglądały lepiej, gdy przydarzały się komuś innemu. Kiedy to Celina znajdowała się w centrum wydarzeń, było to oczywiście straszne i irytujące, ale też dość interesujące, a przede wszystkim – jednak trochę odległe i nierealistyczne. Co innego nieznaną laskę w Odrze, co innego sąsiad mieszkający pięć metrów od wspólnego płotu.

Zimny prysznic sprawił, że poczuła się jak przytomny człowiek. Poranne zabiegi kosmetyczne stanowiły przyjemną, bezpieczną rutynę – tak pożądaną w chwili, gdy świat stawał na głowie. Wklepywanie kolejnych kosmetyków przypominało trochę medytacje, które zachwalała Matylda, a do których Iwona nigdy nie miała cierpliwości. Wystarczyło pół godziny, żeby Borkowska wyszła z łazienki odświeżona, uspokojona i prawie gotowa stawić czoła światu. Do pełnej gotowości brakowało jej jeszcze porannej dawki kawy, ale niestety okazało się, że ta przyjemność się odwlecze.

Iwona nie doszła jeszcze do schodów prowadzących na parter, kiedy z pokoju ciotki dobiegło ją żalosne piśnięcie. Przez chwilę zamarła, przerażona wizją tego, co mogło spotkać Anatolę, że wydaje takie dźwięki, ale potem przypomniała sobie o psie.

Starsza pani posłuchała ich wczoraj i zabrała kundla do siebie, co Borkowska przyjęła z pewną ulgą. Nigdy nie miała zwierząt i nie była pewna, jak się nimi zajmować. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że

z jednej strony należało podawać pokarmy i napoje, które potem wychodziły stroną drugą (Celina – o zgrozo – kupiła woreczki o zapachu lawendy!), i że proces ten zachodził z pewną regularnością. Co oznaczało, że dywan w pokoju gościnnym był w tej chwili mocno zagroźony.

Borkowska nacisnęła kłamkę. Anatola najwyraźniej posłuchała wszystkich sugestii i zamknęła się od środka. Coraz bardziej natarczywe skamlenie psa najwyraźniej jej jeszcze nie obudziło.

– Ciociu! – Iwona zapukała do drzwi pokoju gościnnego. – Ciociu!

Od uprzejmego stukania szybko przeszła do niemalże walenia pięścią, bo Anatola nie dawała znaku życia, za to pies coraz mocniej sygnalizował potrzebę. Albo gorzej, przecież morderca mógł wejść do starszej pani przez okno...

Jej coraz mniej subtelne łomotanie i skamlenie psa w końcu odniosły skutek, bo Anatola wstała i otworzyła drzwi. Pies natychmiast skorzystał z okazji, wymknął się przez szparę, minął Iwonę i zbiegł na dół. Borkowska pomyślała, że musi pobiec za nim i wypuścić go do ogródka albo w ogóle wyprowadzić, najpierw jednak musiała odzyskać mowę i zdolność ruchu po szoku, jaki zafundowała jej ciotka o poranku.

Iwona zwykle widywała Anatolę w charakterze zbyt mocno opalonej, ale zadbanej i umalowanej starszej pani. Nawet w te dni, kiedy mieszkały razem, nie zdarzyło jej się spotkać ciotki w takim stanie, w jakim była teraz – rozczochranej, zapuchniętej i na oko o dziesięć lat starszej niż poprzedniego wieczoru.

– Wszystko w porządku? – spytała niepewnie.

Anatola spojrzała na nią jakby mniejszymi niż zwykle i na pewno lekko przekrwionymi oczami.

– Dziecko – powiedziała pobłaźliwie. – Wszystko jest w relatywnym porządku. Mam siedemdziesiąt dwa lata. Wczoraj leczyłam nerwy sporą ilością alkoholu. Nie jest możliwe, żebym dziś wyglądała jak pierwiosnek, zwłaszcza od razu po wstaniu z łóżka. Idź, zabierz to biedne zwierzę na trawkę i mną się nie przejmuj. Pójdę spać, zrobię sobie okłady z lodu albo owiniemy mi twarz firanką, żeby nie narażać ludzi na wstrząsy.

Borkowska mogła tylko pokiwać głową i posłusznie zejść na parter. Pies przecisnął się już przez porozstawiane poprzedniej nocy zasieki wodne i stał już pod drzwiami, a na wieszaku wisiała gustowna niebieska smycz i szelki, które Celina wczoraj przed wyjściem jeszcze dopasowała. Iwona przypominała sobie instrukcje przyjaciółki i już za drugim podejściem zdołała zapiąć je na kundlu we właściwy sposób.

Przestawiła wok na bok, odblokowując wyjście, i w ostatniej chwili wróciła jeszcze do kuchni, zabrała z szuflady nożyk do warzyw i schowała go do kieszeni bluzy. Lepszy byłby scyzoryk, ale nie miała teraz czasu go szukać, pies wyraźnie emanował potrzebą znalezienia się na zewnątrz.

Wyszła z nim na ulicę, uznawszy, że poranne spacerowanie są dobre dla zdrowia. Poza tym po całym tym wtorkowym szaleństwie naprawdę potrzebowała się przewietrzyć.

W ogródku Krystiana kręciło się kilku funkcjonariuszy. Przy furtce stał jej sąsiad spod szóstki i udzielał im wsparcia.

– Mówię wam, przeskoczył przez płot z tyłu, tam są posesje z Nefrytowej, i uciekł – informował donośnie policję, a przy okazji pół ulicy, pan Machajko. – Płoty nie są wysokie, to się da przeskoczyć, próbowałem sam wczoraj w ogródku, wie pan, taki eksperyment śledczy, lubię robić w wolnym czasie. Szare komórki pracują! Uciekł tyłami, na pewno, powinniście szukać połamanych gałązek żywopłotu i mikrośladow.

Pilnujący dostępu do ogrodu mundurowy wpatrywał się pustym wzrokiem w punkt jakieś pięć centymetrów nad lewym uchem pana Machajki. Od razu dało się poznać, że umiera w środku i bardzo, bardzo chciałby być gdzie indziej.

– I namiot, czemu nie macie namiotu? Czy wy w ogóle wiecie, co pogoda robi ze śladami? Młody człowieku, do takich spraw należy podchodzić poważnie!

Na szczęście wąsatego sąsiada tak pochłaniało instruowanie policjantów, że nawet nie zauważył, jak Iwona i pies przemknęli w stronę Nefrytowej. Borkowska pogratulowała sobie w duchu. Gdyby Machajko ją przyuważał, na pewno zechciałby się podzielić swoimi przemyśleniami na

temat zbrodni, niewłaściwych działań policji i wszystkich możliwych krwawych szczegółów. Iwona nawet trochę współczuła funkcjonariuszom, lecz nie na tyle, by się poświęcać i wysłuchiwać wynurzeń Machajki tylko po to, żeby mundurowi mogli w spokoju prowadzić śledztwo.

Zresztą, co to w ogóle za śledztwo, skonfiskowali jej tłuczek i tyle!

– Pani ma psa?

Iwona prawie podskoczyła. Odwróciła się, sięgając jednocześnie po nożyk do warzyw. Na szczęście zanim włożyła dłoń do kieszeni dresu, zorientowała się, że za nią stoi nie zbrodniarz, lecz zerkająca na nią podejrzliwie Agata Dąbrówka wraz z pekińczykiem, dla odmiany podejrzliwie posapującym.

– Nie.

Kundel nie wyglądał na zainteresowanego kontaktami z Pufciem. Schował się za nogami Borkowskiej i udawał, że nikogo nie dostrzega, a już na pewno nie drugiego psa.

– Przecież widzę!

– To nie mój – westchnęła Iwona. Przez chwilę wahała się, jak to wszystko wytłumaczyć, żeby przypadkiem nie wkopać się w kolejne posądzenie o bliskie stosunki z denatem. – U Krystiana był pies jego znajomego, właściwie naszego wspólnego znajomego. Bartek nie mógł go wczoraj odebrać, więc został u mnie.

Agata złapała się wolną ręką za lewy obojczyk.

– To znaczy... to znaczy, że to zwierzę... było... świadkiem!!

Przykucnęła gwałtownie, ignorując całkowicie Borkowską i skupiając się na towarzyszącym jej psie.

– To straszne! On musiał wszystko widzieć! Taka trauma... Pani Iwono, on może wiedzieć, kto jest mordercą!

Borkowska, do tej pory kiwająca niemal bezrefleksyjnie głową, nagle znieruchomiała. To im w ogóle nie przyszło do głowy! Jeśli kundel widział zabójstwo Krystiana, to widział też, kto go dokonał... Tylko jak można z niego tę informację wyciągnąć?

Agata wstała gwałtownie i złapała Iwonę za ramię.

- Dlaczego policja go nie chroni? Pani Iwono, przecież to... to świadek koronny jest! On jest w niebezpieczeństwie, a pani z nim tak po prostu wychodzi na ulicę? Przecież ten zbrodniarz może tu czatować. Czy pani ma chociaż gaz?

- Mam nóż - przyznała Borkowska, oszołomiona nadmiarem informacji i wszystkim, co z nich wynikało.

Dlaczego nikt jej nie uprzedził, że ma pod opieką świadka? I co ważniejsze - jak się z tym świadkiem można komunikować? Czemu policja tego nie zrobiła? Oni powinni mieć doświadczenie w takich sprawach!

- Pani jest zawsze taka przygotowana - pochwaliła Dąbrówka. - Ale gaz też dobrze mieć, to jednak zawsze na odległość można. Teraz się z panią przejdę, a potem pani mój zostawię, w domu mam drugi. Żeby pani go mogła obronić!

Do tej pory Iwona żyła w przekonaniu, że to psy powinny bronić ludzi, ale rozsądnie postanowiła nie dyskutować. Najwyraźniej fakt, że - choćby tylko chwilowo - ma pod opieką psa, od razu zrobił z niej ulubioną sąsiadkę Agaty. Zniknęły kose spojrzenia i ogólna nieufność, wystarczyło kudłate zwierzątko na smyczy i Borkowska nagle zyskała niemalże przyjaciółkę. Dąbrówka twardo asystowała jej przy spacerze, zachowując się przy tym jak szurnięty ochroniarz VIP-a. Gdy podchodziły do skrzyżowania, wyskakiwała nagle naprzód w pozycji bojowej z pojemnikiem gazu w rękę, sprawdzając, czy za rogiem nie czai się morderca. Pufcio porzucił całkiem zainteresowanie nowym psem, skupiony na akrobacjach swojej właścicielki. Być może martwił się też o jej stan psychiczny. Iwona go trochę rozumiała, ale sama bardziej martwiła się o to, czy ktoś znajomy ich nie zobaczy.

Agata, energiczna czterdziestka w dżinsach i kurtce w wyjątkowo twarzowym dla niej odcieniu zieleni, wykonująca zestaw akrobacji złożony z lekkiego wychylenia, gwałtownego kręcenia głową na obie strony i wreszcie nagłego wyskoku z półprzysiadu, wyglądała na pierwszy rzut oka komicznie, na drugi zaś już trochę podejrzanie. Ze dwie osoby na ich widok przeszły na drugą stronę ulicy. Borkowska na wszelki wypadek

twardo gapiła się w żywopłoty, żeby jej przypadkiem ktoś nie rozpoznał i nie zapamiętał.

Na szczęście główny cel spaceru został osiągnięty dość szybko, lawendowe woreczki spełniły swoje zadanie i obie kobiety z psami mogły wrócić na Agregatową. Już-już były prawie na swojej ulicy, bezpieczne, gdy nagle zza rogu, zza zarośniętego żywopłotu Magdy wegetarianki, ktoś na nich wyskoczył.

- Aaaaaa! – wrzasnęła Agata i prysnęła napastnikowi gazem w twarz.

- Aaaaaa! – wrzasnął pan Machajko, gdy próbował osłonić się przed atakiem, ale było już za późno.

Chmura gazu trafiła go prosto w twarz. Zatoczył się, jedną ręką zasłaniał oczy, a drugą próbował złapać się żywopłotu, by utrzymać pion. Na próżno, zaplątał się w gałęzie, stracił całkiem równowagę i wypadł na środek Agregatowej, gdzie zaległ, rozpaczliwie pocierając oczy.

- O cholera – jęknęła Dąbrówka. Wetknęła Iwonie smycz Pufcia i rzuciła się udzielać pomocy sąsiadowi. – Pan nie trze, pan nie trze, to gaz pieprzowy, będzie tylko gorzej!

Złapała go za dłonie i próbowała mu je odciągnąć od twarzy.

- Bija, zabijają! – wydarł się pan Machajko prosto w ucho zatroskanej Agaty.

Agentka ubezpieczeniowa, zaskoczona nagłym atakiem decybelami, klapnęła na asfalt. Na szczęście na tyle daleko od sąsiada, że walący ręką na oślep w nieznanego napastnika pan Machajko nie miał szans jej trafić.

- Co tu się dzieje?

Przy furtce numeru pierwszego, tuż obok Iwony, stała Magda Rybacka i ze zgrozą obserwowała szamotaninę na środku ulicy.

Na jej widok Iwona niesamowicie się ucieszyła. Miała wrażenie, że całe wieki ze sobą nie rozmawiały. Odkąd Zbyszek, mąż Magdy, uznał, że trawa zieleńsza jest na innych pastwiskach, stosunki towarzyskie, wcześniej częste i ożywione, weszły w fazę renegocjacji. Iwona i Tadeusz znaleźli się – dosłownie – między młotem a kowadłem. Z jednej strony mieli przez płot porzuconą, aktualnie bardzo zgorzkniałą Magdę i jej

doroślą córkę, która do ojca odzywała się półsłówkami. A dwa domy dalej Zbyszek, serdeczny kolega Tadeusza, promieniał szczęściem, przekopując ogródek swojej nowej flamy. Iwona całym sercem wspierała zdradzoną koleżankę, Tadeusz z kolei uznawał jej moralne racje, lecz niechętnie odnosił się do zerwania stosunków z kumplem. A potem jeszcze Borkowska z głupia frant przyznała się w mięsny, że ma kochanka wegetarianina...

Nic dziwnego, że stosunki z Magdą, wyjątkowo drażliwą na punkcie wierności małżeńskiej, uległy dalszemu rozluźnieniu... Ba, wręcz ochłodzeniu.

- O, cześć. Pani Agata się przestraszyła, że pan Machajko nas zaatakuje. To znaczy nie nas, tylko psa - wyjaśniła Iwona. Starła się bardzo, by jej głos brzmiał w miarę neutralnie, a nie dziko radośnie.

- Aha... - Ton Magdy jasno wskazywał na to, że nie ma pojęcia, o co chodzi, ale boi się pytać dalej.

Z domu naprzeciwko wybiegła inżynierowa. Była umalowana i ubrana w kostiumik, najwyraźniej gotowa do wyjścia do pracy, tylko na nogach miała papucze z niebieskim futerkiem i cekinami. Trzymała coś w rękach. W pełnym biegu wzięła zamach i prysnęła panu Machajce w twarz mlekiem z kartonu, obryzgując przy okazji Agatę.

Poszkodowany zawył niczym ranny łoś, a Dąbrówka aż prychnęła z oburzenia.

- Co państwo robią? - spytał żałośnie policjant. Stał przy furtce Krystiana i chyba bał się ruszyć choćby o krok, bo tylko wychylał się, ile mógł.

- Napadli mnie! Biją, mordują! - zajęczał pan Machajko. - A policja nic nie robi! Zostałem oblany nieznaną substancją...! To mogła być trucizna...!

- Jaką nieznaną, to mleko UHT trzy i osiem procent! Firmowe! - oburzyła się inżynierowa. - Porządne, nie jakaś tam biała woda zero procent! I żadna trucizna, do kawy sobie nalałam i żyję. Następnym razem, jak pani Agata potraktuje pana gazem, to niech się pan sam własnym mlekiem oblewa!

– Gazem! – zawył pan Machajko. – Sąsiadka! Mnie gazem! Mnie! Czym ja zawiniłem?!

– Jak się pan zniecka rzuca, to sam pan sobie jest winien! – Agata pobierała się z ulicy i zajęła otrzepywaniem spodni. – Tu jest nerwowo! Nie wolno straszyć ludzi!

– Czy pani mogłaby już nie traktować sąsiadów gazem? – poprosił delikatnie policjant ze swego posterunku. Pamiętny doświadczeń poprzedniego wieczoru, starał się zbytnio nie rozjuszać lokalnego tłumu. Słabo mu to wychodziło. W obecnej sytuacji wystarczyło oddychać, żeby komuś działać na nerwy.

Dąbrówka natychmiast przerzuciła na funkcjonariusza sto procent zainteresowania i drugie sto procent irytacji.

– A czy państwo mogliby w końcu znaleźć i aresztować mordercę? – odparowała. – Bo póki to nie nastąpi, będę traktowała gazem każdego, kto mi się wyda podejrany! Chyba że mi dacie eskortę. I pani Iwonie też, przecież jej pies widział mordercę! Tu jest niebezpieczna okolica, każdy musi sam sobie radzić, bo na policję nie ma co liczyć! Ledwie zobaczycie trzy osoby na ulicy, a już uciekacie!

– Sześcioro nas było – poprawiła inżynierowa. – I pan Machajko miał szufel! – dodała, strategicznie pomijając fakt, że jej mąż z kolei trzymał widły i nie zawahał się ich użyć.

– Masz psa? – zdziwiła się Magda.

Kucnęła przy furtce i przez pręty przyjrzała kundlowi. Pies, znoszący całe zamieszanie z anielską cierpliwością, odwzajemnił spojrzenie. A nawet raz zamerdał ogonem, zachęcony przykładem Pufcia, który entuzjastycznie zareagował na zainteresowanie znajomej osoby i domagał się pieśczot.

– Chwilowo na przechowanie, póki kolega Krystiana go nie odbierze.

– Ten pies to kluczowy świadek – oznajmiła stanowczo Agata, otrzepując kurtkę z kurzu i ocierając z rozbryzgów mleka, które ją trafiły. – A policja nic nie robi. Nic! Zostańcie z nią – poleciła Magdzie i inżynierowej. – Zabiorę Pufcia do domu i przyniosę pani Iwonie nowy

gaz. To jest w ogóle oburzające, żeby między tym biednym zwierzęciem a zbrodniarzem stała jedna, samotna kobieta...

– Pani mąż wyjechał? – zmartwiła się inżynierowa. – I pani tak sama, w tej sytuacji?!

Magda się zawahała.

– Nie możesz... wiesz... po tego drugiego zadzwonić?

Dąbrówka, która przejęła już Pufcia i oddalała się ku swojemu domowi, mamrocząc coś wciąż o policji, porzuciła wyrzekanie na siły porządkowe, zwolniła kroku i nastawiła uszu. Inżynierowa, która w ogóle nie powinna być zorientowana w temacie rzekomych romansów, przestała się wytrząsać nad mlekiem UHT i czekała w napięciu na rozwój sytuacji. Nawet policjant jakby bardziej wychylił się spomiędzy żywopłotów.

Tylko pan Machajko z zerowym wyczuciem chwili dalek tarł oczy i wyklinał te histeryczne baby.

Iwona nie wytrzymała.

– Nie ma żadnego drugiego! W sklepie chciałam utrzyć nosa tej babie, co chrzaniła o karmieniu facetów mięsem! Ale ekspedientka się wtrąciła i co, miałam się przyznać, że zmyślam i mam tylko mięsożernego męża? Takiego, nie mogłam jej dać satysfakcji.

– Czekaj... przyznałaś się publicznie do kochanka, żeby zrobić na złość babie ze sklepu? Dlaczego?

– Bo stała, łypała na ciebie i nawijała, że mężczyzna musi jeść mięso, bo inaczej odchodzi – wyjaśniła z ociąganiem Iwona. – Co to w ogóle za teksty i jak tak można! Wkurzyłam się i może trochę mnie poniosło.

– Trochę...? – Inżynierowej wyrwało się pełne niedowierzania pytanie.

– Nie wiem, czy cię doceniać jako człowieka, czy załamać ręce nad twoją głupotą... – stwierdziła Magda. – Ale może po prostu... dziękuję. I nie rób tego więcej.

– Nie zamierzałam, ale no serio, ona tam stała, nos zadarty, kapelusik zadarty, wszystko miała takie pod sufit, z ego włącznie! – jęknęła Iwona. Poczwała, jak ciśnienie jej skacze na samo wspomnienie.

- To Ziębicka! - wykrzyknęła Agata. - Ziębicka, żółta w kapelusiku, ja wiem która! Też bym się przyznała do kochanka, kochanki, do wszystkiego bym się przyznała, żeby jej tego nosa zadartego utrzyć! Znam ją, ubezpieczała się u mnie, aż jej zaczęłam najgorsze polisy podsuwać, żeby sobie poszła. Co ja się od niej nasłuchałam, jak się rozwodziłam, wiecie, klient niby nasz pan, ale są granice!

- Pani się przyznała publicznie do nieprawdziwego romansu, żeby utrzyć takiej osobie nosa? - Inżynierowa była wyraźnie przejęta. - To jest... Ja bym tak nie potrafiła... To trzeba mieć odwagę... Pani jest bohaterką!

- Też mi bohaterka, przyskać porządny ludzom gazem w twarz - sarknął pan Machajko.

- To nie pani Iwona, tylko ja - oznajmiła buńczucznie Dąbrówka. - I jakby pan nie wyskakiwał znienacka z za rogu, tobym tego nie zrobiła. Zero pomysłu, mordują człowieka na naszej ulicy, a pan się zaczyna. To jest prośenie się o kłopoty.

- Szedłem po bułki!

- To trzeba było ostrożniej iść!

- Z państwem już wszystko w porządku? - zainteresował się policjant.

Odważnie wykroczył poza ogródek Krystiana i przeszedł nawet kilka metrów wzdłuż płotu Borkowskich. Bez trudu mógłby się ewakuować, gdyby któraś z czterech harpii zdecydowała się rzucić na nową ofiarę.

- W porządku, w porządku, pan wraca za furtkę, żeby pana świat nie napadł. - Agata lekceważąco machnęła ręką. - Panią to całe szaleństwo ominęło, prawda? - spytała Magdę.

- Tak, miałam tłumaczenie na konferencji, wróciłam bardzo późno. Zuzi na szczęście też nie było. To straszne... I jeszcze policja się tak dziwnie zachowuje...

- Okopali się - stwierdziła inżynierowa. - W ogóle nie wiem po co, przecież nikt im tu specjalnie krzywdy nie zrobił. Męża może odrobinę poniosło, ale wie pani, on ogląda Cobra Kai i trochę się wczuł.

Magda zamrugała kilka razy, gdy próbowała przetrwać wiadomość. Zerknęła pytająco na Iwonę.

- Później - poruszyła bezgłośnie ustami Borkowska.

Rybacka kiwnęła głową.

Dąbrówka tymczasem dziarskim truchtem dobiegła do swojego domu. Mijając policjanta, krzyknęła „buu” i Iwone prawie zrobiło się szkoda chłopaka, pewnie prosto ze szkoły, gdzie nikt go nie przygotował na samozwańcze straże sąsiedzkie i agresywne kobiety. Pewnie myślał, że będzie jak Tommy Lee Jones w *Ściganym*, a tu klops, pilnował furtki, znosił głupie zagrywki i jeszcze na dodatek Pufcia, który ostentacyjnie podnosił nogę na pożegnanie.

- Pan się pozbiera - zaproponowała Machajce inżynierowa. - Zaraz jadę do pracy, podrzucę pana po drodze do piekarni.

- Nigdzie nie jadę - oburzył się wąsacz. - Gdzie, z takimi oczami!

- Zaraz będę szła na zakupy, to panu kupię bułki - zaproponowała Magda.

Pan Machajko przez chwilę toczył ciężką walkę wewnętrzną, której kolejne etapy odmalowywały się na jego zaczerwienionej twarzy, aż w końcu odniósł nad sobą zwycięstwo.

- Te z lnem - zadysponował. - Cztery poproszę. Dziękuję pani bardzo.

- Ależ proszę. Sąsiedzi muszą sobie pomagać. - Magda uśmiechnęła się do niego życzliwie. - To ja się już pożegnaj, będę się zbierać do sklepu.

- A ja do pracy! - spłoszyła się inżynierowa, zerknąwszy na zegarek. - Do widzenia, do widzenia!

Iwona nie zdążyła żadnej z nich odpowiedzieć. Próbowwała pomóc panu Machajce wstać, ale opędził się od niej jak od muchy, rzucił oschłe „do widzenia” i poszedł do siebie.

Na ulicy został jeszcze policjant, ale niemal stopił się z żywopłotem, gdy spod ósemki wypadła Agata, bez psa, za to wymachując trzymanym w dłoni pojemnikiem z gazem.

– Jak ten czas leci, zaraz muszę jechać, mam spotkanie na Brochowie – wysapała, gdy dopadła Borkowskiej. – Tu ma pani gaz, ma pani nóż, musi pani dom zabezpieczyć...

– Zabezpieczyłam – pochwaliła się Iwona. – Wczoraj mi przyjaciółka pomogła.

– Świetnie! – ucieszyła się Agata. – Jest pani przygotowana. Proszę się nie dać i użyć wszelkich możliwych środków!

Uczyniła gest, jakby chciała Borkowskiej uścisnąć dłoń, ale Iwona w jednej ręce trzymała smycz, w drugiej gaz, trzecią zaś nie dysponowała. Dąbrówka zadowolona się energicznym poklepaniem jej po ramieniu.

– Niech się pani nie da draniowi! – zakrzyknęła na pożegnanie.

Wszyscy się rozeszli i rozjechali, do pracy, na zakupy lub, w przypadku policjanta, z powrotem na miejsce zbrodni i Iwona została na ulicy sama, jeśli nie liczyć kudłatego świadka koronnego, którego bezpieczeństwo najwyraźniej było zagrożone.

Gdy wychodziła na spacer, miała nadzieję, że zaraz po powrocie pozbędzie się zapór z garnków z wodą, ale cóż, dla bezpieczeństwa własnego i wszystkich domowników, w tym czworonożnych, musiała je chyba zostawić.

Rozdział 8

Świadek koronny na szczęście nie sprawiał większych kłopotów. Napił się wody ze stojącej na środku przedpokoju patelni, która stanowiła część systemu obronnego, grzecznie zjadł puszkę karmy z zaskakująco dużą zawartością mięsa i poszedł spać pod stół. Iwona wreszcie mogła zająć się sobą.

Zaparzyła kawę i z kubkiem usiadła przy stole. Przed sobą położyła telefon. Na ekranie migiała wiadomość od Tadeusza, która w aktualnej sytuacji wyglądała jak pocztówka z innego życia: „Życiówka na nocnym marszu. Pogoda się psuje, mam nadzieję, że nie odwołają reszty rajdów. Wytrzymujesz z ciotką? Buziaki, tęsknię”.

I co ona mu miała napisać? „Ktoś zamordował sąsiada. Upiłam ciotkę. Chwilowo mamy psa. Policja mnie denerwuje. Buziaki”? Po takiej wiadomości Tadeusz jak nic zwinąłby się raz-dwa i wrócił do domu.

Pewnie, że wolałaby mieć męża przy sobie, żeby ją tulił w ramionach i pocieszał. Ale gdyby tu był, to cholera wie, co by mu strzeliło do głowy – jeszcze by założył tę swoją czołówkę i zaczął robić wieczorne albo, o zgrozo!, nocne patrole po osiedlu, a wtedy ona by chyba umarła z nerwów. Sama wizja Tadeusza czającego się w ciemnościach w towarzystwie takiego pana Machajki, a potem za jego podszeptem rzucającego się na strasznego i zdolnego do wszystkiego zbrodniarza... Nie, Tadeusz zdecydowanie powinien zostać w tych Bieszczadach. Niech przynajmniej jedna osoba ma spokojny i przyjemny tydzień.

A zbrodniarzem niech się lepiej zajmie policja. Jeśli gliniarze dadzą ciała, to Iwona zawsze może zadzwonić do Celiny, żeby coś wymyśliła. Celka była dobra umysłowo w te klocki...

„Było zamieszanie z sąsiadami, ale opowiem ci, jak wrócisz. Z ciotką dogadujemy się coraz lepiej. Też tęsknię, buziaki, udanych rajdów”, odpisała.

Napiła się kawy. Okej, Tadeusza miała na razie z głowy. Ciotka, jeśli sędzić po ciszy panującej na piętrze, odsypiała wczorajsze leczenie nerwów. Iwona uznała, że jej by się przydała powtórka terapii, ale może tym razem bez alkoholu. Musiała się po prostu po ludzku wygadać.

Zerknęła na komórkę. Była dziewiąta. Celka pewnie siedziała już w pracy, a Mati jeszcze spała. Z jedną trochę trudno byłoby spokojnie rozmawiać, póki siedzi w biurze, druga, świeżo obudzona, mogła się okazać niewdzięczną słuchaczką... Do której zadzwonić?

Nie zdążyła się zdecydować, kiedy zabręczała komórka. Matylda najwyraźniej czytała jej w myślach.

- Wszystko wiem, Celina już do mnie wczoraj wieczorem... no, właściwie w nocy, dzwoniła - powiedziała od razu na powitanie. - Podzieliłyśmy się, ja będę twoją oazą spokoju i wsparciem emocjonalnym, a ona obstawi stronę praktyczną i ewentualnie spacyfikuje policję.

Iwone na chwilę zaskoczenie odebrało mowę.

- W sumie... sensowne - przyznała po chwili.

- Co nie? Wykorzystujemy nasze silne strony i budujemy sieć wsparcia, jestem pod wrażeniem nas samych. Specjalnie sobie budzik ustawiłam, bo wiem, że ty nawet na urlopie wstajesz jak jakiś robocop, a nie człowiek, i chciałam być gotowa.

- To dawaj tę sieć wsparcia, bo teraz ja jestem podejrzana o morderstwo - oznajmiła dramatycznie Iwona.

- Jak to „teraz ty”? To ja też będę musiała? - przestraszyła się Mati. - Najpierw Celka, teraz ty, a potem niby ja? Jeszcze czego, ja się nie zgadzam!

- Co? Nic nie będziesz musiała, ty masz mi współczuć i ojajać mnie, a nie martwić się o przyszłość własnej dupy!

- Przyszłość własnej dupy jest dla mnie niezwykle istotna - zakomunikowała z godnością Pawłowska. - Ale masz rację, zaniedbuję obowiązki! No dalej, ojoj, opowiedz cioci Mati, co cię trapi.

- Tylko nie cioci - wyrwało się Borkowskiej. - Cioci mam za dużo na co dzień...

– Straszna jest? – spytała ze współczuciem Matylda.

– Straszna. Ale nie tak jak myślałyśmy. Jakbym miała kochanka, to ciotka by w ogóle nie mrugnęła okiem, tylko chyba nawet kibicowała! Albo gorzej, zapytała, czy on nie ma brata...

– Co ty gadasz?

– Mati, ona miała trzech oficjalnych mężów. Właściwie ten ostatni wciąż jeszcze żyje, a chajnęli się, bo ten gbur nienawidzi rodziny!

– Dobra, o takim powodzie jeszcze nie słyszałam...

– Nienawidzi krewnych i ożenił się z Anatolą, żeby oni po nim nie dziedziczyli – wyjaśniła niecierpliwie Iwona. – Czy jakoś tak. Nie wiem, czy to w ogóle jest u nas legalne, przecież jakieś zachowki są.

– Straszna telenowela...

– To jeszcze nic! Ona ma na dodatek nielegalnego męża w Egipcie. Takiego na wakacje, raz ona do niego leci w celach seksturystycznych, a raz jakaś jej koleżanka z Łodzi. I wymieniają się wrażeniami!

– No nieźle – powiedziała z podziwem Matylda.

– Nieźle?!

– Ciocia ma krzepę i branie, tym lepiej dla niej.

– Jakby to był siedemdziesięcioletni wujek jeżdżący na wakacje do ciepłych krajów i wrywający miejscowe laski, choćby w naszym wieku, to też byś to pochwałała?

– Brrr – wzdrygnęła się słyszalnie Pawłowska. – Nie, wyrażałabym zniesmaczenie i otrząsałabym się, tak jak teraz.

– To nie stosuj podwójnych standardów! Ciotka uprawia seksturystykę!

– Przynajmniej serio nie ma co się czepiać twoich wymyślonych kochanków.

– Jednego! Jednego wymyślonego kochanka, i to wcale nie ja go sobie wymyśliłam, tylko sąsiedzi! A do tego teraz on nie żyje, rozumiesz? A policja mi skonfiskowała tłuczek do mięsa!

– Jak mogli – przejęła się Matylda. – Pewnie od kompletu miałaś? Ty masz zawsze wszystko markowe i tak ładnie dobrane, to jest w ogóle zbrodnia przeciw estetyce taki sprzęt konfiskować.

- Co nie? Powinni myśleć jak profesjonaliści, nie ma opcji, żebym kogoś zamordowała markowym tłuczkiem! To chyba oczywiste, że kupiłabym jakiś w markecie, Celka od razu to tak wymyśliła! A oni co? Amatorzy! Nawet nie spytali, czy mam drugi!

- A masz?

- Oczywiście! Kupiłam zaraz po tym, jak... wiesz... opracowałyśmy plan. W markecie. I schowałam. Inne rzeczy z listy też powoli zbieram. Na wszelki wypadek, żebyśmy miały czyste i nienamieralne gadżety, gdyby trzeba było, no wiesz...

- No wiem - przytaknęła Matylda. - Tylko mam nadzieję, że jednak nie będzie trzeba. Ale mniejsza z tym, to nie są rzeczy na telefon i na okoliczność, że policja ci się zaległa w ogródku sąsiada. Nadawaj mi, jak się czujesz.

Borkowska bardzo dokładnie rozważyła pytanie.

- Skomplikowanie - przyznała w końcu. - Bo wiesz, ktoś zamordował człowieka i to jest straszne. Na dodatek takiego, którego znałam, i to jest jeszcze straszniejsze. I jeszcze w ogóle w ogródku obok, może akurat wtedy, gdy byłam z dziesięć metrów od miejsca zbrodni. To okropne i wzdryga mnie na samą myśl. Do tego, bądźmy szczerze, to jest... no, był, gość, na którego lubiłam sobie popatrzeć tak... no... estetycznie...

- Erotycznie - podsunęła Mati.

- Platonicznie! W każdym razie patrzyłam, a on teraz nie żyje i dziwnie mi z tym, parę dni temu bezczelnie sobie Krystiana oblukiwałam, jak ćwicz, a teraz on nie żyje i to jest tak nieseksi, że bardziej się nie da! Dziwnie mi z tym i w ogóle nie ciągnijmy tego wątku!

- Możemy ten temat opić przy jakiejś okazji - zaproponowała przyjaciółka. - Tak terapeutycznie.

- Trzeba będzie - zgodziła się Iwona. - A poza tym na ulicy się wyprawiają cyrki, przyznałam się sąsiadkom, że zmyśliłam tego kochanka w mięsny, i zostałam bohaterką we własnej dzielnicy!

- To jakiś nowy trend w dzielnicach willowych? - zainteresowała się Matylda. - Podziw dla wyobraźni i tupetu?

- Podziw dla intencji. Broniałam honoru sąsiadki i jestem usprawiedliwiona!

- Brawo ty! I patrz, nie musisz się już martwić, że plotki dotrą do Tadeusza! Ciotka jest wyluzowana, sąsiadki wiedzą, że ściemniałaś, plus aktualnie cię lubią, jest git! Poza trupem, oczywiście, niech spoczywa w pokoju.

- Tadeusz nie wie o trupie – przyznała Borkowska.

- Jak to nie wie?

- Zwyczajnie, nie wie, esemesował do mnie dziś z rajdu, to mu odpisałam tylko, że była draka na ulicy i wszystko mu opowiem, jak wróci.

- Dopiero jak wróci? To chyba już przerabiałymy, milczeć masz na temat nieistniejących kochanków, do normalnych głupot się przyznawaj, najlepiej od razu!

- No wypraszam sobie! Martwy Krystian to nie jest moja głupota!

- Przejaw inteligencji też nie...

- Martwy Krystian to w ogóle jest moje nic!

- Dobra, Krystian ci wisi i powiewa, pokój jego duszy, a teraz się skup. Masz zarabistą sytuację życiową, wiesz?

- No wiem – przyznała niepewnie Iwona.

- Masz dom w fajnej dzielnicy. Masz dobrą pracę, którą lubisz. Masz supermęża. Macie wspólne plany na przyszłość. Z ciotką Tadeusza się zaczęłaś dogadywać. Ba, zostałaś bohaterką na dzielni! Jedyne minus jest taki, że masz też dużo trucheł na ścianach, ale lepsze to niż trupy w szafie.

- Taaak?

- Tak! Próbuję ci powiedzieć, laska, że tobie się w życiu udało. Więc skup się, do cholery, i przestań sama sobie rzucać kłody pod nogi. Najpierw się jak głupia przyznajesz publicznie do kochanków...

- Jednego! Jednego kochanka!

- O jednego za dużo! Przynajmniej to odkręciłaś. A teraz, zamiast uczciwie opowiedzieć mężowi, co się wyprawia kilka metrów od domu, w którym mieszka jego ukochana żona i jego ukochana, ostatnia żyjąca krewna, to ściemniasz! Wyobraź sobie, że do Wrocławia przyjeżdża twoja

babcia i zostaje z Tadeuszem w mieście, bo ty pojechałaś z Celką do spa. I akurat jak ci smarują twarz algami, to tuż obok twojego własnego domu zostaje popełnione morderstwo. Tuż obok Tadeusza i twojej babci. I nikt ci nic nie mówi! Wkurzyłybyś się?

– Oj, jeszcze jak!

– No widzisz! To teraz pomyśl, jak byś się czuła na miejscu Tadeusza.

– Dobra, rozumiem. Ale to dla jego własnego dobra, bo jak tu przyjedzie, to będzie nas pilnował i jeszcze go ten morderca napadnie!

– To jest najgłupsze wyjaśnienie świata – stwierdziła Matylda. – Co, niby ten morderca poluje na facetów, którzy wpadli ci w oko?

– Myślisz? – przestraszyła się Iwona.

– Nie myślę, uświadamiam ci, że głupio robisz!

– A miałaś mnie wspierać – wypomniała Iwona. – Celki tak nie objędziałaś, jak zaczęła się zadawać z Janem!

– Celka w dziewięćdziesięciu procentach przypadków najpierw myśli, a potem dopiero robi. Ty na odwrót, Rzym byś zbudowała, zanim architekt by skończył projektować!

– Bo to może do dupy architekt był, skoro mu to tyle zajęło! – poirytowała się Iwona. – Dobra, przerwa, ja się nie mogę złościć na pusty żołądek. Zjem coś i potem do ciebie zadzwonię.

– Do Tadeusza zadzwoń! – przypomniała jej na pożegnanie Matylda.

Iwona rozłączyła się i prychnęła z oburzeniem. Nie życzyła sobie głosów rozsądku, życzyła sobie wsparcia i poklepywania po główce! Miała za sobą ciężki wieczór, miejsce zbrodni za oknem i psa do pilnowania.

No właśnie, pies...

Numer Bartka miała zapisany, nie wykasowała go tylko dlatego, że gość znikł z jej horyzontu towarzyskiego i o nim zapomniała.

– Tu Iwona. Kiedy tego psa zabierzesz? Tu jest dla niego niebezpiecznie, on jest świadkiem morderstwa – walnęła od razu z grubej rury. – I moje kondolencje, że ci kumpla zamordowali, ale wiesz co, bywać tuż obok i się nie przyznać, to jest trochę porażka. Będiesz mi to musiał wytłumaczyć.

- Wszystko ci wyjaśnię - zgodził się potulnie Radecki. - Mogę być u ciebie za pół godziny...

Do Iwony dotarło, w jakim stanie jest ona, ciotka i dom. Żadne nie nadawało się na przyjęcie gościa.

- Nie - wyrwało jej się z głębi trzewi. - Żadne pół godziny, godzina minimum... Dwie lepiej, dwie i pół.

- Ale...

- Pies wyprowadzony, nakarmiony, krzywda mu się nie dzieje, dom jest zabezpieczony, a ja tu mam ciotkę, rozumiesz. Dwie i pół to minimum, adres znasz, do zobaczenia.

*

Anatola spłynęła po schodach w welurowym, purpurowym dresiku akurat w chwili, gdy Iwona wstawiała do piekarnika blachę z rogalikami. Ciotka zmierzyła ją podejrziwym spojrzeniem.

- To tak z nerwów? - Uczyniła gest obejmujący kuchnię, w której nie został ślad po wczorajszej imprezie śledczej, blachy z rogalikami i samą Iwonę ze świeżo umytyymi i spiętymi w wysoki kucyk włosami, umalowaną i ubraną niby w takie zwyczajne, lecz jednak idealnie dopasowane džinsy i białą bluzkę koszulową. Bluzka, mimo że Borkowska właśnie nadziała połowę rogalików marmoladą, wciąż była nieskazitelnie czysta.

- Ciasto zrobiła maszyna - przyznała Iwona. - A reszta jakoś tak wyszła...

- Ale garnków nie pozbierałaś. - Ciotka krytycznie przyjrzała się zasiekom pod drzwiami wejściowymi i oknami.

- Miałam, ale co, wieczorem będziemy nowe stawiać? To marnowanie wody. Poza tym na razie mamy psa, a on jest świadkiem!

- Świadkiem?

Borkowska wyjaśniła pospiesznie teorię Agaty Dąbrówki, że pies widział mordercę. Anatola weszła do kuchni i zajrzała pod stół, gdzie kundel wciąż leżał na macie, którą kupiła Celka, i łypał na wszystko małymi, czarnymi oczkami.

– Nawet jeśli... nawet jeśli, to jak niby on miałby komuś powiedzieć, co widział?

– Lassie jakoś dawała radę.

– Lassie była kobietą – mruknęła ciotka. – Ze wszystkim by sobie dała radę, takie chromosomy. A ten tu kolega chyba najbardziej chciałby być zostawiony w spokoju.

– Toteż się go nie czepiam. Bartek, ten jego formalny właściciel i kolega Krystiana, za chwilę przyjedzie, może on się z nim dogada. A właśnie, ja z nim porozmawiam sama. On cioci nie zna, jeszcze się spłoszy.

– A co, ja straszna jestem? – oburzyła się Anatola.

– Ciocia jest intensywna – stwierdziła dyplomatycznie Iwona. Od dalszego tłumaczenia się uratował ją dzwonek. – O, już przyszedł. To teraz ciocia do pokoju przed telewizor, a ja sobie z nim pogadam w kuchni. Jak się rogaliki upieką, to cioci przyniosę.

Anatola wymamrotała coś nieprzychylnego pod nosem, ale zwinęła kubek z kawą, który Iwona przygotowała dla siebie, i poszła sprawdzić, czy na którymś kanale nadają *Sultankę* albo *Ojca Mateusza*. Borkowska upewniła się, że pies nie przejawia chęci ucieczki – w ogóle nie przejawiał chęci wyjścia spod stołu – i wyjrzała przez okno.

Przed furtką stał Bartek Radecki, były partner Celiny. Iwona bez wahania pyknęła bręczkiem i wpuściła go do środka. Ze względu na okoliczności z kimś innym rozmawiałaby przez płot, ale tego gościa znała cztery lata, a poza tym Celka mówiła, że nie nadawał się na mordercę.

Borkowska mogła zrezygnować z ostrożności, lecz samozwańcza straż sąsiedzka działała. Bartek nie zdążył wejść do ogrodu, a już jak spod ziemi wyrósł przy nim Machajko, który najwyraźniej doszedł do siebie po porannych wydarzeniach. Może tylko na twarzy był czerwieńszy niż zwykle.

– A pan co? – zainteresował się nachalnie wąsacz, niemal wspinając się Radeckiemu na plecy.

– Co? – zdziwił się Bartek, wyraźnie spłoszony nagłym towarzystwem.

- Czego pan tu szuka? Był pan tu już wcześniej? Może wczoraj w okolicach siedemnastej?

Pan Machajko był korpulentny. Radecki co prawda przerastał go o głowę, ale był też szczuplejszy i w bezpośrednim starciu z wąsatym starszym panem przegrywał wyraźnie na masę i bezczelność. Prawie włożył Borkowskim tyłem w żywopłot, próbując się odsunąć od wścibskiego wąsacza.

- Panie Machajko, proszę nie straszyć moich gości - rzuciła gromko Iwona od drzwi. - Niech pan sobie pójdzie policję pouczać albo straż przy zakręcie trzymać.

- Ja jeden się tu troszczę o bliźnich - oburzył się sąsiad. - Sprawdzam, pilnuje, kontroluje!

- Tu pan nie musi, ja tego osobnika znam od lat. A alibi już mu policja sprawdziła, bo oni mają do tego uprawnienia - odparowała Borkowska. - Chodź do środka, tylko uważaj - pogoniła Bartka.

- Na co...? - zaczął Radecki, ale urwał, w ostatniej chwili zatrzymując się przed barierą antywłamaniową, czyli rzędem patelni i garnków z wodą tuż za drzwiami wejściowymi. - Co to jest?

- Uważaj, mówiłam! - Iwona złapała go za rękaw i pomogła utrzymać równowagę, dzięki czemu uniknął wdepnięcia w naczynie. - Przejście zrobiłam, uważaj, jak nogi stawiasz! To pułapki. Zasieki. Zabezpieczenie przed mordercą.

- Mordercą? - Bartek rozejrzał się nerwowo, jakby spodziewał się, że zbrodniarz zaraz na niego wyskoczy. Iwonie przemknęło przez myśl, że wyskoczyć to może co najwyżej Anatola i może rzeczywiście jej należałoby się trochę obawiać...

- Policja go jeszcze nie złapała. Nie będę ryzykować, że wróci na miejsce zbrodni i mu się domy pomylą. Albo ma fazę na mordowanie ludzi z ulicy na literę A.

- Nie no... to rozsądne jest bardzo, tylko wiesz, chyba dopiero teraz do mnie dotarło, że Krystian faktycznie... no wiesz...

- Faktycznie. Sama widziałam - przyznała ponuro Iwona. - To znaczy nie morderstwo, potem widziałam, jak w ogródku leżał.

– On uwielbiał ten ogródek – rozczulił się Bartek. – Zawsze mówił, że tam najlepszy kontent robi. Nawet miał taki pomysł na cykl, cztery kettle na cztery pory roku, tylko trochę się martwił, czy w zimie śnieg będzie, bo wiesz, normalnych pór roku już nie ma... I Krystiana też nie... To w sumie nie musi się już tym martwić, co nie? – Z gardła wyrwało mu się coś pomiędzy śmiechem a szlochem, zamrugał, ale zaraz się opanował.

Borkowska się zawahała. Powinna go pocieszać? Tak zwyczajnie po ludzku to by go objęła, ale ponieważ chodziło o eksa jej przyjaciółki, uznała, że takich gości się nie przytula. Poza tym ledwie wypłatała się z jednego, samodzielnie co prawda sprokurowanego, posądzenia o romans i niespieszno jej było do następnego. W lekkiej panice próbowała sobie przypomnieć jakieś sensowniejsze sposoby wsparcia, takie, które nie wymagały zbyt bliskich kontaktów...

– Chodź, mam rogaliki z marmoladą – zaproponowała. W końcu była nieodrodną wnuczką swojej babci, która, jak głosiła rodzinna legenda, gdy ruszała na Ziemię Odzyskane, przede wszystkim zadbała o spakowanie składników na ciasto, między innymi w postaci trzech żywych kur niosek. Bo, jak sama twierdziła, nie wiadomo, co tam zastaną, a człowiek dobrze najedzony zawsze jakoś łatwiej przyjmie swój los.

Iwona, wspomniawszy przodkinię, złapała Bartka pod ramię i nie pozostawiając mu w zasadzie wyboru, zaprowadziła do kuchni i posadziła na krześle. Sama zajęła się nakładaniem rękawic i wyjmowaniem blachy z pieca.

– Psa sobie możesz spod stołu wyciągnąć – rzuciła. – On dziwny jakiś jest, że cię w ogóle nie wita. Na dzwonek nawet nie zareagował. W ogóle to cały czas siedzi tam schowany i nosa nie wystawia.

– On się pewnie boi – przyznał Radecki, który na klęczkach próbował zajrzeć pod stół. – Dopiero od wczoraj ma dom, nie wie pewnie biedak, co robić... A teraz mu jeszcze pana zamordowali...

– To on jest w końcu twój czy Krystiana? Bo policja mówiła, że ty jesteś właścicielem, ale pies był u niego.

– Bo to właściwie miał być pies dla niego, ja tylko formalności załatwiałem...

Borkowska porzuciła stygnące wypieki i zmierzyła Radeckiego przeszywającym spojrzeniem. Tak przeszywającym, że aż zebrał się z podłogi i usiadł przy stole, chyba tylko po to, żeby dla bezpieczeństwa oddzielić się od niej meblem.

– Od kiedy to adoptujesz psy dla innych ludzi? – spytała. – I co ty właściwie miałeś wspólnego z Krystianem?

Bartek otworzył usta, zamknął je i już-już miał je otworzyć ponownie, kiedy Iwona wycelowała w niego palcem tak energicznie, że aż nerwowo przelknął ślinę.

– Cztery lata cię znam – przypomniała bezlitośnie. – Pięć już nawet będzie. Pięć lat i żadna głupia miłość mnie przez ten czas nie zaślepiła. Znam cię, Radecki, i nawet nie próbuj ściemniać. Od kiedy robisz za menedżera? Czemu adoptowałeś psa Krystianowi? I jak ten kundel ma w ogóle na imię? Bo wczoraj ciotka chciała go nazwać Orest, po tym najprzystojniejszym policjancie z *Ojca Mateusza*. Ledwie jej to wybiłam z głowy, to zaczęła mi recytować całą listę sułtanów z tureckiej telenoweli! Nie będę się do psa zwracać jak do króla! Jak on ma na imię? Prawdę i całą prawdę poproszę. Już!

Rozdział 9

– On nie ma imienia – przyznał Bartek, zerkając ze wstydem w stronę schowanego pod stołem zwierzęcia. – W schronisku mu jakieś dali, takie sztampowe, Azorek czy Banan, ale Krystianowi się nie podobało. Powiedział, że zmieni na takie bardziej wyrywne.

– Wyrywne?

– Żeby laski wyrywać. Bo wiesz, on specjalnie chciał takiego małego, brzydkiego, żeby na insta dobrze wyglądał.

– Nie rozumiem – powiedziała Borkowska, trochę wbrew sobie, bo zaczynała rozumieć aż za dobrze i w ogóle jej się to nie podobało.

– O brand chodzi. O markę. Krystian miał wygląd, charyzmę, kręcił rolki z gołą klata, to ma masę odsłon! Ale takich gości na Instagramie jest pełno. Broda, mięśnie, przystojny, na pęczki. Trzeba mieć to coś, rozumiesz? Są tacy w kiltach, są tacy, co się kreuja na Heathcliffa w wersji muscle plus, wiesz, żeby się trochę wyróżnić. Krystian wpadł na genialny pomysł: atrakcyjny facet, mięśnie, a do tego pies! I to nie byle jaki, tylko brzydki pies ze schroniska!

– Krystian był potworem... – stwierdziła ze zgrozą Iwona. – A ja się gapiłam na jego bicepsy! – Otrząsnęła się ze wstrętem. – I ty, głupi, go tak podziwiasz? Może jeszcze chciałeś być taki jak on? Pogięło cię? Po co?

– Bo jestem przegrywem! – nie wytrzymał Bartek. – Laska mnie zostawiła, od prawie roku jestem sam, nie wiem, jak kogoś poznać, a jak już poznam, to nie iskrzy...

– Ja cię w łeb palnę – obiecała dynamicznie Borkowska. – Rok jesteś sam, ale wcześniej cztery lata w związku byłeś! Rozstaliście się. Zdarza się, wyobraź sobie. Różne rzeczy się zdarzają! Zaćmienia słońca, zakalce w cieście, promocje na najlepszą kawę i rozstania też! To jest normalny element życia! Poza tym nie wmówisz mi, że pod koniec nie docierało do ciebie, że się wypalacie.

- No było trochę... tak obok siebie byliśmy - przyznał Radecki.

- I co, następne dwadzieścia lat mieliście tak być obok siebie? Pomyśl, chłopie. To nie bajka, nie drapie cię po jankach i nie gwarantuje ci jednej wielkiej, nieskończonej miłości na całe życie. Czasem związki się po prostu kończą. Mają termin przydatności. I wasz się skończył, lepiej dla was obojga, że Celka trzeźwo oceniła sytuację, rozstaliście się kulturalnie i bez traum!

- Tak, ale Celina raz dwa sobie kogoś znalazła...

- Tylko dlatego, że wszyscy myśleli, że tamten zamordował swoją narzeczoną! Jakby Celki policja nie wezwała na przesłuchanie, toby w ogóle się gościem nie zainteresowała, dobrze jej się singlowało!

- Ale znalazła...!

Borkowska bliska była walnięcia głową w stół, dokładnie w to samo miejsce, gdzie zrobił to poprzedniego dnia sierżant Królewski. Tyle że jej wyszłoby to zapewne bardziej ekspresyjnie i boleśniej.

- Skoro tak strasznie chciałeś iść w jej ślady, to mogłeś sobie codziennie przesiadywać na przystanku pod komendą! Może by akurat jakąś sympatyczną laskę aresztowali, spojrzelibyście na siebie, błysk, grom, błyskawica, a potem byś jeździł do więzienia na wizyty małżeńskie!

- Nie chcę - zaprotestował.

- To po co jęczysz, że chcesz mieć tak jak Celka?

- Celka jeździ do więzienia na wizyty małżeńskie?

- Celka się spiknęła z podejrzanym - skorygowała Iwona. - Teraz to już nawet nie podejrzanym, bo śledztwo zakończono. Ma faceta na miejscu i nigdzie nie musi jeździć. A ty, zamiast skorzystać z usług matrymonialnych świadczonych przez polską policję, zbłądziłeś i trafiłeś na gościa o wątpliwej moralności, który najwyraźniej na tobie żerował i jeszcze wplątał w to wszystko to biedne zwierzę!

- To nie tak... Krystian był specjalistą - powiedział z ociąganiem Bartek. - Barter zrobiliśmy, ja mu pomagam przy social mediach, on mnie trenuje... Pomagałem - poprawił się. - Pomagałem mu. Jestem

dobry w te klocki, a tam trzeba trochę obrabiać, ustawiać publikacje, statystyki sprawdzać... Ja się na tym znałem, a Krystian był trenerem.

Borkowska bardzo podejrzliwie i wręcz obraźliwie dokładnie przyjrzała się jego bicepsom. Co prawda skrywał je sweter, ale nie wydawały jej się specjalnie imponujące. Ale może Bartek szedł w elastyczność, nie w masę.

– Ćwiczysz? Ten crossfit, ciężary czy co on tam robił?

– Nie... on inne rzeczy trenował. Takie wiesz, bardziej społeczne.

– Nie wiem. Jakie bardziej społeczne? – nie odpuszczała Iwona.

Bartek poczerwieniał. Urodę miał chłopięcą i spłonięte policzki odejmowały mu co najmniej dziesięć lat. Wyglądał jak skarcony, zawstydzony uczeń.

– Rozmowy, wiesz, zagadywanie... sytuacje z życia...

– Był jakimś trenerem umiejętności społecznych? – domyśliła się Borkowska. – Po co ci taki, przecież sobie dobrze radzisz!

Jej zdziwienie było szczere. Radecki, chociaż wolał kontakty wirtualne od bezpośrednich spędów towarzyskich, w obu sytuacjach radził sobie równie dobrze.

– Nie takich... to znaczy społecznych, ale takich bardziej, wiesz, intymnych, międzyludzkich... Z kobietami...

– Jeśli masz problemy z erekcją, to ja w ogóle nie chcę na ten temat nic słyszeć – zastrzegła w panice Iwona. – Nic w ogóle. Nie przyjmuję do wiadomości, że w ogóle masz wyposażenie erekcyjne.

– Nie mam! – Bartek spłonął jeszcze większym rumieńcem. – To znaczy mam! Wyposażenie mam! Ale nie mam problemów z erekcją!

– I tak trzymać, młody człowieku, tak trzymać – wtrąciła Anatola, która właśnie weszła do kuchni i skierowała się prosto do blachy z rogalikami. – Ale jakbyś kiedyś miał, to spokojnie, są na to tabletki. Działają.

– Ciociu – syknęła Iwona.

– No co? Rogaliki miałaś mi przynieść, a tu pachną, kuszą, a ty tak się na chłopaka zapatrzyłaś, że zapomniałaś mnie nakarmić!

Radecki zaczął wykonywać dziwne ruchy, jakby próbował zsunąć się z krzesła pod stół i dołączyć do schowanego tam psa.

– Nie kryguj się, młody człowieku – poradziła mu Anatola. – To są normalne biologiczne sprawy!

– To może zapomnij na chwilę o biologii i przypomnij sobie o dobrym wychowaniu! – Borkowska zgrzytnęła zębami.

Ciotka machnęła lekceważąco ręką.

– Nie mam zamiaru, pięćdziesiąt lat zapomniałam, co mi wtresowano w dzieciństwie, jak wrócę do stanu poprzedniego, to życia mi nie starczy, żeby się znowu buntować.

– Trochę racji masz – zgodziła się ugodowo Iwona. – Ale weź idź zadzwoni do jakiejś koleżanki, włącz sobie *Sułtankę* czy coś...

– *Sułtanki* teraz nie puszczaają – westchnęła ciotka. – Ale znalazłam *Szybkich i wściekłych 6*, to sobie na tego Dizla popatrzę.

Odeszła, odprowadzana pełnym zgrozy spojrzeniem Radeckiego, unosząc ze sobą trzy rogaliki, kubek z kawą i całą godność, jaka pozostała w kuchni.

– To ciotka Tadeusza – wyjaśniła Borkowska. – Trochę specyficzna, ale jak już się człowiek przyzwyczai, to nawet fajna.

– Wierzę ci na słowo, nie chcę się przyzwyczajać – wyznał Bartek.

– To wracając do tematu. W czym cię Krystian szkolił?

– Mówiłem, w relacjach międzyludzkich, no wiesz, jak rozmawiać z kobietami, żeby no wiesz... się zainteresowały...

Iwone chwilę zajęło zrozumienie, o czym on mówi. A kiedy do niej wreszcie dotarło, to aż się wzdrygnęła.

– Krystian uczył facetów, jak ściemniać laskom? Był od tych, no, programowań, jak podrywać? Od oszukiwania?

– Żadnego oszukiwania. – Bartek prawie podskoczył na krześle. – To nie jest oszukiwanie, to jest negocjowanie rzeczywistości. A Krystian był artystą, prawdziwym artystą w swoim fachu!

– Z takim bicipsem to owszem, bardzo możliwe – zgodziła się krytycznie Iwona. – Mógł dowolne farmazony nawijać, grunt, że był

ładnie opakowany.

– No wiesz co, tak go uprzedmiotawiać!

– Będę go uprzedmiotawiać dowolnie i przestaję mieć wyrzuty sumienia – oznajmiła stanowczo Borkowska. – To jest gorsze niż piramidy finansowe i emelemy razem wzięte! Co ci w ogóle odbiło, żeby się w coś takiego pchać?

– To są bardzo solidne, udokumentowane techniki psychologiczne! Z gwarancją sukcesu! – zaprotestował Bartek.

– Jasne, jak podlecisz do stu lasek z wyuczoną zajawką, to statystycznie jedna ci da po mordzie, a jedna da się na to nabrać, pytanie, na którą się najpierw natkniesz – prychnęła Iwona. – Przecież jeszcze w zeszłym roku byłeś normalny! Chcesz mieć dziewczynę, to jakąś normalnie poznaj, chcesz seksu, to sobie znajdź laskę z podobnymi zainteresowaniami i ustalcie sobie benefita albo jakiejs uczciwie zapłać, a nie wrywaj kocic na swoje prezentacje seksualne czy jak się te idiotyzmy nazywają!

– Skąd ty w ogóle wiesz, o co w tym chodzi? – spytał podejrzliwie Bartek, zupełnie jakby Borkowska posiadała jakąś wiedzę tajemną, nieprzeznaczoną dla jej oczu i uszu i na pewno niedostępną w wynikach googla.

– Kolega Tadeusza z roku polazł kiedyś na taki kurs, jeszcze jak byliśmy wszyscy na studiach. I potem na imprezie próbował na te idiotyzmy wyrwać Celinę. Ty wiesz, jak to się skończyło?

Bartek, który co prawda był swego czasu w Celce porządnie zakochany, ale nigdy do tego stopnia, żeby nie dostrzegać pewnych cech charakteru ukochanej, skrzywił się współczująco.

– Mogę sobie wyobrazić...

– To teraz napnij wyobraźnię jeszcze bardziej, bo ten kretyń nie załapał, jak Celka mu dała kosza po raz pierwszy i po raz drugi. Przy trzecim podejściu poszły iskry i zniszczyła mu samoocenę. Tolek był tak wstrząśnięty, że potem zaczął podrywać mnie. Rozumiesz, pół metra dalej stoi mój facet, a Toluś mi zaczyna zapodawać idiotyczne teksty, które miały mi tak podkopać samoocenę, żebym zapomniała, jakim jest idiota, i uznała, że rozłożenie przed nim nóg jest jedynym sposobem na zyskanie

jakiejś wartości. Jak mu powiedziałam, co o nim myślę, to uciekł. Ale niedaleko. Potem jeszcze próbował z każdą laską na imprezie, nieważne, sparowaną, wolną, zainteresowaną czy nie. Do każdej po kolei uderzał jak jakaś szurnięta kula bilardowa. Odbijał się i leciał dalej, a po tym cyrku, który odstawił, żadna dziewczyna nie była zainteresowana.

– Bo to trzeba próbować, ćwiczyć, nabierać wprawy...

– Tolek poćwiczył, to duża impreza była. Potem nikt w ogóle się z nim nie chciał zadawać, bo natręt i głupek. Nawet goście z mentalnością jaskiniową go spławiali, bo wyszło im, że może próbować wyrywać przypisane im laski.

– Sukces budzi zawiść... – zaczął Bartek.

Iwona popukała się w czoło.

– Jaki sukces? Wybacz bezpośredniość, ale o sukcesie tych „technik” podrywania chyba świadczy to, czy zaliczysz, czy nie. Tolek na bank nie zaliczył. A skoro już o tym mowa, to wiem, że pożałuję tego pytania, ale robię to dla twojego dobra. Potem się wykapię w płynie do naczyń i odkażacz do kibla, ale skoro już o tym mowa, powiedz mi, ile razy zaliczyłeś, odkąd ci Krystian zaczął doradzać?

Radecki zrobił czerwony i aż dziw, że mu para z uszu nie poszła.

– Mówiłaś, że nic nie chcesz wiedzieć o moim wyposażeniu, to czemu się pytasz, czy go używam! – wypalił.

– Dla twojego własnego dobra! Ktoś musi tobą wstrząsnąć i to niestety będę ja – oznajmiła twardo Borkowska. – Potem sobie mózg potraktuję wybielaczem, ale nie odpuszczę! Powiedz mi, co ci w ogóle do głowy strzeliło, żeby się w tym bagnie pogrążyć? Żebyś jeszcze faktycznie nie miał umiejętności społecznych, to na upartego, z dużą dozą dobrej woli, mogłabym przyjąć, że zamiast pójść na normalny trening komunikacji, zbłądziłeś do kultu pickuperów, ale Bartek, człowieku, ty tego nie potrzebujesz!

– Ale Celina mnie zostawiła...

– I niby myślisz, że jak opanujesz te hiperekstratechniki podrywu, to ją na nie złapiesz i wrócisz? – spytała podchwytliwie Iwona.

Po twarzy Bartka było widać, że toczą w nim walkę dwa wilki. Jeden chciał się odgryźć dla zasady, zupełnie jak niedawno Borkowska w mięsnym, a drugi wyobrażał sobie reakcję Celki na fachowy podryw i skamlał, kuląc pod siebie ogon.

– Nie – wydusił z siebie w końcu.

– Okej, to pierwsze mamy już ustalone – pochwaliła Iwona. Wyciągnęła z szafki dwa talerze i nałożyła na nie rogaliki. – Zjedz, będzie ci się lepiej prowadziło bolesne rozkminy. Kawy?

Bartek nie odpowiedział, a na talerz z rogalikiem patrzył podejrzliwie, jakby bał się, że gospodyni zastawiła na niego pułapkę. Obawy były częściowo uzasadnione, wypiek smakował wybitnie i zniechęcał do natychmiastowej ucieczki. Iwona zrobiła dwie kawy, usiadła z powrotem przy stole i zaczęła, aż jej gość weźmie pierwszy kęs i zaraz potem zachwyci się smakiem. Ba, pozwoliła mu nawet ten pierwszy kęs przelknąć – tylko tego brakowało, żeby jej się zadławił w kuchni, przy całej tej policji na zewnątrz.

– A ty w ogóle chciałbyś, żeby Celka wróciła?

Radecki, który właśnie z ogromnym zapalem przymierzał się do ugryzienia kolejnego kawałka rogalika, zamarł z otwartymi ustami. Już-już zbierał się do odpowiedzi, kiedy nagle coś mu błysnęło w oku. Wepchnął sobie cały wypiek do gęby, kneblując się skutecznie, lecz krótkotrwanie.

Żuł powoli, co chwilę przepaszająco wskazując swoje policzki i całym sobą dając do zrozumienia, że naprawdę bardzo chciałby odpowiedzieć, ale niestety, nie może, okoliczności nie sprzyjają. Iwona sączyła kawę i reagowała uprzejmym uśmiechem. Miała urlop, mogła poczekać.

– Wyśmienite te rogaliki – powiedział w końcu Radecki. – Jeszcze się poczęstuję...

Zanim zdążył załapać kolejny, Borkowska rzuciła się niczym kobra i chwyciła go za nadgarstek.

– Najpierw mi odpowiedz na pytanie – zasugerowała uprzejmie. – Chcesz się znowu zejść z Celiną? No nie bądź taki, powiedz, wyczuwam twój puls i mam wrażenie, że ci niebezpiecznie przyspiesza. Powiesz mi,

to ci zaraz ulży. Uspokoisz się, zjesz rogalika, wszystko będzie okej... No dalej. Chcesz, żebyście do siebie wrócili?

– Nie! – Radecki wyrwał jej rękę i przytulił do piersi, jakby bał się, że Iwona znowu naruszy jego nietykalność cielesną. – Nie chcę, żebyśmy do siebie wrócili. Masz rację, pod koniec było... słabo. Nie źle, tylko słabo właśnie. I nie chciałem, żeby się między nami wszystko skończyło, ale teraz, jak tak sobie przypomnę, to nie chciałbym do tego wracać. No i dobra, rozstaliśmy się, nie wyszło, chciałem wszystko zostawić za sobą, ale się nie da! Celina prawie od razu zaczęła kręcić z tym gościem od morderstwa...

– Chcesz mieć jak Celina, to dzwoń do podkomisarza, zapytaj, czy ma jakieś wolne morderstwo, które może ci przyczepić. Może przy okazji jakąś dziewczynę poznasz – zaproponowała zimno Iwona.

– Myślisz...

– Oczywiście, że nie! Opamiętaj się! Morderstwa i śledztwa to nie biuro matrymonialne! Tak się ludzi nie poznaje!

– Celina poznała...

– Chcesz żyć życiem Celiny?

– Nie chcę, ale życie Celiny mi się pcha w życiorys! – Bartek złapał się za głowę i niemal zaczął sobie rwać włosy. – Wiesz, jakie to słabe? Rozstaliśmy się, bywa. Koniec. Z kumplami wychodziłem na pocieszające piwo, miałem święty spokój w domu, nie było źle. Dochodziłem do siebie, łapałem równowagę, korzystałem z singielstwa, powoli zaczynałem się rozglądać, z kim się umówić, a tu zewsząd, zewsząd, rozumiesz, słyszę o mojej byłej i jej morderczym romansie! Że moja eks kogoś zamordowała, żeby być z jakimś supergościem. Albo ten gość kogoś zamordował, żeby być z Celiną. Ludzie albo mi współczuli, albo gratulowali, że w sam czas się ewakuowałem z tej telenoweli. Dwa razy się z laskami umówiłem, świetne dziewczyny, zagrało nam. I wiesz co? Gadam sobie z jedną, a ona skojarzyła, kim jest moja eks, i powiedziała, że drugiej randki nie będzie. Jestem fajny gość, tak mi, rozumiesz, powiedziała, i ona by się nie zdziwiła, gdyby Celina jednak stwierdziła, że woli mnie od tego mordercy. A wtedy to albo on mnie będzie próbował

zamordować, albo Celka będzie próbowała zamordować moją aktualną. I ta laska powiedziała, że nie będzie ryzykować! Kumaszczyk? Tak mi pojechała. Potem umówiłem się z drugą. Wody do gęby nabrałem, nic nie wspominałem o sobie, bo uznałem, że to nie jest temat na pierwszą randkę. I wiesz co? Nic nie musiałem mówić, bo ona wszystko wiedziała, a umówiła się ze mną specjalnie, bo ją to kręci. W łóżku mi się przyznała, kurde, cud, że się od tego jakichś problemów nie nabawiłem! To nie są warunki do życia, tak się nie da! Mam wziąć od Celiny na piśmie, że nie zamierza mordować mnie, moich przyszyłych i w ogóle ma mnie gdzieś? I ten jej gość też? No powiedz mi, co ja mam twoim zdaniem zrobić?

Teraz to Iwona siedziała z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. I chwilowo nie miała dla niego żadnej odpowiedzi, więc po prostu podsunęła mu talerz z rogalikami. Wziął od razu trzy.

Rozdział 10

Mniej więcej przy czwartym rogaliku Bartek zaczął się wiercić niespokojnie na krześle.

– Za bardzo się uzewnętrzniałeś i teraz cię to zaczyna uwierać? – zgadła Iwona.

– A żebyś wiedziała! Jest jakaś szansa, że dostaniesz amnezji i o wszystkim zapomnisz?

Pokręciła głową.

– A chociaż, że nic nie powiesz Celinie?

Borkowska rozważyła prośbę.

– „Nic” nie wchodzi w grę. Sorry, sam rozumiesz: to jest moja przyjaciółka, a ty jesteś tylko jej byłym. Zero lojalności. Ale – pocieszyła zrezygnowanego Radeckiego – to nie znaczy, że zaraz jej streszczę całą rozmowę. Trochę wspomnę, bo za bardzo jesteś wplątany w morderstwo Krystiana, ale tylko trochę.

– Powiesz jej o kursie podrywania – podsumował Bartek.

Iwona skrzywiła się delikatnie.

– Powiem, co odstawił Krystian. I skąd się tego dowiedziałam. Resztę tylko jeśli zapyta – zgodziła się miłosiernie.

Nie wyglądało, by Radeckiego to pocieszyło. Sięgnął pod stół, wziął psa na kolana, jakby liczył, że zwierzę go obroni przed szczerością Borkowskiej. Nie miał na co liczyć. Kundel łagodnie zniósł zmianę poziomu, tak jak łagodnie i z rezygnacją znosił wszystko. Spojrzał na Iwonę tymi małymi ślepiami w taki sposób, że od razu sięgnęła po paczkę ciasteczek z dziczyzny.

– Iwona, jakie są szanse, że ona do mnie zadzwoni i opierniczy mnie za głupotę? – spytał zrezygnowany Bartek.

– Bliskie zera – pocieszyła go Borkowska i podsunęła psu smaczek pod nos.

Tyle że Bartek wcale nie wyglądał na pocieszonego. Wręcz przeciwnie, na oburzonego, a może nawet lekko zdruzgotanego.

– Przyjmij do wiadomości, że ona serio już sobie przepracowała koniec związku i zdystansowała się od ciebie emocjonalnie. A potem zrób to samo, bo serio, przykro ci, że twoja eks nie zadzwoni ci powiedzieć, że podejmujesz głupie decyzje jako singiel?

– Jak tak to przedstawiasz...

– A jak twoim zdaniem mam to przedstawić?

Nic nie powiedział, wyjął kilka ciastek z paczki i zaczął karmić psa.

– On taki... sympatyczny jest – powiedział z lekkim zaskoczeniem. – I grzeczny.

– Gratulacje, masz sympatycznego i grzecznego psa. Kiedy go zabierzesz?

Delikatne nerwowe wzdrygnięcie nie było odpowiedzią, jakiej oczekiwała.

– Jeśli mi powiesz, że zaadoptowałeś go tylko po to, żeby Krystian miał swoje lajki i tak naprawdę go nie chcesz, to najpierw wydrę ci z gardła te wszystkie rogaliki, które zjadłeś, a potem zadzwonię i wszystko opowiem Celinie. I na tym nie poprzestanę!

Zamilkła na chwilę, szukając dodatkowych gróźb, które mogłyby jeszcze wystosować. Wstrząśnięty Bartek skorzystał z okazji, żeby zacząć się bronić.

– To nie tak! Ja chcę! Chcę psa! Wiem, że intencje były do dupy i Krystian chciał go wykorzystać i w ogóle nie powinienem się na to zgodzić, ale ja chcę psa. Tylko jeszcze nie mogę go zabrać.

– Dlaczego? – spytała podejrzliwie Iwona.

– Mam w umowie najmu: żadnych zwierząt. Nie wiedziałem, że tak będzie! Nigdy bym nie podpisał! Ale już kombinuję, serio, Iwona, to by był tydzień, maks dwa! Marcel może mieć zwierzęta w mieszkaniu. Mamy taki sam metraż, koszty też podobne, już się dogadaliśmy, zamienimy się

na mieszkania! Jemu nawet bardziej pasuje, będzie miał bliżej do swojej i git, bo nie chce odstępnego, tylko musimy z właścicielami się dogadać, przepisać umowy i przeprowadzki zrobić, a to trochę potrwa. I gdzieś muszę na ten czas kundla przezimować. Iwona, przetrzymasz go trochę? Dowiozę żarcie i wszystko...

– Celka już kupiła...

– Celina kupiła rzeczy dla mojego psa? – rozpromienił się nagle Bartek.

– Nie. Celina kupiła rzeczy dla psa, którego, jak sądziła, ja przygarnęłam. Gdy się okazało, że jest twój, to jej całą kasę zaraz oddałam, żeby nie wyszło, że coś dla ciebie kupiła – skorygowała bezlitośnie Borkowska. – Nie żeby ci jakiś afront chciała robić, ale sam rozumiesz, nic was nie łączy i niech tak już zostanie.

– Mam wrażenie, że grzebiesz mi rozgrzanym pogrzebaczem w otwartej ranie – wytknął Radecki.

– Jakbyś ją sobie sam zdezynfekował i porządnie opatrzył, tobym nie musiała – odparowała Iwona. – A tak sam się prosisz o metaforyczną gangrenę. Myślałeś, że co, Krystian ci ranę opatrzy? A skoro już jesteśmy w temacie, to jak on zamierzał nazwać to zwierzę? Czy ty to zrobiłeś?

– Neeee... Krystian... Nie rób takiej miny, wiem, jak to brzmi i wiem, że zaraz zabrzmi jeszcze gorzej, ale Krystian miał parę typów. Takich wiesz, nadających się na tagi i fajne opisy na rolkach...

Twarz Borkowskiej wyraźnie świadczyła, jak bardzo nie była pod wrażeniem i jak bardzo marnych propozycji się spodziewała.

– No, dawaj.

– Brzydał, Shrek i Kaszak.

– Kaszak?

– Od kaszalota, wiesz, że taki brzydki.

Iwona pozwoliła sobie nie skomentować. Dała psu kolejnego smaczka.

– I ty oczywiście masz jakieś lepsze typy?

– Nie bardzo – przyznał Bartek. – Myślałem, że może coś oryginalnego, ale on mi nie wygląda na Johnny'ego Silverhanda ani

Kratosa. Zawsze jest jeszcze Mario...

– Nie możesz pojechać czymś tradycyjnym? Azorek? Pikuś?

– Neeee, no weź, trochę oryginalności. Wiesz, żeby było niespotykane, takie, żeby zwracało uwagę...

– Przyznaj się, że chcesz laski wyrwać na psa. Nazwij go Desperat, albo Zapomniałem, Jak Się Rozmawia Z Kobietami – zaproponowała Iwona.

Bartek poczerwieniał.

– Wcale nie. A jak tak mądra jesteś, to wymyśl coś innego!

– Kryptyd – podsunęła. – Nazwij go Kryptyd. Wiesz, po niespotykanych zwierzątkach. W zasadzie powinna być Kryptyda, ale Kryptyd brzmi lepiej.

– Na tym to można sobie język połamać. Jak ty sobie wyobrażasz, że będę go wołał? Kryptyd, do nogi? Chyba, że mu zacznę mówić Krypek...

– A jakbyś wołał „Johnny Silverhandzie, natychmiast wypuść z pyska ten śmieć”, to byłoby lepiej? – zainteresowała się Borkowska. – Nie, dobra, nie rób takiej miny – dodała. – Twój pies, twój wybór, już się nie wtrącam. I tak go w końcu zabierzesz i zrobisz, co zechcesz. Ale nawet sobie nie wyobrażaj, że do tego czasu będę się do niego zwracać pełnym imieniem i nazwiskiem!

– Nie musisz! – zapewnił ją Bartek. – To znaczy, że go przechowasz? Parę dni, obiecuję, tylko dogramy formalności i przeprowadzki...

Gdyby chodziło wyłącznie o wyświadczenie przysługi Radeckiemu, Iwona pewnie by się nie zgodziła. Głęboko wierzyła w niewidzialną granicę oddzielającą ją od byłych facetów jej przyjaciółek i natychmiastowe ochłodzenie kontaktów. Żadnych przysług, żadnych wspólnych spotkań i już. Czyste, mocne cięcie.

Ale w grę wchodziło jeszcze zwierzątko. Kundel był mało problemowy, miał taki tragiczny wyraz pyska, że kruszył serce, ciotka go lubiła, do tego miałby zostać tylko na tymczasie i przynajmniej nie wracałby do schroniska... Parę dni Iwona mogła ze zwierzątkiem wytrzymać.

- Przechowam – zgodziła się. – Ale nie będę do niego mówić Johnny, wymyśl coś innego.

- Johnny bez nazwiska jest spoko imię...

- Aktualny facet Celiny ma na imię Jan. Chcesz sobie po nim nazywać zwierzątko, to po pierwsze rób to, jak już będzie u ciebie mieszkało, po drugie... rozmawialiśmy o tym, że powinieneś sobie przepracować przeszłość?

- Tak w sumie...

- To dawaj coś innego. Wiesz, jakąś supercool postać z gry, która jest zawsze debsciarska i ma masę przygód?

- Jakiś wybraniec... Chosen One znaczy.

- Pasuje – oznajmiła Anatola, wchodząc zniemacka do kuchni. – Czosek na niego będziemy zdrobniale mówić, a to Czosenłan sobie wpiszesz do książeczki. Nie zwracajcie na mnie uwagi, ja tylko po rogaliki. Wyśmienite ci wyszły, Iwonko, zbrodnia w sąsiedztwie naprawdę korzystnie wpłynęła na twoje zdolności kulinarne. To może być skutek wstrząsu, czytałam o tym, ludzie po ciężkim szoku przyswajali nowe języki, talenty się u nich pojawiały, widzisz, jakie masz szczęście, że u ciebie też to tak działa!

Ciotka, wciąż nawijając, zgarnęła trzy rogaliki na talerz i wyszła z kuchni, zupełnie nieświadoma tego, że Borkowska ma wypisany na twarzy zbrodniczy zamiar.

- Jak już zacznę myśleć, że ona jest spoko, to coś takiego odstawia – syknęła.

Bartek mocniej przygarnął do siebie psa.

- Jesteś pewna, że mogę go tu zostawić... z wami?

- Możesz, ciotka go lubi – uspokoiła go Iwona. – Ale na razie go możesz wyprowadzić.

- Co?

- Już pora, dawaj, nawiąż z nim więź, mnie daj trochę spokoju i przy okazji docień, że się nie domagam, żebyś przyjeżdżał tu na poranne spacery.

Już prawie udało się jej wyprawić Bartka z psem za drzwi, kiedy przypomniała sobie o najważniejszym.

– Gaz!

– Co?

– Gaz musisz wziąć. Sąsiadka mogła mieć rację, on widział mordercę.

Radecki prawie podskoczył.

– Jak to widział mordercę?

– Zwyczajnie, świadkiem był – wyjaśniła Iwona. – Nie wiem, czy to ma znaczenie, bo wiesz, trochę niekomunikatywny jest, ale z drugiej strony taka Lassie czy komisarz Rex dawali radę... W każdym razie na wszelki wypadek masz gaz, gdybyś musiał go bronić.

Bartek robił wrażenie kogoś, kogo zniecka przytłoczył ciężar posiadania zwierzęcia. Ale wyprostował się, zabrał psikacz i dzielnie udał się na spacer z Czoskiem, troskliwie przeniósłszy psa nad wodnymi zasiekami.

Borkowska odetchnęła. Radecki już jej trochę działał na nerwy i chociaż straszyla go porannymi spacerami, to zdecydowanie wolałaby go nie oglądać aż do chwili ostatecznego przekazania psa.

Właśnie, powinna zadzwonić do Tadeusza i uprzedzić go, że dla odmiany w domu chwilowo będzie żywe zwierzątko. Ale jak to zrobić bez wyjaśniania, skąd się wzięło? Ocenzować jakoś prawdę, żeby się nie zestresował?

– Gdzie ten młodzieniec z problemami? – zainteresowała się Anetola, wyglądając z pokoju.

– Poszedł na spacer z psem.

– Dobrze, bo on trochę męczący jest – westchnęła ciotka. – Nie wszystko słyszałam, bo wiesz, czasem za cicho mówiliście, ale on się powinien chyba wziąć w garść.

– Miała ciocia nie podsłuchiwać, tylko oglądać seriale!

– W telewizji nic nie ma. Tyle kanałów, Iwonko, a nic porządnego nie puszczają.

– Słabo ciocia szukała.

- A możliwe, możliwe - zgodziła się skwapliwie Anatola. - Będziesz mi musiała potem pomóc coś znaleźć. A na razie powiedz, bo nie słyszałam dokładnie, czemu tak lżyłaś zmarłego. Wiesz, to trochę tak nie wypada...

- Nie wypada? Czy ciocia w ogóle wie, czym on się zajmował? On był zawodowym podrywaczem! - Iwona wręcz wypluła te słowa z odrazą.

Anatola zmarszczyła brwi.

- Takim żigolo? - upewniła się.

- Żadnym żigolo. Takim trenerem, który tłumaczy facetom, co mają mówić, żeby laski na nich leciały. Właściwie to nawet nie na nich, tylko do ich łóżka. Bo rozumiesz, trzeba podrywać seryjnie, żeby nie wyjść z wprawy...

- I on tak każdą po kolei podrywał? Biedny człowiek, strasznie musiał być zajęty...

Iwona prychnęła.

- Ciociu, to jest ściema. W tym całym zawodowym podrywaniu chodzi o to, żeby wmówić innym gościom, że jeśli tylko wyłożą kasę na kurs, to się nie będą mogli opędzić od kobiet.

- A ile taki kurs kosztuje?

- Nie mam pojęcia. Jak jest taki superekskluzywny z wiedzą tajemną, to pewnie parę tysięcy.

- To taniej kupić feromony. Czytałam o nich w internetach. Jakby sobie kupił i się spryskał, to nie musiałby już nic robić i raz dwa miałabyś ten swój romans.

- Lubię myśleć, że jestem na tyle wysoko na szczeblu ewolucji, że nie poleciałabym na głęba z feromonami - oznajmiła sucho Borkowska.

- A to myśl sobie - zgodziła się Anatola. - Grunt to mieć o sobie dobre zdanie, to korzystne dla psychiki. Ale jakby się tak spryskał...

- Dalej wewnątrznie byłby dupkiem - ucięła Iwona. - Nie lecę na dupków. Nawet Celina nie leci na dupków, a ona się spotyka z gościem, który był podejrzany o morderstwo! Trzeba mieć jakieś standardy i jestem pewna, że ja i moje przyjaciółki... - urwała, przypomniawszy sobie

o wielokrotnym związku Matyldy z Sebulą – ...ja i moje przyjaciółki jesteśmy w większości ponad to!

– W większości?

– Dwa do jednego – uściśliła ponuro Borkowska. – To jest statystyczna większość.

– To i tak dobry wynik – pochwaliła niespodziewanie ciotka. – A uprzedziłaś tego młodego człowieka, że tu mordercy grasują i polują na takich chłopców jak on? Młodych, przystojnych, zapsionych?

– A może to morderczynie...?

– Mogą być i morderczynie, a co cię tak na równouprawnienie wzięło?

– Jeśli Krystian robił za guru od podrywu, to mogła go wykończyć jakaś wkurzona laska, do której się dobierał. Albo facet tej laski. Albo jakiś gościu, który myślał, że po kursie zostanie Casanova, a skończył jako wrocławska podróbka Johnny'ego Bravo.

– Nie znam żadnego Bravo.

– Tym lepiej dla cioci.

– A policja to wie, że z niego taki lowelas był? – zainteresowała się Anatoła.

– Ty masz rację! Trzeba im powiedzieć!

Iwona się poderwała, w przedpokoju prawie wpadła w garnki z wodą, ale zatrzymała się w drzwiach. Po ogródku Krystiana wciąż kręcili się policjanci, ale ci niżsi ranga, mniej ważni i sądząc po zachowaniu tego stróżującego o poranku – zdecydowanie mniej zaangażowani. A przecież takie ważne wiadomości powinny trafić do kogoś, kto je doceni.

Zawróciła, przeskoczyła nad naczyniami i dopadła komórki. Wybrała numer Nowackiej.

– Potrzebuję numer do Zacharczyka! – wyrzuciła z siebie, gdy tylko przyjaciółka odebrała.

– Teraz, na już? – jęknęła Celina. – Są godziny pracy, zadzwoń na komendę, to cię przekierują.

– Nie chcę na komendę, chcę go dopaść bezpośrednio. Dzwonił przecież do ciebie, zapisałaś sobie?

- Po co? Chyba żeby wyświetlał się jako „nie odbierać”... – syknęła Nowacka. – Ale czekaj, Jan go ma w telefonie. Właśnie po to, żeby wiedzieć, że to on dzwoni, i nie odbierać.

- To niech da!

- Zadzwoń i niech ci poda, przecież go przy mnie nie ma, w pracy jestem!

- A, fakt. Sorry, cześć.

Borkowska rozłączyła się i natychmiast wybrała kolejny numer. Wzięła głęboki wdech – przy Celce nie musiała się wstrzymywać, przy ludziach mniej znanych starała się prezentować pozory stabilności psychicznej.

- Cześć! – wykrzyknęła z radością tak sztuczną, że można by z niej wyrabiać kwiaty do wieńców na pierwszego listopada. – Celina mówiła, że masz numer do tego gliny, Zacharczyka. Potrzebuję go bardzo.

- Mam – potwierdził Jan. – Jesteś pewna, że chcesz? Gość jest...

- Wiem, już miałam przyjemność... nieprzyjemność? No, nie był taki zły, chociaż tłuczek do mięsa mi zwinęli...

- ...Tłuczek?

- Taki markowy. Mam nadzieję, że oddadzą.

- Chcesz dzwonić do tego gliny, żeby ci oddał tłuczek?

- Nie, chcę do niego dzwonić i zapytać, czy już wiedzą, że Krystian był odrażającym osobnikiem szkolącym naiwnych gości z pseudotechnik podrywania. Bo wiesz, za sprytni to oni nie są, sami mogli na to nie wpaść...

- Z tym się zgodzę – powiedział uprzejmie Zbenda.

- To dyktuj! – ucieszyła się Iwona. – Albo nie, co ja mówię, SMS-em mi wyślij, jak cywilizowany człowiek.

- Już wysyłam – obiecał.

Faktycznie, zaraz dostała wizytówkę kontaktu „Zacharczyk nie odbierać”.

Wybrała numer. Podkomisarz odebrał niemal od razu, a jego aksamitne „Zacharczyk, słucham” mogłoby sprawić, że słabszej kobiecie

nogi ugięłyby się w kolanach. Iwone nie, bo była kobietą silną, zameżną i do tego z misją.

– Borkowska – przedstawiła się. – Sąsiadka Krystiana Pożałki. Przyjaciółka Celiny.

To ostatnie mogła sobie darować, poziom entuzjazmu policjanta nagle wzrósł o jakieś sto procent.

– Pani Iwona! – rozpromienił się werbalnie. – Cudownie panią słyszeć. Jak tam pani Celina? Nadal taka kaśliwa?

– Jeśli o pana chodzi, to na pewno – odpowiedziała szczerze Iwona. Słyszała pogłos w słuchawce, więc pewnie skubany dał ją na głośnik, ale trudno, mogła to wytrzymać. – Ale to nie jest takie seksikąsanie, tak dla jasności, żeby pan sobie nie wyobrażał. To jest takie „odgryzę ci palec, przegryzę aortę i dziabnę w tętnicę”, metaforyczne oczywiście – dodała zaraz. – Żeby jej pan o coś nie zaczął podejrzewać.

– Ależ proszę się nie obawiać – zapewnił ją Zacharczyk. – Pani Celina już nie jest podejrzana.

Zaakcentował tę „panią Celinę”, skubany.

– Pan Jan też nie, bo wyszło wam, że to był wypadek – przypomniała nietaktowanie Borkowska. – Ale ja nie o tym chciałam rozmawiać, ja mam informacje!

– Informacje? Jakież?

– O Krystianie!

– Coś sobie pani przypomniała? Jakież intymne szczegóły? – drążył podkomisarz.

– Jeśli pan się nie uspokoi, to nic panu nie powiem i będzie pan musiał się bawić w wezwania na komendę – zagroziła Iwona. – A listonosz, proszę pana, chodzi w takich godzinach, że mnie może nie być wtedy w domu przez całe dwa tygodnie!

– Bardzo pani zacięta.

– A pan bardzo zdekoncentrowany. O śledztwie rozmawiamy, o śledztwie! Wie pan, co to jest? Prowadzicie je, macie trupa, pan się na nim skupi, a nie na jakichś insynuacjach!

- Oczywiście, pani Iwono – zapewnił ją Zacharczyk, namiętnie, a jakże.
- Pan wie, czym się Krystian zajmował?
- Być może, ale nie mogę się doczekać, aż pani mi to powie!

Borkowska westchnęła. Czemu tacy namiętni lowelasi nie mruczeły do niej, gdy była młodsza i niezamężna? A, prawda, bo wtedy nie była też zamieszana w żadną aferę kryminalną, a tu proszę, tylko człowiek nieco przekroczył trzydziestkę, a już zaczynały go otaczać zwłoki...

- Krystian był trenerem uwodzenia, podrywu, nie wiem, jak to się nazywa. Tłukł naiwnym gościom do głowy, jak mają wrywać laski!

- Doprawdy?

- Doprawdy, doprawdy i niech pan to potraktuje poważnie! Przekręty robił! Oszukiwał facetów, a oni pewnie z kolei próbowali oszukiwać kobiety. Och! – przestraszyła się nagle. – Mam nadzieję, że żadna laska go nie zamordowała, a jeśli, to że dostanie łagodny wyrok... Tam jest masa okoliczności łagodzących!

- Pani Iwono, nie popadajmy w przesadę... Ten cały biznes pana Krystiana...

- W przesadę? Niech mi pan powie, gdyby pan usłyszał, że jakiś gość wmawia innym, że jak zapłacą mu parę tysiów i przez tydzień będą słuchać pitolenia o tym, jak emitować energię samca alfa, to będą potem umieli mruczeć do telefonu tak, jak pan, to to nie byłby przekręt?! Że niby tak łatwo jest takich picusiów produkować? O nie, nie jest łatwo, ja panu powiem, a jakby było łatwo, to co? Przecież on ich nauczył tylko podrywu, co z etyką, co z poczuciem sprawiedliwości? Wyprodukowałby armię pana klonów i pan myśli, że co, oni by poszli walczyć ze zbrodnią we Wrocławiu? Nie! Oni by poszli pociupciać, a zbrodnia by się miała świetnie! Nie przeraża pana taka wizja?!

W słuchawce rozległy się jakieś charczenia.

- Pani Iwono, przepraszam, muszę kończyć, sierżant Królewski mi się dławi...

- Co? Niech pan się nie rozłącza, niech pan robi heimlich, powiem panu jak! Już! Trzeba udroźnić drogi oddechowe! Szybko, każda sekunda

się liczy, jemu umierają szare komórki! Niech pan mnie słucha, jestem po kursie!

– Spokojnie, pani Iwono, sytuacja jest pod kontrolą – odparł Zacharczyk i się rozłączył.

A Iwona nie zdążyła mu nawet powiedzieć o tym, że pies był świadkiem i wymaga ochrony!

Prychnęła rozzłoszczona. Celina miała rację, podkomisarz był szalenie denerwujący, pal lichu to, jak brzmiał i wyglądał, wrażenia estetyczne nie zmieniały faktu, że gość jej działał na nerwy. Poza tym, jak wykazywał casus Krystiana, mężczyźni, których Borkowska uważała za przyjemnych wizualnie, mieli paskudne wnętrza. Dobrze, że Tadeusz był inny...

Pełne złości rozmyślenia przerwał jej krzyk dobiegający z ulicy.

Znowu.

Znowu!

Iwona poderwała się z krzesła, wyskoczyła z kuchni, płynnym łukiem ominięła wychodzącą z pokoju Anatolę i dała susa nad garnkami z wodą.

– Ciocia bierze nóż! – krzyknęła do ciotki i wypadła do ogródka.

Nastawiała się co najmniej na zwłoki na ulicy, tymczasem przed furtką stali Bartek, Magda spod jedyńki i świeżo mianowany Czosek, a na chodniku pół leżał, pół siedział pan Machajko. Ramieniem zakrywał sobie twarz i wydawał z siebie na przemian chrząknięcia i przekleństwa. Borkowska wyhamowała i już spokojniejszym krokiem podeszła do nich.

– Co jest?

– Rzucił się na mnie – usprawiedliwił się Bartek, wyłamując nerwowo palce. – Znienacka zza krzaka. Spanikowałem, a dałaś gaz i kazałaś uważać, żeby nikt psu krzywdy nie zrobił, to mu pojechałem po oczach. Tym gazem znaczy.

– Ciociu! – ryknęła w stronę domu Iwona. – Niech ciocia przyniesie mleko!

– Nie chcę waszego mleka – oburzył się pan Machajko. – Sam sobie przemiję oczy. Swoim!

Wstał chwiejnie. Magda próbowała go podtrzymać, ale wyszarpnął jej ramię i niepewnym krokiem, trochę na oślep, ruszył stronę swojej posesji.

– Bardziej na prawo! Jeszcze trochę! – pokierowała nim Magda.

Pan Machajko wymruczał coś złowrogo pod nosem, ale zmienił kurs.

– Może pana trzeba do okulisty? – przejęła się sąsiadka. – Iwona, pożyczysz auto, ja pana zawiozę.

– Nigdzie z wami nie jadę, harpie, sępy, sroki! – wydarł się spod swojej furtki pan Machajko. – Wywieziecie mnie za miasto i diabli wiedzą, co zrobicie! A policja jest bezużyteczna! – ryknął w stronę ogródka Krystiana.

Iwona i Magda jak na komendę wychyliły się, żeby zobaczyć, co dzieje się pod furtką piątki. Bartek nie wiedział, o co chodzi, ale też wyjrzał.

Policjant, ten sam co rano, stał przy wejściu do ogrodu w pozycji „spocznij” i wbijał spojrzenie w bliżej nieokreśloną dal, czyli w jabłonkę w ogródku pani Mołdawskiej.

– To niechcący było – zaczął Bartek, wyraźnie zdenerwowany obecnością stróża prawa. – Ja naprawdę nie chciałem! Ta cała nerwowa atmosfera, te morderstwa, ja jeszcze do siebie nie doszedłem po wiadomości o śmierci Krystiana! Proszę mnie nie aresztować!

– A temu co? – zainteresowała się Anatola, która stanęła za plecami Iwony. W jednej ręce trzymała otwarty półlitrowy kartonik z mlekiem, które popijała z gwinta, w drugiej nóż.

– Miała ciocia przynieść, a nie pić!

– Tego nie powiedziałaś. A po co ci w ogóle mleko?

– Już po nic – burknęła Borkowska. – Nie desperuj, nikt cię tu nie będzie aresztował, panowie się boją wystawić nosa z ogródka – zwróciła się do Bartka.

– I słusznie – mruknęła z satysfakcją Anatola i oddaliła się do domu, wymachując figlarnie nożem w stronę ogródka z policjantami.

– Ciociu!

– Wczoraj mnie nie aresztowali, to myślisz, że dziś to zrobią? – prychnęła Anatola.

- Miałś mi opowiedzieć, co tu się wczoraj stało - przypomniała Magda. - Później. Już jest później? Bo bardzo bym chciała wiedzieć. Borkowska wzruszyła ramionami. Mogło być później, czemu nie.

Rozdział 11

Magda przyjęła rewelacje o sprawności bojowej sąsiadów w miarę spokojnie, skwitowała je tylko krótkim „aha”. Bartek za to sprawiał wrażenie człowieka rozdartego wewnątrz – jakby nie mógł się zdecydować, czy zostać na pełnej szaleńców ulicy Agregatowej, czy lepiej z niej uciekać, czy zostawiać Czoska, czy lepiej zabrać go ze sobą tam, gdzie są normalisi...

Decyzję ułatwiła mu Magda, która miała zlecenie w centrum i musiała lecieć na autobus. Radecki dżentelmeńsko rzucił się proponować, że ją odprowadzi na przystanek, bo też musi jechać, a tu jest taka okolica, że lepiej uważać... A Iwona poświadczy, że on jest porządnym człowiekiem, a nie żadnym mordercą. Iwona poświadczyła bez wahania, chociaż zaraz tego pożałowała, bo Bartek, również bez wahania, oddał jej smycz Czoska i pojemnik z gazem, a potem rączo pognał odgrywać eskortę, dżentelmena i cholera wie co jeszcze. Borkowska miała lekkie obawy, że spróbuje na jej sąsiadce wypróbować te nieszczęsne techniki podrywu, ale pocieszała się, że Magda jest za rozsądna, żeby dać złapać się na takie plewy.

Czosek wraz z Anatolą ulokowali się na kanapie w towarzystwie powtórek *Ojca Mateusza*. Iwona uznała, że detektyw w sutannie mniej zaszkodzi psu na psychikę niż harem sułtana, i zostawiła ich w spokoju. W ogóle nie miała nastroju do tak przyziemnych czynności jak gotowanie obiadu, więc uznała, że w aktualnych okolicznościach nie musi dawać z siebie stu procent i może po prostu zadzwonić po pizzę. Ciotka miała co prawda dziwne poglądy na temat tego, co powinno się na takiej pizzy znajdować, ale Iwona tylko wzruszyła ramionami i zamówiła jej ten wytwór kuchni fusion z tuńczykiem, ananasem i oliwkami, a dla siebie wzięła quattro formaggi, mając się wizją, że już jutro przeprosi się z Józkiem i spali kalorie z chociaż jednego kawałka.

I właśnie kiedy odbierała dostawę z pizzerii, zauważyła rzecz straszną.

– Ciociu! – ryknęła w stronę domu. – Policja sobie poszła!

Dostawca aż podskoczył.

– Jaka policja?

– Łapserdaki i bezkręgowce, a nie policja! – pomstował pan Machajko z za swojej furgonki. Miał jeszcze czerwone powieki i najwyraźniej wołał nie wychodzić na ulicę ze względu na swój stan zdrowia. – Zebrali się cichaczem, w ogóle nic nie chcieli powiedzieć!

Borkowska w głębi ducha w pełni rozumiała stróżów prawa – na ich miejscu też by starała się opuścić Agregatową bez interakcji z wąsaczem spod szóstki.

– Trzyma pani? – upewnił się dostawca, wciskając Iwonie pudełka z pizzą.

– Trzymam...

– Tosmacznegodowidzenia – wyrzucił z siebie jednym tchem i uciekł.

– Widzi pani! – wykrzyknął pan Machajko z za swojej furgonki. – Zero kręgosłupa!

– Przecież to chłopak z pizzerii, nie gliniarz! – odkrzyknęła Borkowska. – Co ma pana zdaniem zrobić? Rozwiązywać zagadki kryminalne przy okazji dostaw? Niech pan da ludziom normalnie pracować i się nie czepia o byle co!

– Faktycznie nikogo nie ma.

Iwona aż podskoczyła i niemal wypuściła pudełka. Anatola stała dziesięć centymetrów za jej plecami, na szczęście tym razem bez ostrych narzędzi w ręku. Za to z za jej nóg wyglądał pies, który najwyraźniej nabierał coraz więcej pewności siebie.

– Ciociu! Czy ciocia się musi tak skradać? O przestrzeni osobistej ciocia w ogóle słyszała?

– Strasznie nerwowa jesteś, Iwonko. – Anatola cmoknęła potępiająco. – Powinnaś nad tym panować, stres w domu udziela się zwierzętom, one są bardzo empatyczne. A Czołek potrzebuje spokoju, żeby dojść do siebie po tych strasznych przeżyciach. Czemu ty się na mnie tak patrzysz?

Do Borkowskiej, która robiła za skrzyżowanie karpika ze złotą rybką, otwierając i zamykając bezdźwięcznie wargi, dotarło, że właśnie zostały na ulicy same, bez policji w ogródku obok, same z krążącym wokół mordercą i same ze świadkiem!

– Niech ciocia natychmiast zabiera psa do domu – syknęła. – Już! Trzeba go pilnować, przecież teraz na ulicy nie ma glin, kto nas obroni? Przecież nie Machajko!

Anatola posłusznie podniosła Czoska i podążyła za Iwoną. Borkowska przeskoczyła przez wodne zasieki, gratulując sobie w duchu, że jeszcze ich nie zdemontowała. Kiedy ciotka i pies znaleźli się już bezpiecznie w domu, zamknęła drzwi na zasuwę i pospiesznie skontrolowała okna oraz drzwi do ogrodu, by się upewnić, że wszystko jest zabezpieczone. Na koniec wyłożyła na stół noże i gaz. Po chwili wahania wyciągnęła jeszcze dwie patelnie, średniej wielkości, poręczne i w sam raz do użycia w sposób brutalny. Wszystko to robiła szybko, sprawnie i w całkowitej ciszy.

– Iwonko, ty mnie trochę niepokoisz – powiedziała w końcu Anatola, siadając przy kuchennym stole. Psa położyła sobie na kolanach.

Borkowska wzięła głęboki oddech.

– Jak była okazja się czepiać Jana, to ten podkomisarz był wszędzie. Jak Celka im wyskoczyła w śledztwie, to za nią łąził po mieście. A teraz, jak mamy prawdziwe zwłoki za oknem...

– Nie mamy, zabrali... – poprawiła ciotka.

– Miałyśmy zwłoki za oknem, to przepraszam bardzo, policja jest gdzie? Sprawdza, gdzie Celina kupiła sznurki dla psa, czy kontroluje alibi jej faceta? Tak się bawić nie będziemy!

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Zacharczyka.

– Dzień dobry, tu Iwona Borkowska z Agregatowej. Tu w ogóle nie ma policjantów! Jak oni mogli sobie tak po prostu pojechać? Jak wy w ogóle prowadzicie śledztwo? Ja mam świadka w domu, pan rozumie? Czošek wszystko widział, to jest inteligentne zwierzę, a wy co? Zamiast ściągać jakiegoś trenera, żeby was nauczył, jak z nim rozmawiać, to zabieracie stąd obstawę? No wie pan co?! To w ogóle jest niewyobrażalne, jak można

być tak nieodpowiedzialnym! Celina miała rację. Och! Pan się mści za Celinę, prawda? Dała panu kosza, to pan teraz nie będzie rozwiązywał morderstwa obok mnie? Pan wie, co to jest? Ne-po-tyzm! Tylko taki na odwrót! Jestem zbulwersowana, ciotka też jest zbulwersowana i jak tak w ogóle można? Może i natarliśmy na państwa z widłami, ale trudno, praca z ludźmi jest do kitu! Wiem, co mówię, do leasingów przeszedłem z windykcji. A wie pan, jak jest w windykcji? Do dupy jest, to panu powiem! Ale czy ja się skarżyłam? Oczywiście, ale tylko prywatnie! W pracy robiłam swoje i mówię panu, nie doszłabym tu, gdzie jestem, gdyby nie dyscyplina i ćwiczenia oddechowe! Powinien pan spróbować. Czy pan w ogóle oddycha? Nie w ogóle, tylko prawidłowo? Niedotleniony mózg podejmuje złe decyzje i proszę bardzo, od razu widać! Zostałyśmy same, rozumie pan, same, zdane na łaskę zbrodniarza, moja starsza wiekiem ciotka, ten biedny pies i ja! I uprzedzam pana, my się nie damy zamordować! Jeśli policja nam nie pomoże, obronimy się same i już się panowie przekonali, że my, mieszkańcy Agregatowej, potrafimy wziąć sprawy w swoje ręce i jeśli wy nie potraktujecie sprawy poważnie, to my to zrobimy! Nie będzie nam tyle morderstwo bruździć lokalnie, nie chcecie znaleźć sprawcy, to sami to zrobimy...

– Nie było żadnego morderstwa! – wykrzyknął Zacharczyk, korzystając z tego, że Iwona w końcu musiała zrobić przerwę na prawidłowe wzięcie oddechu.

– ...bo sprawiedliwości... Jak to nie było żadnego morderstwa, co pan mi w ogóle mówi, byłam przecież przy tym! Nie przy morderstwie, ale zaraz potem! I Anatola też była!

Ciotka energicznie pokiwała głową.

– I Czosek był, pies znaczy. Bartek go nazwał Chosen One, to w ogóle nie jest imię dla psa, ale to jego zwierzę, więc niech je sobie nazywa jak chce, nawet jeśli to głupio brzmi. I pan Machajko, i inżynierostwo, i Agata Dąbrówka, i nawet pani Mołdawska! Wszyscy tam byliśmy i wszyscy widzieliśmy, to jest w ogóle idiotyzm i czy wy oczu nie macie? Oburzające, jak w ogóle tak można? O wykrywalność wam chodzi? Jak nie ma morderstwa, to wam statystyk nie psuje? To jest bardzo niskie, panie

podkomisarzu, niskie! Nie spodziewałam się, że okaże się pan człowiekiem, za którego pana Celina uważała! To znaczy owszem, spodziewałam się, że Celina ma rację, bo wie pan, ona zwykle ma rację, tylko jej prośbę tego nie powtarzać, ale sądziłam, że na jej ocenę wpływają wasze relacje prywatne... Brak tych relacji właściwie, ale pan wie, o co mi chodzi! Myślałam, że czysto służbowo to pan się potrafi zachować...

– Pani Iwono, zapewniam panią, że moje relacje, lub ich brak, z panią Nowacką nie mają absolutnie żadnego wpływu na to, że pan Pożałka nie został zamordowany – wpadł jej w słowo komisarz.

W tle rozległ się jakby zduszony śmiech.

– To nie jest zabawne! – oburzyła się Borkowska.

– Oczywiście, że nie, proszę wybaczyć koledze Witczakowi, praca z ludźmi mu szkodzi i wywołuje reakcje nerwowe – wyjaśnił gładko Zacharczyk, niemalże mruczając tym swoim aksamitnym głosem.

Iwonę aż zatchnęło. Próbował sobie z nią pogrywać w takiej chwili! Mruczeć do niej jak skrzyżowanie nocnej audycji radiowej z youtubowymi filmikami z ASMR! To była po prostu bezczelność, to było niegodne i co najważniejsze, to nie było coś, na co ona, Iwona Borkowska, mogłaby się nabrać!

– Nikomu nic nie będę wybaczać! A już tym bardziej pana koledze. Kto z kim przestaje, ten się takim staje, słyszał pan o tym? Więc pana kolega jest winny tak samo jak pan! I do tego jeszcze się śmieje ze świadków, to jest w ogóle oburzające, jak tak można postępować? Nie dość, że nas zostawiacie bezbronni, to jeszcze z nas drwicie? To jest niedopuszczalne, gdzie jest godność munduru?

– Pani Iwono, pani Iwono, proszę wziąć oddech – wciął jej się w przemowę ugodowo nastawiony podkomisarz. – Przyjedziemy i wszystko pani wyjaśnimy, co pani na to?

– Świetnie, byle jeszcze dziś – zarządziła Borkowska i rozłączyła się bez czekania na odpowiedź. – Słyszała ciocia? – prychnęła z oburzeniem do Anatoli.

– Nic nie słyszałam. No, ciebie słyszałam. Imponująca przepona, Iwonko, imponująca. Tego podkomisarza nie słyszałam, ale ile on

powiedział, dwa słowa?

– Więcej – warknęła Borkowska. – Powiedział, że nie było żadnego morderstwa. I że tu przyjedzie i wszystko nam wyjaśni.

– Zobaczmy – stwierdziła Anatola. – Mógł ci tak tylko powiedzieć, żebyś mu dała spokój. A potem sobie zapisać twój numer w telefonie z dopiskiem „nie odbierać”, tak jak ty go sobie zapisałaś...

– Zapisałam kontakt tak, jak Jan mi go wysłał – wyjaśniła niecierpliwie Iwona. – Zmienię zaraz... albo nie będę zmieniać, on jest denerwujący, należy mu się taki dopisek!

*

Dzwonek rozległ się, kiedy po pizzy nie zostały już nawet okruszki, ku widocznemu żalowi Czoska, który zajął swoje tradycyjne miejsce pod stołem i przybrał równie tradycyjny żaloszny wygląd. Anatola podkarmiła go smaczkami z insektów i imbiru, które podobno były zdrowe. Iwona starała się im zbyt dokładnie nie przyglądać, na wypadek gdyby wyglądały robaczywie i obrzydliwie.

Za to chętnie i od razu wyjrzała przez okno sprawdzić, kto przyszedł.

Przed furtką stali podkomisarz Zacharczyk i sierżant Królewski, obaj z przyjemnymi wyrazami twarzy, zupełnie jakby wpadali z towarzyską wizytą, a nie z powodu śledztwa.

– Nie otwieraj im jeszcze chwilę – zaproponowała Anatola, wyglądając zza jej ramienia.

– Czemu? Trzeba ich wpuścić, to przecież policja. Plus tak jakby sama ich zaprosiłam.

– Ale możesz za chwilę, zobacz, ładnie wyglądają, cicho są, nie zadają głupich pytań, wolę ich na odległość.

– Jak cioci skończą robić remont, to ciocia będzie ich miała na drugim końcu Wrocławia – przypomniała Iwona. – Chyba że ciocia zacznie częściej wpadać z wizytą. Bo, tak przy okazji, skoro temat wypłynął, to ja bym była za.

Ciotka uśmiechnęła się do niej, ale tylko na chwilę, bo zaraz wykrzywiła twarz, słysząc brzęczyk furtki.

- Zagadałaś mnie, żeby ich wpuścić – oburzyła się.

- Gdzie tam, zapraszałam ciocię na przyszłość. Niech ciocia nie robi takiej miny, popatrzy sobie ciocia na nich z bliska, zawsze może ciocia udawać, że ich nie słyszy...

- A wiesz, że to jest pomysł! – zapaliła się Anatola. – W moim wieku...

- W cioci wieku to harem można mieć – prychnęła Iwona. – Tylko niech ciocia zacznie udawać, że nie dosłysz, dopiero, jak powiedzą to, co najważniejsze! Chcę się dowiedzieć, o co chodzi z tym morderstwem, co go nie ma!

Otworzyła drzwi wejściowe.

- Dzień dobry, uwaga pod nogi – ostrzegła.

Podkomisarz i sierżant zamarli w progu, z niemal identycznymi wyrazami zaskoczenia na twarzach. Obaj lekko się pochylili, żeby przyjrzeć się naczyniom ustawionym w półkole za drzwiami.

- Są przerwy w dostawie wody? – spytał niepewnie Królewski.

- Co...? Oczywiście, że nie! To zasieki!

- Pani Iwono, muszę nalegać, żeby pani rozwinęła temat. – Podkomisarz zwinnie przekroczył pułapkę i podtrzymał sierżanta, który wykonał nerwowy i dość niezręczny sus, chyba z obawy, że z któregoś garnka z wodą wyskoczy Nessie albo Igopogo. – Dlaczego ma pani w przedpokoju takie... zasieki?

- A jakie inne, pana zdaniem, da się zrobić w środku domu bez konieczności montowania czegokolwiek albo niszczenia podłóg? – zainteresowała się Iwona.

- Jest to argument – zgodził się Zacharczyk. – Ale po co?

Obie, Borkowska i stojąca w drzwiach kuchni ciotka, zgodnie spojrzęły na niego z absolutnym politowaniem.

- Pan głupi jest? – zainteresowała się beczelnie Anatola.

- Dwie samotne kobiety w domu tuż obok miejsca zbrodni – przypomniała dramatycznie Iwona. – Do tego ze strauatyzowanym psem, który jest jedynym świadkiem! To chyba oczywiste, że musiałyśmy

podjąć kroki obronne! Co gdyby morderca próbował tu się wdrzeć w nocy?

Ciotka pokiwała energicznie głową.

– Uciekłyby na widok zwierzątek – wtrącił nietaktownie Królewiał. – Tych martwych. Bardzo przepraszam, ale gdybym sądził po domu, tobym obstawiał, że pani nie pracuje w banku, tylko jest morderczynią, taką seryjną. I każdy rozsądny jednorazowy zbrodniarz też by to obstawiał i zabierał się stąd w te pędy.

– Morderczynią? Seryjną? – Iwonę lekko zatchnęło. – Że niby ja?

– To właściwie komplement – oceniła Anatola. – Najwyraźniej panowie mają cię za taką, co nie tylko dałaby radę przez dłuższy czas utrzymać w tajemnicy podwójne życie, ale jeszcze to wszystko rozplanować. I innych straszyć. Uwierz mi, Iwonko, telewizja nie kłamie, planowanie zbrodni to jest zadanie wymagające naprawdę solidnej wiedzy.

– Wiem – westchnęła Borkowska i zaraz się opamiętała. – To znaczy, domyślałam się. Żeby mi panowie nie próbowali czegoś przyczepić! Wiem, bo też oglądam telewizję!

– Oczywiście, pani Iwono – zgodził się nieszczerze Zacharczyk. – Tak właśnie podejrzewałem.

Uśmiechnął się szeroko i fałszywie niczym rekin ze sztuczną szczęką. Borkowska z lekkim trudem zwalczyła w sobie dziecinną chęć pokazania mu języka.

– Pan się nie uśmiecha, pan się tłumaczy – zarządziła. – Może być po ludzku, siądziemy przy stole, ale ma mi pan wszystko wyjaśnić, a najbardziej to, że niby nie było morderstwa!

Zacharczyk posłusznie zajął krzesło, sierżant przysiadł obok, podejrzliwie patrząc na ustawione pod oknem szklanki.

– Pani podeszła do sprawy... kompleksowo – zauważył dyplomatycznie podkomisarz.

– Iwonka jest bardzo kompleksowa – zgodziła się Anatola. – Trochę przerażająca, ale bardzo... skuteczna.

– Ktoś musi, bo na siły porządkowe obywatele nie mają, jak widać, co liczyć – wypomniała Borkowska, odruchowo wyciągając filiżanki, by przygotować kawę. Z rozpędu wystawiła jeszcze na stół talerz z resztką rogalików, na widok których sierżantowi od razu zaświeciły się oczy. – Śmietanka czy mleko?

– Czarna – odpowiedział namiętnie Zacharczyk.

Iwona zaszczyliła go spojrzeniem z ukosa. Odpuściła sobie popukanie się w czoło.

– Dla mnie z mlekiem – dodał grzecznie Królewiaak. – Pani za nami nie przepada, a całkiem miło nas przyjmuje...

Obie, Borkowska i ciotka, jednocześnie lekko prychnęły.

– To jest przyzwyczajenie i wyrachowana taktyka – wyjaśniła mu uprzejmie Anatola. – Iwonka, jak może panowie zauważyli, jest perfekcyjną gospodynią, więc w tryb „gość w dom” wchodzi z automatu i o dowolnej porze.

Iwonka, której owszem, zdarzało się przyjmować gości w różnych sytuacjach, o różnych porach dnia i przy różnym stopniu przytomności, trzeźwości i sprawności fizycznej, pokiwała głową. W krew jej to weszło, mogła się albo z tego cieszyć, albo kląć na uwarunkowanie. Woląla uciechę.

– Poza tym powszechnie wiadomo, że osoba ugoszczona, nakarmiona i urobiona jest bardziej skłonna do przychyłnej konwersacji, a mniej do panicznej ucieczki – kontynuowała ciotka.

Sierżant aż podskoczył, oglądając się nerwowo za siebie. Słusznie, bo Borkowska ze swoim kubkiem stała w drzwiach kuchni i zagradzała wyjście własnym ciałem. Ciotka skorzystała z chwili nieuwagi i zręcznym ruchem wsadziła mu na kolana Czoska, czym skutecznie przykuła policjanta do miejsca i utrudniła mu odwrót.

– Drogie panie, wyrazy podziwu – przyznał Zacharczyk, najwyraźniej lekko oszołomiony ich zgraną akcją. – Ale my naprawdę nie zamierzamy uciekać, przyszliśmy w końcu z własnej woli...

– Wyrazy pan sobie może zatrzymać – zgasiła go bezlitośnie Iwona. – Chyba że będą się układać w zdania i wyjaśnienia. Może i sami

przysłiście, ale tylko dlatego, że do pana zadzwoniłam! I nie wypuszczę was stąd, póki się wszystkiego nie dowiemy. Dlaczego policji już nie ma w ogródku i co to znaczy, że nie było morderstwa? Jeśli Krystian nie został zamordowany, to co się niby stało z jego głową?

– Nieszczęśliwy wypadek – oznajmił podkomisarz tonem grobowym.

– Jak to nieszczęśliwy wypadek? Ja go widziałam! Niby co, meteoryt na niego spadł?

– Hantel.

– Hantel? – powtórzyła Iwona.

Zacharczyk pokiwał głową.

– Hantel wibracyjny, konkretniej rzecz ujmując. Stąd dodatkowe, dość nietypowe obrażenia.

– Pan sobie żartuje. Niby Krystian, fitnessiarz pełną gębą, upuścił sobie hantel na twarz tak nieszczęśliwie, że zrobił sobie z niej miazgę? Takiego miał pecha?

Sierżant odchrząknął znacząco.

– Właściwie to sam trochę temu pechowi pomógł – przyznał podkomisarz.

– Niby jak?

– Mówi paniom coś określenie fitnessowe wyzwanie cynamonowe? – spytał Zacharczyk, z namaszczaniem cedząc słowa.

– Że co? To jakaś dieta? – zaciekawiała się Anatola.

– Z pewnego punktu widzenia...

– To coś typu sto brzuszków w sto dni? – skojarzyła Iwona.

– Trochę tak, tylko w jeden dzień, do wrzucenia na socjale i z elementem spożywczym. Wyzwanie polegające na jedzeniu cynamonu łyżką przy jednoczesnym podnoszeniu ciężarków drugą ręką – wyjaśnił Zacharczyk.

Obie, Iwona i Anatola, zmarszczyły brwi, próbując to sobie wyobrazić.

– To głupie jest – stwierdziła w końcu młodsza Borkowska. Porzuciła posterunek w drzwiach i usiadła z kawą przy stole, jak człowiek.

- Nader - zgodził się Zacharczyk. - Zwłaszcza że cynamon, jako suchy proszek, powoduje zatkanie dróg oddechowych. Człowiek zaczyna się dusić, jak można zresztą zobaczyć na fascynująco dużej liczbie filmów na YouTube.

- Spędziliście popołudnie na researchu? - domyśliła się Iwona.

- Razem z naszym patologiem i technikami - potwierdził Zacharczyk. - Destrukcyjność ludzka bywa wręcz... fascynująca.

- Lepiej by to zabrzmiało, jakby pan tak namiętnie nie cedził ostatniego słowa - zauważyła Anatola.

Borkowska pokiwała głową.

- Tak, mniej seksu w głosie, gdy pan mówi o samowykańczaniu się ludzkości, i będzie cacy. Inaczej wpada pan w tony złooczyńcy z tanich filmów.

Gdyby sądzić po wyrazie twarzy, podkomisarz poczuł się urażony. Sierżant przygryzał ze wszystkich sił usta i próbował się nie śmiać. Słabo mu to wychodziło, bo trząśł się lekko, a razem z nim zdezorientowany, siedzący mu na kolanach Czosek.

- Cóż, każdy chce robić za krytyka. Pawle, kontynuuj, proszę. - Zacharczyk się obraził.

Królewiak wyprostował się, odchrząknął i przybrał urzędowy wyraz twarzy. Pies, ucieszony, że siedzisko mu się w końcu ustabilizowało, zrobił to samo.

- W toku czynności śledczych ustalono, że Krystian Pożałka podczas wykonywania wcześniej wymienionego wyzwania zaczął się dusić cynamonem i bardzo nieszczęśliwie upuścił sobie hantel wibrujący prosto na twarz.

- Idiota - wyrwało się Iwonie. - Nie mogę, jak można być tak głupim.

- Można, jak widać - stwierdziła surowo ciotka. - Dobrze, Iwonko, że z nim nie romansowałaś, szkoda cię na takiego matołka.

- To już dawno ustaliłyśmy - przypomniała Borkowska. - Żadnych trenerów podrywających biedne zwierzęta do zebrania o lajki w social mediach. Wątpliwa etyka nie jest seksi. Tak, wiem, że pan

sobie wyprasza. – Gestem uciszyła podkomisarza, który właśnie otwierał usta. – Ale sorry, ja tak uważam i jak pan dobrze wie, Celina się ze mną zgadza.

– Pan komisarz ma wątpliwą etykę? – zainteresowała się Anatola.

– Z Celiny najpierw zrobił podejrzaną, potem świadka, a potem próbował ją wyrwać – wyjaśniła Iwona.

Sierżant Królewski wykonał częściowy skłon, jakby znowu chciał walnąć czołem w stół, ale mu nie wyszło, bo na kolanach miał psa. Czosek, ucieszony bliskim kontaktem z ludzką fizjonomią, polizał go po brodzie.

– Ja nie wiem, co ludzie mają z tym waleniem łbami w blat. Może powinnam tam jakąś podkładkę dać... – zatroszczyła się Borkowska. – Szkoda mi stołu, to porządne drewno.

– Porządne drewno wytrzyma. Zresztą zobacz, pan się już nie będzie bił w głowę, pies go uratował – pocieszyła ją ciotka. – Ale do sedna wróćmy, do sedna. To pan podkomisarz nachodzi byłe podejrzanę w celach erotycznych?

– Jedną podejrzaną – skorygowała Iwona. – I tak tylko cioci przypomnę, że nie była podejrzaną w tym śledztwie, a do tego ma dwóch mężów jednocześnie. Mało cioci, że jednego zdradza z drugim, to chce jeszcze jednego chłopca w to równanie włączyć?

– Moje równanie, moja sprawa – stwierdziła beztrząsco Anatola. – I nie martw się, zmieści się tam jeszcze niejeden chłop. Nie każdy ma, jak ty, jeden plus jeden i wielka nieskończona miłość.

– Niech mi tu ciocia nie wyjeżdża teraz z moim małżeństwem – syknęła Borkowska. – Są ważniejsze sprawy. Krystian naprawdę zginął przez głupi wypadek przy kręceniu filmiku na Instagram?

– Obawiam się, że tak.

– I ten cały cyrk, ta szarża z widłami i to, że pan Machajko dwa razy dostał gazem po oczach, to wszystko przez chęć zdobycia lajków?

– Życie bywa boleśnie prozaiczne i absurdalne – westchnął sentencjonalnie Zacharczyk. – I chciałbym przy okazji zauważyć, że żaden

z kolegów nie użył przeciwko państwu gazu...

Borkowska przerwała mu niecierpliwym machnięciem ręki.

- A nie, nie, to wiem. Pan też już powinien widzieć, że takie rzeczy na tej ulicy załatwiamy sobie sami.

Rozdział 12

Po wygłoszeniu rewelacji na temat śmierci Krystiana policjanci szybko się zebrali. Iwona spakowała im rogaliki na drogę – z poczuciem, że poniekąd wyprawia ministypę na wynos. Idiotyczne, ale może całkiem na miejscu w tak idiotycznych okolicznościach.

– Co ciocia robi? – spytała Anatolę, która właśnie przed lustrem poprawiała welurowy dresik w odcieniu purpury.

– Biorę psa na spacer.

– Idzie ciocia szerzyć plotki! – zgorszyła się Borkowska.

– No oczywiście. Iwonko, miałyśmy miejsca w pierwszym rzędzie, trzeba się podzielić dobrem!

– I niby wybiera się ciocia plotkować w ramach robienia dobrego uczynku?

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Jak zwał, tak zwał, święty Piotr już sobie policzy. Nie rób takiej skwaszonej miny, ja pójdę się integrować lokalnie, a ty masz przyjaciółki do obdzwonienia. I tego smętnego młodego człowieka od Czoska, niech się dowie, jaką płytką niezdarę sobie wybrał na idola!

– Ciociu! – jęknęła Borkowska. – Ale faktycznie, trzeba mu o tym przypomnieć dla jego własnego dobra.

– No widzisz, to masz plan – ucieszyła się Anatola. – Baw się dobrze, my sobie z Czoseczkiem poradzimy.

Przypięła psu smycz i wyszli. Iwona wróciła do kuchni, żeby posprzątać. Przez okno widziała purpurową czuprynę Anatoli – niewysokiej ciotce tylko czubek głowy wystawał nad żywoplot – przemieszczającą się w stronę skrzyżowania z Nefrytową. Było już późne popołudnie, pora powrotów z pracy. Ciotka miała szansę na znaczną i bardzo zainteresowaną publiczność.

Ulicą przejechało czerwone auto – a w nim Laura, nowa sąsiadka spod siódemki, ta, dla której Zbyszek zostawił Magdę. Laura miała metr osiemdziesiąt wzrostu, lubiła nosić szpilki, mocny makijaż, a krótkie włosy farbowała na czarno i starannie mierzwiła za pomocą środków do stylizacji. Stanowiła całkowite przeciwieństwo Magdy, niewysokiej, szczupłej blondynki z delikatnymi rysami twarzy, które zwykle podkreślała tylko odrobiną makijażu.

Iwona zdusiła w sobie chęć zadzwonienia do ciotki albo chociaż wyjścia do ogródka i syknięcia do niej, żeby do Laury nie plotkowała. Niech się laska dowiaduje o niusach z drugiej, a może nawet i z trzeciej ręki. Jasne, głównym winowajcą, kryjącym zdradziecką, zgniłą duszę pod powierzchownością przeciętnego, średnio atrakcyjnego facecika, był Zbyszek Rybacki, ale... cóż, żeby się spiknąć na bezczelnego z mężem sąsiadki, trzeba było mieć tupet i szorujące brzuchem po podłodze zasady moralne.

Anatola, ku niejakej uldze Iwony, zupełnie zignorowała czerwone auto, za to zatrzymała się przy posesji numer jeden, pod którą właśnie inżynier i jego żona wysiadali z auta. Wyglądało na to, że ciotka może zacząć realizować swój plan.

Natomiast Iwona, skoro już było wiadomo, że nie doszło do morderstwa, mogła zadzwonić do Tadeusza i mu wszystko powiedzieć! No dobrze, może nie wszystko. Te całe pseudoromanse lepiej było spuścić w klozecie zapomnienia. Ale mogła opowiedzieć o szarży na radiowozy, zwłaszcza że sama brała w niej minimalny udział! I o śmierci Krystiana! Oraz o tymczasowym psim lokatorze, ba!, do wizyt Bartka też się mogła przyznać, Tadeusz go lubił i trochę żałował, że razem z Iwoną team Celina i Radecki wypadł z ich kręgów towarzyskich.

Wybrała numer.

– Cześć, kocie. Tęsknię za tobą – przywitał ją mąż.

Tadeusza ktoś powinien był nagrać i zachować próbkę jego głosu w bunkrze dla potomnych, żeby wiedzieli, jak brzmi ciepły baryton. Taki przyjemny, otulający dźwiękiem niczym kocem w zimny dzień,

rozgrzewający jak gorąca herbata z rumem, wywołujący rumieniec niczym płomień ogniska.

– A gdzie tam. Biegasz po lasach, taplasz się z chłopakami w błocie i jesteście szczęśliwi jak...

– Prosiaki?

– Knury – skorygowała. – Dziki, niech będzie dziki. Pasuje, żyją w lesie i ryją w ziemi, zupełnie jak wy na tych rajdach. I łążą po nocy bez sensu, tylko że bez czołówek.

– Możemy być dziki – zgodził się Tadeusz. – Maciek się parę dni nie golił, to nawet odpowiednio wygląda. I zgubił czołówkę, to już prawie jest jak dzik? A nawet knur!

– Straszne. I jak to znosisz?

– Nie patrzę na niego w ogóle – zapewnił ją konspiracyjnym szeptem mąż. – Jak podchodzi, to trzymam przed twarzą komórkę i udaję, że łapię zasięg, a tak naprawdę, to patrzę sobie na twoje zdjęcie, wiesz, to na tapecie, i myślę sobie, że jestem najszczęśliwszym facetem na świecie.

Iwona uśmiechnęła się szeroko, tak że aż ją policzki zabołały. Tadeusz miał w sobie coś takiego, że zawsze kilkoma słowami, kilkoma gestami sprawiał, że wszystko dokoła się układało, a ona sama zaczynała bujać w obłokach. Ponad dziesięć lat byli ze sobą, a to cudowne uczucie nie mijało.

– Też za tobą tęsknię.

– Miałem nadzieję, że ciotka dotrzyma ci towarzystwa, i ten tydzień szybko zleci. Ale im dłużej siedzę na tym campingu, tym bardziej sobie myślę, że to ja z nią powinienem w domu siedzieć, a ty byś sobie skoczyła do spa z Celką, jeśli oczywiście udałoby ci się ją oderwać od tego krwiożerczego księgowego. Aniołem jesteś, że zgodziłaś się zostać w domu, a ja jestem świnią, że na to przystałem.

– Ciotka jest spoko – powiedziała Iwona i uświadomiła sobie, że jest zupełnie szczerą. – Trochę na początku nam było dziwnie ze sobą, plus ona śpiewa pod prysznicem, wiesz, to znaczy śpiewała, przez dwa dni, póki się chyba sama nie zorientowała, co robi. I w kółko wyła to samo,

o tym że nie jest czyjąś koleżanką z wojska, tylko Wenus wyłaniającą się z fermentu.

Tadeusz roześmiał się prosto w słuchawkę. Iwone brakowało jego śmiechu.

– Żartujesz.

– Nie żartuję, zdążyłam się tekstu nauczyć i nawet guglałam, co to jest, bo myślałam, że to jakiś jej wytwór. Ale nie, była kiedyś taka piosenka, chyba w czasach przedinternetowych, bo na YouTube nie znalazłam.

– Jak ją poprosisz, to może ci znowu zaśpiewa.

– Anatola ma całkiem dużo zalet, ale śpiew do nich nie należy. I serio, rozumiem, że chcesz się powczuwać w nierogaciznę, tu dzik, tam świnia, ale nie musisz. Całkiem fajnie nam się poukładało mimo paru zgrzytów.

– Anioł, mówiłem. Nawet ciotkę do siebie przekonałaś.

Borkowskiej przeszło przez myśl, że nie tyle przekonały się z Anatolą do siebie, ile zbliżyły je dramatyczne wydarzenia, lecz szczęśliwie ugryzła się w język, zanim zdążyła to wyznać mężowi.

– Słuchaj, muszę ci powiedzieć coś innego.

– Tak nagle spoważniałaś, że się zaczynam martwić.

– Nie masz się co martwić, to nic... No inaczej, straszne to jest, ale mnie nic nie jest, ciotce nic nie jest, dom stoi.

– Kociak... – Po głosie Tadeusza poznała, że zaczął się martwić, a przecież już nie było czym i musiała mu to jak najszybciej powiedzieć!

– Serio, tu jest wszystko w porządku, to znaczy u nas. Nie masz się co martwić. Ale na ulicy było... zamieszanie. Krystian nie żyje, ten nasz nowy sąsiad spod piątki.

– Ten, co ćwiczy w ogródku? Gadałem z nim kilka razy o treningach, spoko gość był... Czekaj, jakie zamieszanie? Takie jak zamieszki? Dlatego on nie żyje?

– Nie! Nie, żadnych zamieszek nie było, to znaczy były, ale to potem, jak zaatakowaliśmy policję. Krystian już wtedy nie żył, tylko nie wiedzieliśmy, że to nie morderstwo. A okazało się, że przy ćwiczeniach miał wypadek. Policja mówi, że sobie upuścił hantel na głowę.

– Co?

– To jest bardzo głupia historia – przyznała Iwona.

Tadeusz westchnął.

– Kocie... to jest historia, którą mi zaraz opowiesz. Od początku. O Krystianie i o zamieszkach.

Borkowska wzięła głęboki wdech, a potem uczciwie i porządnie prawie wszystko zrelacjonowała. Oczywiście pominęła całe nieszczęsne zamieszanie z romansiem i rewelacje Anatoli na temat rodziców Tadeusza i pochodzenia trupiego zoo zajmującego większość ścian. Choć oczywiście tych dwóch ostatnich tematów nie zamierzała porzucać na zawsze – tylko na parę dni. Pewne sprawy lepiej było omawiać osobiście, zwłaszcza jeśli dotyczyły potencjalnych remontów.

– ...i teraz ciotka wzięła psa i poszła plotkować, a ja zaraz będę wszystkich obdzwaniać i tłumaczyć, że alarm odwołany.

– Iwonko, czemu do mnie wczoraj nie dzwoniłaś?

– Bobyś się tylko martwił – stwierdziła Borkowska. – Kotek, jesteś na drugim końcu Polski, na jakimś zadupiu, zasięgu co chwilę nie ma, tylko byś się stresował telefonem. A my sobie z ciotką świetnie dałyśmy radę. Pełno policji na ulicy, straż sąsiedzka się uformowała, psa jeszcze miałyśmy, było spoko... – zapewniła go, jednocześnie notując w myślach, że ma zaraz zdemontować zasięki oraz uczulić Anatolę i Celinę, że mają nic o tym nie wspominać. I Bartka też... Czemu jej się tyle osób po domu pętało? Przynajmniej policji nie musiała zobowiązywać do zachowania tajemnicy.

– Ale ja się chcę o ciebie martwić! – wypalił Tadeusz. – Kociaku, na tym to polega. Kocham cię, troszczę się o ciebie, chcę wiedzieć, kiedy coś jest nie tak.

– Kocham cię, troszczę się o ciebie, nie chcę, żebyś się zamartwiał bez sensu – odparowała Iwona.

– Możemy na przyszłość ustalić, że zwłoki w okolicy to jest powód do zamartwiania się? Nieważne, czy zamordowane, czy nie.

– No dobra, możemy pójść na taki kompromis.

- Świetnie – ucieszył się Tadeusz. – To jutro wracam.

- Co? Miałaś zostać do niedzieli!

- Miałyście być z ciotką bezpieczne i znudzone. Może nawet trochę poirytowane swoim towarzystwem.

- Bezpieczne jesteśmy!

- Ale z nudą trochę nie wyszło. Iwonko, to w ogóle nie podlega dyskusji. Jakby faktycznie nam sąsiada zamordowano, wracałbym jeszcze dziś, ale skoro sytuacja jest z grubsza opanowana i nie taka groźna, to się wyśpię i wyjedziemy jutro z samego rana. Albo chłopaki zabiorą się z kimś innym...

- Ale wasz wyjazd! Rajd!

- Chrzanić rajd. Idę się pakować, buziaczki, do jutra!

Borkowska nie wiedziała, czy się wzruszać, że Tadeusz bez wahania podjął decyzję o powrocie, czy irytować, że w ogóle nie przyjął do wiadomości, że one sobie tu z Anatolą doskonale dają radę! Podeszła do sprawy praktycznie i żeby dać upust targającym nią sprzecznościom, zajęła się czymś pożytecznym: podlewaniem ogródka wodą z garnkowych zasieków. Miała jej tyle, że podlała też obficie krzaki na granicy działki Krystiana, żeby na pewno urosły jak największe i zasłoniły jej widok do tego cholernego ogródka.

Umęczyła się przy tym zajęciu niemal tak, jak na fitnessie z trenerem Józkiem, lecz przynajmniej usunęła ślady szaleństwa. Anatoli dalej nie było, zapewne krążyła po ulicy i robiła za celebrytkę, więc Borkowska skorzystała z okazji, żeby na spokojnie obdzwonić przyjaciółki. Uznała, że Celina ma pierwszeństwo – w końcu znały się dłużej i Nowacka pojawiła się osobiście na miejscu, jak się okazało, niebrodni. Było zresztą całkiem możliwe, że planowała znowu przyjechać, żeby własną wkurzoną pierśią obronić przyjaciółkę przed policją.

- Wszystko w porządku? – spytała od razu, gdy tylko odebrała telefon, co potwierdziło obawy Borkowskiej.

- Dobra wiadomość numer jeden: nie było morderstwa! – powiedziała od razu Iwona.

– Jak to nie było?

– Nie było, sam sobie zaszкодził hantlem w głowę – wyjaśniła pospiesznie Borkowska. – Co jest oczywiście tragiczne i kompletnie idiotyczne, ale on, rozumiesz, był trenerem nie tylko fitnessu, lecz jeszcze podrywania, więc no cóż, czego się było spodziewać...

– Że mu jakaś rozsądna laska przyłoży tym hantlem? – podsunęła nieco oszołomiona Celka.

– Owszem, ale wiesz, może akurat żadnej nie było. W każdym razie to nie morderstwo, tylko wypadek, ten śliczny wkurzający przyjechał się osobiście tłumaczyć.

– Iwona...

– Patrzeć mogę! A on faktycznie przystojny jak sam diabeł i głos ma piękny, szkoda tylko, że tokuje jak potłuczony bażant czy inne coś. O właśnie! Miałam bażanta z toalety eksmitować, bo Anatoli szkodzi.

– Wszystkim szkodzi – mruknęła Celina. – Ale cudownie, że w końcu do tego dojrzałaś. Wychodzi na to, że z ciotki jest jakiś pożytek.

– Ciotka jest spoko. Trochę peszek, że aż sąsiad musiał zejść z tego świata, żebym to zauważyła, ale trudno, darowanym zgonom nie zagląda się w zęby. Nie mam sąsiada, mam lepsze układy z ciotką, chwilowo nadal mam na przechowaniu psa twojego byłego...

– Zadzwońię do niego i go ochrzanię!

– Nie musisz! Już sobie z nim wszystko ustaliłam, odbierze Czoska w niedzielę, jak się tylko przeprowadzi. Nie dzwoń do niego w ogóle, on to źle zniesie.

– No wiesz co... – zaczęła Celina.

– Wiem! Wiem co! – wpadła jej w słowo Iwona. – Jestem po twojej stronie na pełny etat przecież, ale mogę też być trochę człowiekiem. Czasem. Okazyjnie. Rzecz w tym, że on ledwo równowagę odzyskał, kolegę mu zamordowali... No, nie zamordowali, sam się zamordował, ale rozumiesz, szok, teraz jeszcze ma na głowie przeprowadzkę, żeby móc zabrać psa... Celina, to nie jest ten moment, żeby mu była dzwoniła i przemawiała do rozumu. Właściwie, to żaden moment nie jest dobry, bo

wiesz, „była”, czas przeszły. Nie kolegujcie się, nie utrzymujecie kontaktów i niech tak zostanie.

– Dobra, dobra, przecież nie zamierzałam mu kazania przez telefon prawić!

– Nie, tylko byś mu wyłożyła, jak ma w dziesięciu krokach naprawić swoje życie – prychnęła Borkowska. Znały się od podstawówki, wiedziała, czego się po przyjaciółce spodziewać. – Ale mniej o twoim byłym, omawiamy moje życie.

– Omawiamy – zgodziła się Celka. – A co w twoim życiu poza tym, że jest wolne od morderstw w okolicy?

– Wszystko dobrze – stwierdziła z lekkim zdziwieniem i ogromną dozą zadowolenia Iwona. – Ciotka poszła z psem na plotki, Tadeuszowi wszystko właśnie opowiedziałam i wyobraź sobie, on jutro nie pójdzie na rajd, tylko wraca!

Celina tak wywróciła oczami, że dało się to niemal usłyszeć w telefonie.

– Też mi niespodzianka. Spróbowałby nie, po tym, jak szlachetnie zrezygnowałaś ze spa, żeby siedzieć z jego ciotką. Poza tym, czemu ma robić za prawdziwego mężczyznę i jaskiniowca w Bieszczadach, skoro we Wrocławiu niewiasty zostały bez opieki, i to jeszcze w obliczu zbrodni!

– Zbrodni nie było – poprawiła Iwona.

– Opieki też nie potrzebujecie – przypomniała Celina. – A skoro o potrzebach mowa, coś ci porzucić?

– Nie, dla psa wszystko mamy, lodówka i spiżarnia pełne. Nawet mam golonkę, zamarynuję i upiekę na jutro! Będzie jak znalazł dla jaskiniowca!

Celka parsknęła śmiechem.

– Na pewno. I wiesz co: bardzo się cieszę, że nie masz zbrodni w sąsiedztwie i w życiorysie.

– Ja też! – Iwonie coś zapikało w słuchawce. – Czeka, Matylda mi się tu dobija równolegle...

– Odbierz ją, bo jeszcze ci się zwali na chatę z ciastem i winem w ramach wsparcia psychicznego.

- Mam ciasto i wino, nie musi przywozić - mruknęła Borkowska, zakończyła jedno połączenie i odebrała drugie.

- Już wszystko wiem! - oznajmiła bezczelnie Matylda, pozbawiając Iwonę szansy na światło reflektorów i pierwszy plan. - Areczek mi opowiedział! Wiesz, on jest kryminalistą... nie, czekaj, na odwrót, kryminalistyką? W policji pracuje. I tam aż huczy od tej sprawy, ty wiesz, że on to nagrywał? Nie Areczek, oczywiście, ten twój sąsiad. Kręcił to głupie wyzwanie i wszystko się nagrało, wszystko! Podobno to dobrze dla kryminalistyki, bo to zawsze ślady na żywo i można potem analizować, ale tak naprawdę potem, bo najpierw to nikt nie miał głowy do analizy, w ogóle nie wierzyli, że można być tak głupim i mieć takiego pecha. I jeszcze ten hantel wibrował, czaisz? Ja nie do końca, ale Areczek był niesamowicie zdegustowany, bo te wibracje ich zmyliły...

Borkowska nie była pewna, co ją bardziej zdegustowało, wytrącenie pałeczki z ręki czy niedyskrecje dochodzącego kochanka Mati.

- Areczek ci tak wszystko opowiada? - spytała, nie kryjąc potępienia.

- On nie wie, że to obok twojego ogródka. To znaczy wie, ale nie wie, że ja bywam w twoim ogródku, znam ciebie i jestem na bieżąco. Inaczej by w ogóle mi nic nie nadawał o tych tępych narzędziach...

- Tłuczek! - wykrzyknęła Iwona. - Nie oddali mi tłuczka!

- Kto?

- Policja! Zabrali jako niby tępe narzędzie, a teraz powinni oddać! Jeśli nie oddali, to jest kradzież! Policja nie powinna kraść!

- Może chcieli cię rozbroić... Wiesz, na wszelki wypadek.

- Chrzanię wszelki wypadek, chcę z powrotem mój tłuczek!

- A jak go badali kryminalistycznie? Nie używaj potem takich rzeczy do żywności, to niehigieniczne!

- Jak badali? Wrzucę na dwa cykle do zmywarki, wszystko zmyje!

- No, widziałam taki program... Zresztą, nieważne. Dzwon do nich, niech oddadzą, mięsa u ciebie nie będą jadła. I zadzwon do Tadeusza!

- Już dzwoniłam. - Iwona była pełna satysfakcji. - Wszystko mu opowiedziałam, właśnie się pakuje i jutro wraca z Bieszczad. I wyobraż

sobie, zrobię jutro na obiadokolację mięso i on je będzie jadł, bo nie jest taki wybredny jak ty.

– Tadzio wraca? – spytała stojąca w drzwiach Anatola. – Po co?

– Muszę kończyć. – Iwona się rozłączyła i odwróciła do ciotki.

Starsza pani w asyście Czoska weszła do kuchni. Pies od razu zajął swoje stałe miejsce pod stołem i szturchnął Iwonę nosem w nogę. Borkowska zajrzała do niego, niepewna, o co chodzi.

– Jeść chce – przetłumaczyła Anatola. – Dlaczego Tadzio wcześniej wraca? Miał być w niedzielę.

– Rozmawialiśmy i wszystko mu powiedziałam. Że to nie było morderstwo też, ale się przejął i skraca pobyt.

Anatola prychnęła.

– I co niby to zmieni? Sąsiad nie żyje, sprawa rozwiązana, no, z psem może wyjść...

Ponieważ Czosek miał z nimi zostać jeszcze dwa dni, nie byłoby od rzeczy mieć jeszcze jednego wyprowadzającego, zwłaszcza że ciotka pewnie zamiast to biedne zwierzę prowadzić tam, gdzie są trawniki, dryfowała tam, gdzie byli ludzie. I plotki. Dużo plotek. W tym może o tym nieszczęsnym nieistniejącym romansie...

– Może lepiej nie... – powiedziała Iwona. – Wiesz, pies się przyzwyczaja, a zaraz go Bartek zabierze. Niech on lepiej przyjeżdża i z nim wychodzi.

– Może i masz rację. I jeszcze ta twoja sąsiadka by się ucieszyła.

– Sąsiadka? Która? – Iwonie do głowy przychodziła tylko Agata, może raźniej by jej było, jakby ktoś jeszcze z nią chodził na spacer z psem.

– Ta z boku, od tego męża, co się wyprowadził do drugiej sąsiadki. Wyobraź sobie, że ona mnie o niego pytała!

– O swojego męża?

– Nie, o tego twojego nerwowego kolegę. Powiedziałam, że go nie znam, ale to były narzeczony twojej przyjaciółki. Jakby był świnia, tobyś go za próg nie wpuściła ani psa mu nie oddała.

Borkowska musiała jej przyznać rację. Zdecydowanie osób antypatycznych w domu nie przyjmowała. Z takim Krystianem, na przykład, gadała tylko przez płot.

Rozdział 13

Jak na kogoś, kto lubił kosztować owoców pracy bez wysilania się przy garach, Anatola w sobotę zaglądała do kuchni wręcz za często. Iwone to nie przeszkadzało – umiała w multitasking, mogła jednocześnie przyrządzać ucztę dla wracającego do domu jaskiniowca, konwersować z ciotką, słuchać audiobooka, podkarmiać psa i jeszcze robić się na bóstwo. Humor miała wyśmienity – może nawet trochę za dobry, jeśli wziąć pod uwagę, że dwa dni wcześniej w ogródku obok zakończył życie człowiek – ale nie zamierzała się celowo przygnębiać tylko po to, żeby być poprawną politycznie.

Cała akcja z pseudoromansem się wyjaśniła, Anatola była znośna, Magda znowu rozmawiała z Iwoną, a Tadeusz porzucił rajd i wracał w te pędy do domu, żeby trzymać żonę za rękę w tych wstrząsających momentach. Iwona co prawda w ogóle tego trzymania za rękę nie potrzebowała, ale ciepło jej się na sercu robiło na myśl, że jej mąż prawidłowo poustawiane ma priorytety i to ona jest na ich czele.

Gdzieś koło południa wpadł Bartek – zapewnił, że dopina przeprowadzkę, i zabrał Czoska na spacer, chociaż, jak zaraportowała stacjonująca przy oknie Anatola, większość tego spaceru spędził przy furtce numeru drugiego na rozmowie z Magdą.

– Zobaczysz, przeprowadzka mu się o tydzień odwlecze, jak nic – zawyrokowała ciotka. – Żeby miał powód tu przyjeżdżać. Albo będzie psa tu na spacer włókł, że niby na znajome śmieci...

– To przynajmniej ciocia będzie się mogła z nim na te spacerki wybierać – podsunęła pogodnie Iwona.

Anatola trochę straciła humor.

– Mnie już mają remont skończyć. Na początku przyszłego tygodnia będę mogła do mieszkania wrócić...

– Nie mogą cioci tym razem wanny przypadkiem rozwalić?

– Skończ, Iwonko, może z tą trzecią osobą – zaproponowała Anatola. – Ja nie Beata Tyszkiewicz w *Tańcu z Gwiazdami*, żeby mnie jak hrabiankę traktować... Tykaj mnie jak normalnego człowieka.

Iwonę oszołomiła trochę wizja najpierw ciotki tańczącej w charakterze gwiazdy – zapewne w purpurowej sukni do *Purple Rain* – a potem w roli normalnego człowieka, ale jakoś się z tego otrząsnęła.

– Dobrze, będę tykać... O czym to ja... O wannie! Po co masz iść w jakieś zniszczenia, po prostu wpadaj z wizytą, nawet taką dłuższą. Możesz się z Bartkiem umawiać na widzenia z psem.

Taka możliwość wyraźnie zafrapowała Anatolę, do tego stopnia, że kiedy Radecki wrócił z mocno stacjonarnego spaceru, zaatakowała go, domagając się prawa odwiedzin u Czoska i numeru telefonu jego pana. Dostała wszystko bez dyskusji, bo Bartek ciągle się jej trochę bał. Miał dobre instynkty, aż dziw, że mu przy Krystianie nie zadziałały... Borkowska zrzuciła to na karb ciężkich przeżyć typu „moja partnerka mnie rzuciła i pół miasta mówi, że zostawiła mnie dla gościa podejrzanego o morderstwo”.

A skoro o podejrzanym mowa... Przyjechali oboje, Celina i Jan, zaraz po szesnastej, krótko przed spodziewanym powrotem Tadeusza. Celka miała wyraźnie skwaszoną minę, za to Zbenda prezentował pogodę ducha. Przywitał się uprzejmie z Anatolą, pogłaskał psa i dał się poczęstować pasztecikiem serowym.

Nowacka uśmiechnęła się do ciotki, Czoskowi podała ciasteczko z torebki, a Iwonie podsunęła torbę o dziwnym kształcie.

– Co to?

– Matylda dzwoniła, że nie masz tłuczka do mięsa i jeśli ci go nie przywieziemy, to nakarmisz Tadeusza narzędziem zanieczyszczonym. Czy jakoś tak. Oglądała program w telewizji i potem miała koszmary o bakteriach. Wolałam nie pytać. Sama by ci się pewnie zwała na głowę ze sprzętem kuchennym, ale na szczęście ma dziś warsztaty, więc zadzwoniła do mnie, narobiła zamieszania i oto jestem. Ty mi każesz nosić kapok, to noszę, Mati chce, żebym dostarczała tłuczki, dostarczam. Nie wdaję się w dyskusje, bo jestem na przegranej pozycji.

- Twoja przegrana pozycja właśnie czaruje ciotkę Tadeusza – syknęła Iwona.

- A ona bez kapoka – westchnęła teatralnie i nieszczercze Celina. – Mogę jej pożyczyć, mam w bagażniku.

Borkowska pokazała jej język. Przyjaciółka w ogóle się nie przejęła, zwinęła z blachy stygnącego pasztecika i zajęła się wyrwaniem swojego partnera ze szponów Anatoli, która nie chciała go ze szponów wypuścić, co było całkiem zrozumiałe.

Jan Zbenda był nader przystojnym potencjalnym mordercą. Iwona właściwie już się do tej niepewności kryminalnej przyzwyczaiła. Być może najpierw sama pchała przyjaciółkę w ramiona mężczyzny idealnego dla niej. Być może potem zaczęła reagować trochę histerycznie, ale dzięki temu Celina znacząco wsparła przemysł produkcji kapoków. Aktualnie... aktualnie nawet się nie zastanawiała, czy Jan faktycznie był niewinny, czy może mu się upiekło. Liczyło się właściwie tylko zdanie Celki, a ona ostatnio bardziej irytował się tym, że Jan mógłby jej nie powiedzieć prawdy na temat tego, czy zabił, czy nie, a nie kwestią tego, że jej ukochany może być mordercą.

Borkowska trochę to rozumiała. Nikt nie był w końcu aż tak idealny, więc niech i Jan będzie tylko w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Do tego naprawdę łatwo było zapomnieć, że Nowacka i Zbenda są ze sobą ledwo cztery miesiące. Jakby w ogóle pominęli fazę osuwania się ze sobą i z marszu weszli w etap zgranego związku.

Od obserwowania, jak Celina bardzo mało subtelnie uwiesza się na ramieniu Jana i grzecznie dokonuje niemalże chirurgicznej ekstrakcji, oderwał ją dzwonek telefonu.

- Dojeżdżasz? – spytała. Z poprzedniej rozmowy z Tadeuszem wynikało, że powinien być już całkiem blisko Wrocławia.

- Iwona... – rozległ się w słuchawce głos Maćka, kolegi jej męża. Brzmiał tak, że Borkowskiej niemal od razu serce podeszło do gardła.

- Co się stało? Dlaczego ty do mnie dzwonisz?

- Iwona, wypadek mieliśmy. Trochę nas stuknęło, karetka przyjechała.

- Co z Tadkiem?! – ryknęła Iwona.

Wszyscy, Anatola, Celina, Jan, nawet Czosek, odwrócili się w jej stronę i patrzyli, czekali, tak samo jak ona czekała, aż Maciek się w końcu odezwie, aż coś powie...

– Czeka na prześwietlenie. Sprawdzają, co z nim, na jego stronę poszło uderzenie...

– Gdzie jesteście?

– W szpitalu.

– To wiem, gdzie ten szpital?

– W Oławie.

Rozłączyła się, a może telefon jej po prostu wypadł z rąk. W uszach jej szumiało, a wszystko wokół nagle stało się ostrzejsze, wyraźniejsze, jaskrawsze...

– Iwona!

Spojrzała na Celinę. Przyjaciółka stała tuż przed nią i ścisnęła jej obie dłonie, bardzo mocno. Na tyle mocno, że szum minął, a kolory wróciły do normy.

– Tadeusz miał wypadek – jęknęła Borkowska. – Samochodowy, na autostradzie...

– Żyje?

– Żyje, jest poobijany, zabrali go do szpitala w Oławie...

– Jedziemy – zarządziła Celka. – Psa weźmiemy ze sobą albo podrzucimy po drodze Matyldzie, albo Janek go weźmie...

– Ja zostanę w domu – zdecydowała Anatola. – Pies ze mną. Zadzwoń tylko do mnie, Iwonko, jak już będziesz na miejscu. Z kamerką, żebym go sobie obejrzała, że cały jest. Tu się nic nie martw, wszystko ogarnę. Przywieziesz Tadzia do domu akurat na golonkę.

Nowacka wypuściła dłonie Iwony.

– Kluczyki masz tam, gdzie zawsze? – Nie czekając na potwierdzenie, sięgnęła po torebkę przyjaciółki. – Ja prowadzę...

– Ja będę prowadził – zarządził zdecydowanie Jan, wyjmując Celinie kluczyki z ręki i odkładając je na blat. – Pojedziemy moim samochodem.

Ty siadaj z tyłu z Iwoną, będzie wam się łatwiej trzymać za ręce. – Uśmiechnął się ciepło, chociaż trochę kpiąco.

Celka zmrużyła oczy z irytacją, ale nic nie powiedziała. Zabrała torebkę Iwony, a samą Borkowską wzięła pod rękę i niczym kukiełkę wyprowadziła z domu i do skody Jana. Popchnęła ją delikatnie ku tylnemu siedzeniu, sama obesła auto i wsiadła od drugiej strony. Gdy tylko zamknęły drzwi i zapięły pasy, a Jan odpalił silnik, złapała Iwonę za rękę, ścisnęła mocno i nie puściła przez następne czterdzieści minut.

Żadne z nich się nie odzywało.

*

Szpitalny Oddział Ratunkowy był pusty, tylko za szybą rejestracji siedziała jedna, samotna pielęgniarka w bladzielonym fartuchu. Iwona dopadła jej niczym zbawienia. Celina szła o krok za nią, Jan wysadził je przed wejściem i zajął się parkowaniem.

– Dzień dobry, przywieziono tu mojego męża, nazwisko Borkowski Tadeusz...

Pielęgniarka, wcześniej wręcz ospała, wyraźnie się ożywiła.

– Pani Angelika – ucieszyła się. – Dobrze, że pani jest, ale proszę się nie martwić, mężowi nic nie jest. Prawie nic, poobijał się trochę i najadł strachu, i oczywiście już żegnał się z tym światem, wie pani, jak to mężczyzna. Ale parę dni i dojdzie do siebie, a pani to już się nim zaopiekuje! Wie pani, różne rzeczy chłopcy tu gadają, jak desperują, ale o pani mężu to już wszyscy słyszeli! Już w karetce tylko „Angelika, Angelika, żeby tylko jeszcze zobaczył Angelikę, nie mogę umrzeć bez Angeliki”, słodycz sama, aż pani trochę zazdroścę, żeby mój tak mnie jeszcze kochał...

Iwona przestała rozumieć poszczególne słowa. W uszach znowu miała szum, w oczy raziło ją ostre, białe światło, odbijające się od ścian w naprawdę okropnym, bladoniebieskim kolorze. Zapach szpitala stawał się nieznośny. Stojąca obok Celka złapała ją za rękę i ścisnęła mocno.

– Przepraszam, ale zaszła chyba jakaś pomyłka. Nazywam się Iwona – zaakcentowała mocno imię – Borkowska i przyjechałam do męża.

Tadeusza Borkowskiego. Przywieziono go tu ze stłuczki. Może chodzi pani o innego pacjenta...

Pielęgniarka zbladła i zaraz zaczęła przytakiwać. Tak, zaszła pomyłka, tyle się dzieje, taki rwetes, tyle się dzieje, sama pani widzi.

Iwona nie widziała. Ani rwetesu, ani tego, co się dzieje. Tylko pusty korytarz, puste krzesła w poczekalni, puste tak samo, jak jej głowa, w której kołatała się jedna, jedyna myśl, że to na pewno nie była pomyłka.

– To którą do pana Borkowskiego? – wtrąciła się Celina.

– Korytarzem w lewo, druga sala, tylko proszę pukać...

– Tak, pukać koniecznie – powiedziała wesoło podchodząca do rejestracji lekarka. W ogóle nie zwróciła uwagi na coraz bledszą Iwonę, na Celkę, która chyba w tej chwili mogła zabijać wzrokiem, ani na pielęgniarkę, która całą sobą, a już zwłaszcza wyrazem twarzy, starała się zakomunikować, że to jest dobry moment na to, żeby się zamknąć.

– Przyjechała ta Angelika do niego – mówiła dalej radośnie lekarka. – Żałuj, że w rentgenie akurat byłaś, jak przyszła. Ten jej mąż rozpromienił się jak słoneczko...

Świat się skończył.

Ziemia dalej się kręciła, sekundy upływały, wskazówki na zegarze nad rejestracją się przesuwaly, a palce Celiny, ściskające dłoń Iwony, bardziej przypominały szpony.

– Druga sala po lewej – powiedział ktoś dziwnie głuchym głosem. Do Borkowskiej dotarło, że to była ona sama.

– Tak... – Lekarka dopiero teraz zwróciła na nią uwagę. – A pani to...?

– Iwona Borkowska, żona – powiedziała Iwona najbardziej beznamiętnym tonem, na jaki ją było stać.

Oczy lekarki zrobiły się wielkie jak spodki. Pielęgniarka w rejestracji sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, czy woli schować się pod biurko, czy wręcz przeciwnie, wybiec z rejestracji, żeby zająć miejsce w pierwszym rzędzie.

Iwona wyrwała dłoń z coraz mocniejszego i boleśniejszego uścisku Celki. Zostawiła przyjaciółkę razem ze zszokowanymi medyczkami,

a sama poszła korytarzem w lewo, do drugiej sali.

Na krześle pod ścianą siedział Maciek. Na widok Borkowskiej poderwał się i gdyby Iwona miała jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że świat się nieodwołalnie, naprawdę skończył, to wystarczyłby jeden rzut oka na przerażenie wypisane na twarzy Macieja.

– Iwona...

Nic nie powiedziała, patrzyła tylko na niego.

– Iwona, sorry, no kurde, Piotrek się przejął i uparł się, że do niej zadzwoni, próbowaliśmy mu to wybić z głowy, po co takie rzeczy rozdrapywać. Ale Tadekiem byłem zajęty, a Piotrek na rentgenie jeszcze czeka i zadzwonił, jak nie patrzyłem! To w ogóle nie tak, jak myślisz. Tadek był w szoku, pomieszało mu się, dlatego tak ją wołał, ale to naprawdę nie tak, Iwona, ja go znam, naprawdę to nie tak jak myślisz, Iwona, jemu się tylko pomieszało. Wypadek mieliśmy, to szok jest, człowiek się boi, głupoty gada, też bym może i wołał moją byłą...

– A wołałeś?

– Co?

– Wołałeś swoją byłą?

– Nieee... – Maciek się zawahał. – W ogóle nie wołałem, myślałem tylko, żebyśmy, kurde, wyszli z tego cało i żebym dojechał do domu, do Kingi i dziewczynek...

Iwona pokiwała głową.

– To jedź – powiedziała. – Pewnie czekają.

– Dzwoniłem, że wszystko ze mną okej. Iwona...

Zrobił gest, jakby chciał ją zatrzymać, jakby chciał jej powiedzieć, żeby tam w ogóle nie wchodziła. Zignorowała go i pchnęła białe drzwi.

W sali znajdowały się cztery łóżka, ale tylko jedno zajęte, przez Tadeusza. A obok niego stała najpiękniejsza kobieta, jaką Iwona w życiu widziała. Angelika, jeśli to faktycznie była ona, przypominała boginię. Miała figurę klepsydry, jasne włosy opadające na ramiona taką burzą fal, że w innych okolicznościach Iwona pewnie by ją błagała o namiary na fryzjera, i twarz jak Marilyn Monroe, włącznie z seksownym pieprzykiem.

Miała na sobie czarne obcisłe dżinsy i skórzaną kurtkę. Iwona, w swojej kremowej koszuli i luźnych, niebieskich spodniach, nagle poczuła się taka boleśnie zwyczajna, codzienna, przedpołudniowa. Rzekoma Angelika natomiast była odmianą, świętem, gwiazdą wieczoru. Borkowska z łatwością mogła ją sobie wyobrazić zrobioną na jeszcze większe bóstwo, na czerwonym dywanie, lśniącą i triumfującą.

I najwyraźniej Tadeusza kiedyś coś łączyło z tą boginką, o której Iwona, od dwunastu lat jego dziewczyna, partnerka, żona, słyszała po raz pierwszy w życiu. Za to koledzy, z którymi Tadek jeździł na rajdy, najwyraźniej od razu skojarzyli, czyje imię wymieniał przerażony, zszokowany i ranny Borkowski. I na dodatek umieli się z tą kobietą skontaktować i ściągnąć ją do szpitala szybciej niż żonę poszkodowanego!

Gdyby Angelika stała chociaż o krok bliżej szpitalnego łóżka, gdyby ona i Tadeusz trzymali się za ręce, gdyby nie było między nimi jakichś czterdziestu centymetrów dystansu, Iwona prawdopodobnie rozniosłaby całą izbę przyjęć, razem z własnym mężem, jego była, wesołą lekarką i przestraszoną pielęgniarką. Ale dzieliło ich te czterdzieści centymetrów, które Iwona najchętniej zweryfikowałaby metrówką, a najlepiej jeszcze uzupełniła o kilka odbojników.

Zacisnęła mimowolnie palce, żalując, że nie ma obok Celki, która trzymałaby ją za rękę, która syczałaby jej do ucha podpowiedzi, co mówić, która na sto procent zaplanowałaby morderstwo, gdyby tylko Iwona ją o to poprosiła...

- Iwonka! - rozpromienił się Tadeusz, ale tylko na chwilę. Zaraz zerknął niepewnie na Angelikę, potem znowu na żonę, a jego uśmiech już wcale nie był taki szczery.

Borkowska zmusiła się, żeby chwilowo nie skupiać się na tym, że przy łóżku jej męża stoi inna, wezwana przez niego samego, kobieta, ale zorientować się, jakie odniósł obrażenia. Nogawkę spodni miał rozciętą, nogę zabandażowaną, plus kilka zadrapań na twarzy. Nie wyglądał może najlepiej, ale jak na poszkodowanego w wypadku to chyba miał się całkiem dobrze.

- Dzień dobry... - powiedziała niepewnie ta druga kobieta.

Iwona poczuła, że szum, który towarzyszył jej, odkąd usłyszała o wypadku, cichnie, kolory przestają być takie ostre i wyraźne i świat wokół prawie całkiem wraca do normy. Za to w niej samej pojawia się coś zimnego i gorącego jednocześnie, przerażającego i dającego siłę, lodowiec i wulkan. Mogła z tego czerpać i przetrwać tę chwilę, ten wieczór, ten dzień, a potem po prostu dać się temu spalić na popiół i zamrozić na kamień.

Uśmiechnęła się uprzejmie i życzliwie, jakby miała do czynienia z klientem biznesowym VIP i miała rozmawiać o transakcjach opiewających na miliony w walucie, a nie o... czymś innym.

– Dzień dobry – wyciągnęła rękę na powitanie. – Nie znamy się chyba jeszcze, Iwona Borkowska, żona Tadeusza.

Sądząc po zaskoczeniu, jakie przemknęło przez twarz kobiety, nie miała pojęcia, że Tadeusz jest żonaty. Najwyraźniej, pomyślała zimno Iwona, nie zdążył jej podczas tego spontanicznego spotkania o tym wspomnieć, cóż za niedopatrzzenie z jego strony.

– Angelika Konarska. – Była dziewczyna Borkowskiego uściśnęła dłoń jego obecnej żonie.

Iwona nagle skojarzyła, że nie musiała sobie wyobrażać Angeliki na czerwonym dywanie. Ona ją tam widziała, na zdjęciach co prawda, ale zawsze. Jak mogła jej nie rozpoznać!

– Jak Kelm i Konarska, prawda?

– Kelm i Konarska? – powtórzył Tadeusz.

– Sieć salonów fryzjerskich – wyjaśniła mu Borkowska. – Pani jest niesamowita – wyrwało jej się. – Efekty na włosach to jedno, ale przejście od jednego salonu do trzech w pięć lat to jest coś! Aż mi żal, że nie poszłam do doradztwa finansowego, pracować przy takiej koncepcji rozwoju to byłaby przyjemność!

– Dziękuję... – Angelika wyraźnie czuła się coraz bardziej zaskoczona. – I może mówmy sobie na ty, w końcu obie znamy Tadka...

Borkowskiej naprawdę nie był potrzebny ten kubek zimnej wody na głowę. Zdecydowanie wolałaby maglować Konarską o biznesplan i może

zahaczyć o możliwości leasingowe, ostatecznie przymilić się o termin w salonie, a nie przypomnieć sobie, dlaczego w ogóle z nią rozmawia!

– Właśnie! Nic mi nie mówiłeś, że znasz Angelikę Konarską!

Tadeusz wyglądał na lekko spoconego, może z powodu niedawnych przeżyć, a może dlatego, że znał swoją żonę dwanaście lat i poznał ją przez ten czas bardzo dobrze. Wiedział, że chociaż na zewnątrz jest spokojna i uprzejma, to w jej wnętrzu kłębi się coś na kształt eksplozji supernowej, która w końcu objawi się falą uderzeniową.

– Dobra, sorry, ty w szoku jesteś. – Iwona poklepała męża pobłażliwie po obandażowanej stopie. – To skąd się znacie?

Angelika zamrugła, jakby niepewna, co odpowiedzieć. Kątem oka zerknęła na Tadeusza, ale chyba nie znalazła u niego pomocy.

– Chodziliśmy razem do gimnazjum.

– Tak? To niesamowite! – Iwona odwróciła się do Tadeusza. – Ile osób miałeś w klasie? Dwadzieścia osiem? Trzydzieści?

– Trzydzieści – powiedziała Konarska.

– I wszystkie te trzydzieści osób koniecznie chciałeś zobaczyć na niedoszłym łożu śmierci? – zainteresowała się Borkowska. – Bo jeśli zaraz tu wszyscy przyjadą, to w sali może się zrobić trochę ciasno.

Tadeusz zaczął wydawać z siebie niezidentyfikowane dźwięki, ni to oburzone parsknięcia, ni to jęki bóleści. Jego żona, prezentując spokój i łagodne zainteresowanie, czekała na odpowiedź. I była skłonna czekać tak do końca świata, usranej śmierci i paru innych nieprzyjaznych wydarzeń.

– Między nami nic nie ma – zastrzegła nagle Angelika, która najwyraźniej lepiej niż Borkowski odczytała sytuację. – Spotykaliśmy się... kiedyś, już w średniej szkole. Ale nic z tego nie wyszło. Nie byłam dziewczyną, którą można przedstawić rodzicom – dodała gorzko. – A raczej nie byłam dziewczyną, którą rodzice chcieliby poznać. Nie ta klasa, nie ta kasa...

Teraz to Borkowska poczuła się zaskoczona. Nie ta klasa? Nie ta kasa? Angelika Konarska była piękna, zdolna, do wszystkiego doszła własną

pracą i była we Wrocławiu kimś. Rodzicom Tadeusza to nie wystarczyło? Na co oni liczyli, na hrabiankę czy królową angielską?

– Ja wiem, że o zmarłych dobrze albo wcale, ale co oni? Głupi byli? – wyrwało jej się.

Konarska prychnęła.

– Po gimnazjum poszłam do klasy fryzjerskiej. Nie planowałam studiów, musiałam iść do pracy. A Tadek miał przyszłość... Bardzo wyraźnie dano mi do zrozumienia, że nie ze mną.

– I on tak to po prostu przyjął? – oburzyła się Iwona. Odwróciła się do męża. – Tak po prostu zerwałeś z taką laską, bo ci matka kazała? Czy ty w ogóle kręgosłup miałeś, czy dopiero potem ci wyrósł? I w ogóle co ty sobie myślisz, zrywasz z dziewczyną, bo nie masz jaj, a potem nagle łapiesz szwung, bo myślisz, że umierasz, i tak ją wołasz, że cały szpital aż się rozplęwa nad tym, jakie to romantyczne?

– To nie tak – zaprotestował Tadeusz, odzyskawszy w końcu zdolność mowy. – Angelika przyszła tylko mi powiedzieć, że życzy mi zdrowia, ale nic do mnie nie czuje, nic ode mnie nie chce i między nami jest nieodwołalnie skończone od dwunastu lat.

– No ja myślę! – warknęła Iwona. – Ma dziewczyna urodę i rozum, szkoda jej dla ciebie!

Angelika i Tadeusz jak na komendę zrobili jednakowe karpiki.

– Taki numer jej odwalasz, zero odwagi cywilnej, a po dwunastu latach nagle ją znajdujesz? I co, przepraszam, świat się zatrzymał, myślisz, że będzie na ciebie czekać taka tęskna i blada? Szkoda jej dla takiego kretyna jak ty... i mnie też dla ciebie szkoda.

– Co...? – Tadeusz spróbował poderwać się z łóżka, ale zaraz opadł na nie z powrotem z jękiem.

Angelika najpierw rzuciła się mu pomagać, ale chyba do niej dotarło, że w obecnej sytuacji przesadne zbliżanie się do cudzego męża jest niewskazane, bo gwałtownie cofnęła ręce i wręcz ostentacyjnie zaczęła je trzymać przy sobie.

- Słuchaj, to naprawdę nie tak... - zaczęła, ale Borkowska wpadła jej w słowo.

- Szacun za rozwój biznesu i wyrazy podziwu dla fryzur, które tworzysz, ale w tej chwili jesteś była dziewczyną mojego męża, której imię ten głupek wzywał w sytuacji zagrożenia życia. Więc miło, że przyszłaś, ale bardzo proszę, żebyś teraz zostawiła nas samych. Musimy przeprowadzić porządną małżeńską rozmowę.

Konarska wyglądała, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Wyszła na korytarz, starannie zamykając za sobą drzwi.

Iwona została sama z Tadeuszem. Podeszła do łóżka, pomogła mu się wygodniej ułożyć i zerknęła na obandażowaną nogę, czy przypadkiem rana nie zaczęła krwawić. Gdy uznała, że wszystko jest we względnym porządku, skupiła się z powrotem na rzeczach ważnych.

- To teraz mi powiedz, kotek, czy moją podstawową zaletą było to, że mnie można przedstawić mamie?

Borkowski zbladł.

Rozdział 14

– Iwonka, kocie, to naprawdę nie tak...

– A jak? – dociekała Borkowska. – Bo z mojego punktu widzenia sytuacja wygląda, powiem ci, nieciekawie. Jadę z Wrocławia cała w stresie, przerażona, przejęta, że mój mąż, mój najdroższy mąż, skrócił wyjazd, żeby wrócić wcześniej do domu ze względu na mnie i na trupa za płotem, pełna poczucia winy, bo gdybyś został do niedzieli, to pewnie wróciłbyś bezpiecznie, a tu na dzień dobry słyszę, że mąż rozpaczliwie wzywał mojego imienia, chciał się jeszcze koniecznie ze mną zobaczyć, zanim nadejdzie najgorsze. I wiesz co, Tadeusz? Najgorsze zaraz nadeszło, bo ja nie mam na imię Angelika!

– Kocie... Iwonko... – poprawił się zaraz, najwyraźniej by pokazać, że doskonale pamięta, jak jego żona ma na imię.

– I wiesz, w sumie luz, bo wierzę, że nie widzieliście się dwanaście lat i że nic między wami nie ma, odkąd zerwaliście, ale w kwestii tego zerwania to naprawdę, Tadek, ja cię proszę, jak cię po czymś takim szanować? Może i między wami od tamtej pory nic nie było, ale mnie zastanawia, co przez te dwanaście lat się działo w twojej głowie, że pierwszą osobą, o której pomyślałeś, pierwszą, którą chciałeś koniecznie zobaczyć, była ona?

– To naprawdę nie tak!

– A jak? Powiedz mi jak. Bo na razie wygląda na to, że zaraz po tym, jak rzuciłeś laskę, która się nie podobała rodzicom, znalazłeś taką, którą dało się bezboleśnie przyprowadzić do domu. A ja głupia myślałam, że jestem taka wyjątkowa!

– Jesteś!

– Jakoś w to teraz wątpię. Wiesz, miało mi się udać. Miałam mieć superpracę, supermęża, superdom i superdzieci.

– Ale masz... Dzieci też, przecież możemy... Rozmawialiśmy...

- Mówiłeś, że jeśli będziemy mieli dziewczynkę, to ją nazwiemy Angelika! Czy ty w ogóle rozumiesz, że chciałeś nazwać nasze, moje przyszłe dziecko po swojej byłej? Nie, nawet nie byłej, bo dla ciebie to nie jest przeszłość, prawda?! Masz pojęcie, jaka to jest wtopa? Ile punktów ujemnych?

- Jakich punktów, Iwonko...

- Ale wiesz co, mnie się uda. Może niekoniecznie tak, jak planowałam, ale uda mi się w życiu. Tylko bez ciebie. Bo ja, Tadeusz, jestem Wenus, a ty piana morska! Ferment, z którego muszę się wyłonić!

- Co ty...

- Ciotka to wyśpiewuje od tygodnia w łazience, w życiu bym nie pomyślała, że to będzie przepowiednia na temat mojego życia. - Zaśmiała się histerycznie. - Moje życie, dobre sobie. Teraz będę siedzieć i zastanawiać się, ile z tego było naprawdę i ile było coś warte...

- Iwonko, co ty mówisz, wszystko było naprawdę, całe życie, przeszłość mamy, dom mamy, siebie mamy. - Tadeusz próbował złapać ją za rękę. Borkowska odsunęła się jak oparzona.

- Nie chcę tego życia, nie chcę tego domu, nie chcę ciebie! - wykrzyczała mu Iwona. - Ciotkę tylko chcę. Idź sobie w cholerę ze wszystkim, tylko ciotkę mi zostaw, ciotka jest spoko.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z sali. Za jej plecami Tadeusz łapał się za serce. Na korytarzu niemal zderzyła się z Maćkiem, wyraźnie zaniepokojonym i przestępującym z nogi na nogę.

- Iwona... - zaczął niepewnie.

- Zejdz mi z oczu - powiedziała bardzo spokojnie Borkowska.

Im bardziej histeryzował Tadeusz, im bardziej nerwowo Maciej wyłamywał palce, tym szybciej ją samą opuszczało zdenerwowanie. Nie miała się czym przejmować, najgorsze już się stało. Nie musiała panikować, że przyszłość jej się wali - przecież już leżała w gruzach. Nie było co ratować, bo wszystko zostało zniszczone w jednej chwili.

- Iwona, słuchaj, Tadeusz cię kocha...

Prychnęła.

- Całkiem możliwe – przyznała. – Ale nie kocha mnie tak, jak ja na to zasługuję. Jak w reklamie szamponu: jestem tego warta. Tego, żeby być czyjąś pierwszą myślą w kryzysie. Tego, żeby to mnie mój własny mąż wołał w drodze do szpitala. Tego, żeby nie budować życia na kłamstwie. – Wzięła głęboki oddech. – Idź do niego, sorry, że cię z nim zostawiam, wiem, że rodzina czeka, ale ja... nie mogę. Wracam do, do... wracam na Agregatową, porozmawiam z jego ciotką, jakoś to wszystko zorganizujemy.

W sali za jej plecami rozległ się brzdęk, jakby coś spadło na podłogę.

- Idź do niego – powtórzyła Iwona. – Zawołaj może lekarkę, jeszcze będzie próbował wstawać...

Maciek spojrział na nią niepewnie, ale posłuchał. Na korytarzu oprócz Iwony zostały jeszcze Angelika i warująca nieopodal niczym pies obronny Celina. Borkowska skinieniem głowy dała przyjaciółce znać, że wszystko jest we względnym porządku. Nowacka wycofała się z powrotem do rejestracji, rzucając na pożegnanie kose spojrzenie stojącej pod ścianą Angelice. Konarska w świetle szpitalnych korytarzowych świetlówek wciąż błyszczała urodą i stylem, ale ten blask był jakby przygaszony, tak jak i ona sama.

- Jeśli to coś pomoże, to mi przykro – powiedziała. – Nie chciałam tu w ogóle przyjeżdżać, Piotrek mnie namówił. Nie widzieliśmy się od kilkunastu lat i dla mnie to już zamknięty rozdział.

- Szkoda, że tylko dla ciebie – stwierdziła gorzko Iwona.

- Naprawdę przepraszam, nigdy bym...

- Nie masz mnie za co przepraszać. – Borkowska zdziwiła się, jak spokojnie brzmi jej głos. – Właściwie to powinnam ci podziękować.

- Za co?

- Za *reality check*.

- Rzeczywistość ssie.

- Lepiej niż mój odkurzacz – zgodziła się Iwona. – Ale lepsze to niż... Myśleć, że wszystko jest pięknie, idealnie i dobrze, gdy tak wcale nie jest.

Angelika zmarszczyła brwi.

– Może... Nie wiem, czy tak jest lepiej, mam nadzieję, że dla ciebie rzeczywiście tak. Przykro mi, naprawdę.

Odwróciła się i odeszła, a Iwona przez chwilę nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Powiedziała Maćkowi, że wraca do Wrocławia, ale czy to naprawdę dobry pomysł? Czy w ogóle chciała wracać do domu... do domu Tadeusza, do tych cholernych martwych zwierzątek, patrzących na nią wszechwiedzącymi ślepiami?

Na pewno nie chciała zostać tu, w szpitalu, oddzielona ścianą od Tadeusza. Pół godziny wcześniej cała się trzęsa ze strachu o niego, a teraz zwyczajnie nie mogła na niego patrzeć. Kłębiły się w niej uczucia, których nie umiała nawet nazwać, a co dopiero poukładać.

Nie mogła zostać na korytarzu, za nic nie chciała wracać do sali, pozostawało jej tylko iść naprzód.

Przy rejestracji stali Celina i Jan. Pielęgniarka kręciła się za biurkiem i wyglądała na bardzo zajętą, ale gdy tylko zauważyła Iwonę, zamarła niczym sarna w świetle reflektorów. Nowacka podbiegła do Borkowskiej i złapała ją za rękę.

– Co z Tadeuszem?

Iwona odwróciła się do niej. Wciąż czuła się tak dziwnie spokojna, jakby te wszystkie rzeczy działy się obok niej, komuś innemu, pechowej lasce, której właśnie zawaliła się ponad dekada życia.

– Z Tadeuszem wszystko będzie dobrze – stwierdziła. – Porozmawiałam sobie z nim i z Angeliką.

Celina otworzyła usta, przez chwilę trwała w zawieszeniu, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Ona jest bardzo sympatyczna – kontynuowała Borkowska. – I nie widziała się z nim, odkąd zerwali ze sobą, zanim my się zaczęliśmy spotykać.

– To... dobrze? – zaryzykowała Nowacka.

– Oczywiście, to nie zmienia faktu, że mój kochany mąż tak się za nią darł, jakby w ogóle nie spędził ostatnich dwunastu lat ze mną.

– To niedobrze – podsumowała Celka.

– To fatalnie – zgodziła się Iwona.

– Fatalnie. Co robimy?

Gdyby Borkowska oznajmiła, że będą kręcić rozróbę, Nowacka bez wahania zaczęłaby wybijać szyby. Na szczęście dla nich obu destrukcji w planach nie było.

– Wracamy.

– Mam ogarnąć Tadeusza? Transport, lekarza czy coś?

Iwona pokręciła głową.

– Są tu jego koledzy, niech się wszystkim zajmują. Do Angeliki umieli zadzwonić, to dadzą sobie radę ze wszystkim.

Celina wydeła usta.

– Słuszna logika, popieram. Wiemy, co dalej?

– Nie. Na razie po prostu chcę stąd wyjść.

– Iwona! – Z korytarza za jej plecami wybiegł Maciek. Wyraźnie mu ulżyło, że jeszcze ją znalazł. – Iwona, Tadeusz o ciebie pyta. On nie może przyjść, nogę mu będą gipsować, Iwona, ty musisz iść do niego...

– Teraz o mnie pyta? – spytała uprzejmie Borkowska. – Teraz?

– Iwona, on jest po wypadku, na lekach, cokolwiek ci tam powiedział, to majaczy! Nie miał tego w ogóle na myśli! Z Angeliką to przeszłość, to w ogóle nieważne!

Obie, Iwona i Celina, spojrzały na niego z politowaniem.

– Weź ty może nie próbuj robić za jego adwokata, fatalnie ci to wychodzi – zasugerowała Borkowska.

Nowacka empatycznie pokiwała głową.

– Nie jestem adwokatem, jestem inżynierem! – wyrwało się Maćkowi.

– I tego się trzymaj – mruknęła Celina.

– Ale to nie o to chodzi, tylko tam jest Tadek, twój mąż, Iwona, nie możesz tak po prostu wyjść!

– Ależ oczywiście, że mogę, i właśnie to robię! Mówiłam ci, porozmawiam z ciotką Tadeusza i dam ci znać, co dalej, ale ja tu nie zostanę i nie będę z nim rozmawiać. Nie dziś, nie teraz. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

– Ale Iwona!

– Zostaw – warknęła Celka niczym prawdziwy doberman, zastępując mu drogę.

Maciek aż podskoczył.

– Ale to jest jego żona! Małżeństwo trzeba ratować!

– Na pewno nie twoimi rękami. W tył zwrot i wracaj do Tadeusza. Nie dzwoni do Iwony, ona będzie dzwonić. A właściwie to pewnie ja będę dzwonić. Cześć, nie było miło.

Poszła za Iwoną.

– Nie możecie tak po prostu sobie pojechać!

Maciek nie poddawał się i próbował ją dogonić. Tym razem przeszkodził mu Zbenda.

– Celina uprzejmie zasugerowała, że powinien pan się oddalić – wytłumaczył mu Jan.

Maciek cofnął się o krok. Zbenda był od niego o głowę wyższy, do tego stał pośrodku szpitalnego korytarza, jakby cała placówka należała do niego. Promieniował absolutną pewnością siebie, której towarzyszyła subtelna sugestia, że aktualnie jest dżentelmenem i tak postępuje, ale to się w każdej chwili może zmienić.

Celka za to najwyraźniej postanowiła wziąć przykład z dobermanów swojego ojca. Trudno było powiedzieć, czy patrzy Maćkowi w twarz, czy zerka mu na gardło i szuka właściwego miejsca, żeby je przegryźć. Zatrzymała się w drzwiach wyjściowych, tuż obok czekającej na nich Iwony, gotowa zarówno do opuszczenia szpitala, jak i do powrotu i przypuszczenia ataku.

Kolega Tadeusza najwyraźniej uznał, że nie ma co angażować się w starcie z liczniejszym przeciwnikiem. Rzucił jeszcze jedno prośące spojrzenie Iwonie. Nie ruszyło jej to, w ogóle. Wobec tego Maciek wycofał się strategicznie na koniec korytarza.

– Koniec dramy. Zbieramy się – zarządziła Borkowska.

– Ale...

– Chwilowy koniec dramy. Na razie chcę do domu... – Urwała. Dom, budynek, który przez ostatnie kilka lat stał się jej domem, należał do Tadeusza. I nie był już domem... – Chcę wracać. Już. Teraz.

Poszli do auta. Jan znowu prowadził, Celka bez słowa zajęła miejsce na tylnym siedzeniu obok Iwony. I znowu wzięła ją za rękę, ściskając ją mocno. Tylko że tym razem nie jechali w atmosferze strachu i obaw o Tadeusza, teraz żal i ból, które zaczęły wypełzać spod spokoju, były tak gęste, że Iwona musiała uchylić okno.

– Wołał Angelikę – powiedziała.

– Mówiłaś.

– Po wypadku. Wołał Angelikę. Jego kumpel do niej zadzwonił i przyjechała. Naprawdę był zachwycony, że ją widzi. Patrzył na nią... tak na nią patrzył, jak kiedyś na mnie.

Celinie zajęło chwilę poskładanie sobie tego do kupy.

– O cholera...

– Bardzo miła dziewczyna. Nie chce go. Od matury się nie widzieli.

Nowacka zakląła ponownie.

– A on o niej ciągle pamiętał. I wołał ją. I wszyscy jego koledzy od razu wiedzieli, o kogo chodzi! I tak na nią patrzył...! I dziecko po niej chciał nazwać! Tabsów jeszcze nie odstawiłam, a on już zaczął nawijać, że koniecznie dziewczynka i koniecznie Angelika, bo mu się to imię tak strasznie zawsze podobało... – Odwróciła się do przyjaciółki. W aucie było ciemno, ledwie widziała jej twarz, ale Celka miała takie lśniące oczy, jakby mokre. – Celka, mnie w ogóle ten związek się nie udał! I teraz się będę musiała rozwieść. – Iwona wybuchnęła płaczem.

– O ja pierdołę – jęknęła empatycznie Nowacka.

– A jak ja pierdołę – wydusiła z siebie Iwona.

Potem, aż do Wrocławia, już tylko płakała.

*

– Jesteśmy – odezwał się Jan.

Zatrzymał auto przed furtką numeru trzeciego. Iwona podniosła głowę. Pół siedziała, pół leżała na kolanach Celki. Miała wrażenie, że spod szpitala odjechali albo przed chwilą, albo całą wieczność temu.

– To jaki mamy plan? – spytała Celina. – Płacemy, pijemy, zżeramy lody, robimy w ogródku ognisko z tych wypchanych łbów, wszystko powyższe? Albo coś innego?

– Na razie nic. Muszę porozmawiać z Anatolą.

– Dobra, Janek, my zostajemy...

– Nie. Chcę zostać sama z ciotką – oznajmiła Iwona.

– Na pewno? Może ja chociaż w drugim pokoju będę... W aucie na ulicy posiedzę? Jan ze mną poczeka.

Zbenda pokiwał głową.

– Nie. Muszę porozmawiać z ciotką w cztery oczy.

– Ale ja muszę z tobą być – uparła się Celina.

– Bo co?

– Bo nie wiem co! W życiu w takiej sytuacji nie byliśmy, ale jeśli myślisz, że cię zostawię samą...

– Nie samą. Z Anatolą. Godzinę nam daj, co?

Celka przygryzła wargę. Widać było, że toczy sama ze sobą walkę wewnętrzną.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Pojedziemy po Matyldę. I po wsparcie spożywczo-alkoholowe. – Złapała Borkowską za ręce i spojrzała jej prosto w oczy. – Wracam za godzinę i lepiej, żeby wszystko było... nie gorzej niż teraz, jasne? To pa! – Uściśnęła przyjaciółkę jeszcze raz, bardzo, bardzo mocno.

– Pa. – Iwona wysiadła z auta. Uśmiechnęła się smętnie do Zbendy, który przytrzymał jej drzwi. – Dzięki. Za podwózkę w obie strony.

– Nie ma za co. Powiedziałbym, że zawsze do usług, ale chyba wszyscy wolelibyśmy tego nie powtarzać.

Borkowska pokiwała głową.

– Jeden raz to za dużo. Ale jeśli koledzy Tadka nie ogarną odbioru...

- My ogarniemy - wpadła jej w słowo Celka. - Ty się niczym nie martw, trzeba będzie go odebrać, to dasz znać i się tym zajmę.

- A ja pojedę z nią, żeby Tadeusz wyszedł z tego bez traumy - dodał Jan.

Celka się zjeżyła.

- Przeze mnie miałby mieć traumę? On cały czas ma obawy, że jednak jesteś mordercą!

Zbenda wzruszył ramionami.

- Nie tylko on.

- Ale ja się z tym pogodziłam - wypaliła Nowacka. - Czekaj, co ja mówię, nie słuchaj mnie w ogóle, w szoku jestem! Jedziemy po Matyldę, a ty - wycelowała palcem w Iwonę - masz godzinę z ciotką, czas ci leci od już!

Wsiadła do samochodu i niecierpliwie czekała, aż Jan zajmie miejsce za kierownicą. Nie odjeżdżali jeszcze i Iwona była pewna, że tego nie zrobią, póki ona nie wejdzie do domu.

Nie należało zwlekać, zwłaszcza że, jak bezceremonialnie przypomniawszy jej Celka, zegar już tykał. Chociaż gdyby faktycznie udało im się obrócić do Matyldy i z powrotem, z wypadem po zakupy, w godzinę, to byłby to mały, wrocławski cud. Iwona podejrzewała, że ma raczej dziewięćdziesiąt minut, żeby wyciągnąć z ciotki całą bolesną prawdę.

Więc lepiej było już zaczynać.

Rozdział 15

– Iwonka? – zdziwiła się Anatola, wyglądając z salonu. – Już jesteś z powrotem? Co z Tadiem?

Borkowska postawiła torebkę na stoliku obok wieszaka i powoli, metodycznie, szukała w niej czegoś, odwrócona plecami do ciotki.

– Tazio ma się całkiem dobrze. Złamana noga i wstrząśnienie mózgu, ale można powiedzieć, że miał szczęście i wyszedł z tego prawie bez szwanku. Oczywiście był przekonany, że to koniec, więc całe życie mu mignęło przed oczami, ze szczególnym uwzględnieniem tego, co mu w życiu nie wyszło.

– Mężczyźni – westchnęła Anatola. – To co, postanowił wyrzucić kolekcję truchel?

– Nie wiem, do planów na przyszłość nie doszliśmy. Bardziej podobno ubolewał nad wydarzeniami z przeszłości. Ale, z dobrych wieści, okazało się, że Angelika może podjechać na oddział ratunkowy i się z nim zobaczyć. Cudownie, prawda?

Odwróciła się do Anatoli. Jeden rzut oka na twarz ciotki wystarczył, by się upewnić, że ciotka doskonale wie, o kim mowa. Starsza pani najpierw uciekła wzrokiem, ale potem spojrzała na Iwonę i dotarło do niej, w jakim stanie jest Borkowska.

– Iwonko... Wyglądasz...

– Jakby mi się świat zawalił? Tak. Jakbym przeryczała ostatnie dwadzieścia kilometrów Celinie w spodnie? Tak! Jakbym w ogóle już nie wiedziała, co mam myśleć o swoim mężu i naszym życiu? Bingo! Wszystkie odpowiedzi są prawdziwe. Więc teraz pójdę do kuchni, zrobię kawę i wszystko mi opowiesz – powiedziała spokojnie Borkowska. – Wszystko. Bo wiesz, prawda?

Anatola westchnęła ciężko.

– Wiem, wiem. Miałam nadzieję, że ty się nigdy nie dowiesz.

– Nigdy? I miałabym żyć tym wszystkim na niby, przekonana, że mam szczęście, że wszystko mi się udaje, że jest super, że Tadeusz mnie kocha tak mocno jak ja jego?

Ciotka wyciągnęła chusteczkę. Iwona wzięła ją odruchowo, ale chwilę trwało, zanim do niej dotarło, co ma z tym zrobić.

Otrzeć łzy.

– Wszystko – powtórzyła. – Wszystko po kolei.

– Wszystko – zgodziła się Anatola. – Nalać ci wina? Żeby, wiesz, łatwiej weszło?

– Sobie nalej. Ja poproszę prawdę na trzeźwo.

Przynajmniej na razie. O ile Celina nie miałaby problemu z rozkminianiem życia z jasnym umysłem, o tyle Matylda była gorącą orędowniczką opcji „przez znieczulenie do oświecenia”, nawet jeśli to oświecenie polegało na tym, że na drugi dzień światło dawało po oczach dwa razy mocniej. Iwona nie miała szans zakończyć tego dnia na trzeźwo i szczerze mówiąc, nie martwiła się tym zbytnio. Tylko teraz chciała być w pełni władz umysłowych i wysłuchać tego, co Anatola ma jej do powiedzenia.

Ciotka westchnęła ciężko. Poszły obie do kuchni. Anatola nie sięgnęła po wino, pyknęła tylko ekspresem do kawy. Iwona usiadła przy stole. Czosek szturchnął ją nosem w nogę. Wzięła pieska na ręce. Nie miała już pluszaków zbieranych w dzieciństwie i nastoletwie, a potrzebowała teraz przytulić coś miękkiego i zycziwego. Kolana Celki się nie liczyły – były trochę kościste.

– Angelika to była wielka miłość Tadeusza. Poznali się jeszcze w gimnazjum. Już wtedy za nią szalał. Do mojego brata i bratowej chyba nie docierało, że to tak na poważnie. Nie wiem, czy myśleli, że dzieciaki się tylko kolegują, czy że to taka szczeniacka miłość i nic z tego nie będzie. Na pewno nie patrzyli na Angelikę jak na odpowiednią partnerkę dla syna jedynaka. Wiesz, ona pochodziła z biedniejszego domu, z niepełnej rodziny, nie planowała studiów, tylko chciała od razu iść do pracy, pomóc ojcu i rodzeństwu. Według Anatola i Haliny to wszystko przemawiało

przeciwko niej. Ale Tadeusz był zakochany po uszy, ślepy na wszystko i chciał się oświadczać zaraz po maturze. Rodzice zawsze wszystko mu dawali, myślał, że pierścionek prababci na zaręczyny też dostanie.

– Był jakiś pierścionek prababci? – spytała Iwona. Jej pierścionek zaręczynowy, mała, wąska obrączka z serduszkami z cyrkonii, leżał w szkatułce na biżuterię. Nie był żadną pamiątką rodzinną, Tadeusz zaciągnął Celinę na zakupy, bo obie miały taki sam obwód palca. Gdyby jeszcze się teraz okazało, że istniała biżuteria rodowa, którą Tadek chciał dać tamtej, ale już nie jej...

– A gdzie tam. Anatol przy jakiejś okazji odkupił za bezcen, jak to on, a Halina szpanowała, że to niby po jej przodkach. Tadeusz nie wiedział. Poszedł jak po swoje, pewien, że będą się cieszyć razem z nim.

– Ale się nie cieszyli – zgadła Iwona.

– Łagodnie rzecz ujmując. Co tu się działo, spazmy, omdlenia, krzyki, że wpędza matkę do grobu, że taką dziewczynę to wstyd przyprowadzić do domu... Dulscy na całego.

– I go przekonali.

Ciotka wstała i podała jej kubek z kawą.

– Zakrzyczeli raczej. Zerwał z nią, nie wiem, czy jej powiedział prawdę. O Angelice więcej nikt nie wspominał. A później przyprowadził ciebie.

– Bo mnie można z dumą przedstawić rodzicom – powiedziała gorzko Iwona.

– Bo ty taka idealna jesteś. – Anatola uśmiechnęła się smutno. – Nawet się ucieszyłam, jak usłyszałam, że masz ten romans, pomyślałam sobie, że będziesz bardziej ludzka, a nie taka chodząca perfekcja.

– Sorry za rozczarowanie.

– Rozczarowana to jestem sobą, że wcześniej cię nie próbowałam lepiej poznać. Mój pech, myślałam, że skoro jesteś taka idealna i nadajesz się do przedstawienia Anatolowi i Halinie, to jesteś taka sama Dulska jak Borkowscy. A ty, co tu dużo mówić, jesteś równa babka. – Sięgnęła przez stół, wzięła Iwonę za rękę i ścisnęła mocno.

– Dzięki.

Anatola wzięła głęboki oddech.

– Kiedy Anatol i Halina zginęli, myślałam, przyznając, że Tadek z tobą zerwie i zaraz wróci do Angeliki, jeśli ona go w ogóle jeszcze będzie chciała. Ale nie zerwał, oświadczył się, wzięliście ślub... Uważałam, że mu się udało znaleźć drugą wielką miłość. Taką wiesz, pasującą do wizji świata, jaką mu rodzice zaszczepili. I z jednej strony w ogóle bym się nie spodziewała, że ten głupek taki cyrk odstawi, a z drugiej... no co będę kłamać, zaskoczona też nie jestem.

– Przynajmniej ty – mruknęła Borkowska.

Teraz, kiedy chwilowo nie miała już czym płakać, kubek z kawą był pusty, a Czosek udeptywał sobie miejsce na jej kolanach, mogła tak po prostu siedzieć, oddychać i przyznać, że wszystko było takie okropnie logiczne. Świętej pamięci rodzice Tadeusza z dyplomem z dulszczyzny, Angelika, całe to zrywanie i znajdowanie sobie laski, którą można przyprowadzić do domu.

Tylko po co to ciągnąć? Borkowscy seniorzy zginęli w wypadku i mieli potem małe szanse na wyrażenie dezaprobaty. Czemu po prostu nie zerwał z Iwoną i nie poszedł na kolanach do Angeliki, żeby błagać ją o wybaczenie? A jeśli – dopuszczała taką myśl – faktycznie kochał swoją żonę, wolał życie z nią, lepiej mu z nią było, to czemu, na litość, po wypadku tak się upierał przy widzeniu z byłą?

I co mu w ogóle przyszło do głowy, żeby nazwać potencjalną córkę Angeliką?!

Siedziały przez chwilę w ciszy.

– Iwonko – odezwała się w końcu Anatola. – I co teraz?

Borkowska wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Zależy chyba z czym. Mogę ci dać numer do Maćka, kolegi Tadeusza. Powie ci, co i jak z wypisem. Albo zaczekamy, aż Celina wróci i ona z nim porozmawia. Jak już będzie wiadomo, kiedy go wypuszczą, to kumple go tu przywiozą. Albo wyślemy Celinę i Jana. Możesz pojechać z nimi, żeby go przesadnie nie sterroryzowali.

– A dalej?

- Nie mam pojęcia. Na razie nie sięgam dalej niż ten weekend. Dziewczyny już się zapowiedziały jako wsparcie, więc lada chwila się zwałą.

- Zabiorę psa i pójdziemy na górę – zdecydowała Anatola. – Wsparcie moralne będzie skuteczniejsze bez obecności starszej ciotki twojego męża.

- Nie będę ściemniać z uprzejmości, że jest inaczej – zgodziła się Borkowska.

- Myślę, że przez ten weekend możesz w ogóle sobie uprzejmością nie zawracać głowy. Nami się nie przejmuj, spakuję sobie zaraz wałówkę, a psa wieczorem wyprowadzę.

- Dzięki.

- Nie ma za co, Iwonko, nie ma za co. I daj mi numer tego Macieja, od razu ogarnę sprawę. Nie ma co go stresować przesadnie twoją Celinką, co on winny, że ma głupiego kolegę.

Anatola ścisnęła ją mocno za ramię i zajęła się pakowaniem sobie kolacji do zabrania na górę.

*

Matylda oglądała golonkę z lekką zgrozą. Okrążała przy tym stół i zerkwała na kawał mięcha to z jednej, to z drugiej strony, zupełnie jakby miała nadzieję, że znajdzie taki punkt widzenia, który nie będzie do niej wrzeszczał o tłuszczach, cholesterolu i zatkanych tętnicach.

- To dla pułku wojska?

- Miało być dla Tadeusza, a będzie dla nas.

- Podoba mi się symbolika zeżarcia jego posiłku, takie, „a niech cię spadaj i fuck you”, ale mam obawy, czy moja wątroba jest gotowa na to poświęcenie.

- Twoja wątroba będzie przeschęśliwa, jeśli tę ilość alkoholu poprzedzisz tłustym mięchem – zauważyła przytomnie Celina, która wyciągała z siatki zakupy, głównie takie w szklanych opakowaniach. Na blacie kuchennym stała już imponująca liczba butelek.

– Ale wiecie, że ja mam alkohol w domu? – upewniła się Iwona. – I że jesteśmy tylko we trzy, żadna z nas nie jest krową i mamy tylko po jednej wątrobie?

– Krowy też mają jedną wątrobę, tylko żołądków więcej niż standard – poprawiła Celina. – A tak w ogóle, to poszliśmy w wersję zapasy na koniec świata. Mamy wszystko. Czekoladę, lody, chipsy, wódkę, soki, tequilę, sól, limonkę, jakieś kolorowe świństwo z brokatem, nie krzyw się, to Mati wynalazła.

Borkowska podeszła do blatu i przyjrzała się podejrzliwie różowemu świństwu. Faktycznie, pływał w nim brokat. Całość sprawiała wrażenie, jakby ktoś wydoił kreskówkowego kuczka do flaszki. Iwona nie była pewna, czy w ogóle odważyłaby się tego napić.

– Mam masę pytań, ale ograniczę się do: dlaczego?

Matylda wzruszyła ramionami.

– Takiego kryzysu jeszcze nie miałyśmy. Pomyślałam, że najrozsądniej będzie wziąć wszystko, co się napatoczy. Bo właściwie co robimy? Pijemy na pohybel facetom, odreagowujemy ogólną głupotę rodzaju męskiego, zalewamy rozpacz z powodu końca związku czy świętujemy jego rozpad? Nie rób do mnie takich min – syknęła do Celiny.

Iwona zerknęła na twarz przyjaciółki. Faktycznie, Nowacka minę miała straszną.

– Wiem, że to nietakt, ale lepiej chyba na początku ustalić, w jakich ramach działamy. Inaczej będą kwasy w trakcie, a same przyznacie, że kwas przy procentach to jest recepta na rozdmuchaną katastrofę!

– Jest w tym trochę racji – zgodziła się niechętnie Celina.

– W tym jest sama racja! No to jaką przyjmujemy perspektywę?

Obie patrzyły na Iwonę i czekały na odpowiedź. Borkowska rozłożyła bezradnie ręce.

– Laska, tylko ty wiesz – uparła się Matylda.

– Spróbujemy inaczej – zadecydowała Celina. – Iwonka, popatrz na mnie i skup się.

– Skupiam się.

- Co myślimy aktualnie o twoim mężu? Nienawidzimy go, lubimy go, współczujemy mu?

- Chyba głupoty – prychnęła Iwona.

- Czyli pierwsze mamy ustalone. Tadeusz jest głupi...

- ...i ma pchły – dopowiedziała Matylda. – No co? To dobrze brzmi, głupi i ma pchły.

- Skąd by miał mieć pchły, pies jest tu...

- Na biwaku mógł podłapać. Albo te, pluskwy przywieźć...

Borkowska zamrugnęła. Nagle otworzyła się przed nią puszcza Pandory pełna zupełnie nowych klęsk i lęków.

- Weź odpuść, bo aż mnie wszystko zaczyna swędzieć i zaraz się obleję jakimś raidem albo wykąpię w amolu...

- Spoko, jakby z wcześniejszych wypadów pchły przywiózł, to już byś dawno zauważyła – pocieszyła ją Celina. – Ale skoro o robaczkach mowa, wiesz, co z Tadeuszem, czy mam dzwonić do tego zestrachanego...

- ...Maćka. Nie musisz. Anatola z nim rozmawiała. Tadeusz ma złamanie kostki bocznej, pedałem ją sobie załatwił, i poobijał sobie trochę głowę, ale żadnych niepokojących zmian na zdjęciach nie widać. Będzie na obserwacji do rana, jeśli wszystko będzie dobrze, to go wypuszczą. Maciek po niego pojedzie i przywiezie do domu.

- Tutaj? – oburzyła się Matylda.

- Tutaj, w końcu to jego dom.

- Jeśli nie chcesz tu być, kiedy on przyjedzie, to możesz się przenieść do mnie – zaproponowała Celina. – Udostępnię ci nawet całe mieszkanie, zwalę się na głowę Janowi.

- Nie będzie protestował?

- Dalej mieszka na Marca Polo, będzie zachwycony, że się przyzwyczajam do okolicy. Ale mniejsza o to. Chcesz się wyprowadzać czy chcesz zostać w tym domu?

- Zadajesz mi straszne pytania.

- Mati ma trochę racji...

- No raczej! – wtrąciła się Pawłowska.

– ...nie da się planować działań bez ustalenia celu. Więc dawaj. Jaki jest cel? Jeśli wyprowadzka, to musimy zacząć cię pakować przed piciem.

Iwona pokręciła głową.

– Żadnych wyprowadzek. Za dużo pakowania. Poza tym... to jest głupie, ale tak co chwila mam wrażenie, że przesadzam. Wicie, nie zdradził mnie, nie ciągnął romansu przez lata, nie ukrywał nałogu... Tylko wpadł w histerię i chciał koniecznie przed śmiercią zobaczyć swoją byłą.

Matylda usiadła naprzeciwko niej i uroczyście złapała ją za dłonie.

– Słuchaj mnie teraz uważnie, bo będę mówić mądre rzeczy. Tylko ty masz prawo zdecydować, jak bardzo cię to obeszło i zraniło. To jest twoje życie, twoje emocje i twoja prawda.

Iwona wyrwała jej ręce. Potrzebowała ich, żeby złapać się za głowę, oczywiście uważając na doczepy.

– I to właśnie jest absolutnie do kitu! Nie wiem, co czuję, nie wiem, co z moim życiem, nie wiem, jaka jest moja prawda! Najpierw byłam wściekła, taka wściekła, że w szpitalu właściwie powiedziałam mu, że to koniec i że na mnie nie zasługuje! Tylko nie wiem, czy tak naprawdę myślę!

– I to jest bardzo dobre podejście! Pytanie brzmi w takim razie, czy jeśli Tadeusz się przycołga i będzie błagał o wybaczenie, to wezmiesz go z powrotem?

Borkowska, całkowicie wbrew sobie i rozsądkowi, zaczęła tarmosić jeden z doczepianych pukli. Celina zorientowała się, co robi przyjaciółka, bez wahania postawiła przed nią szklanę z czymś kolorowym, złapała Iwonę za rękę i zacisnęła jej palce wokół naczynia.

– Nie psuj sobie włosów, bo jutro będziesz tego żałować bardziej niż małżeństwa – powiedziała.

Iwona już-już miała się odgryźć, ale uświadomiła sobie, że przyjaciółka ma rację. Zrezygnowała z szarpania za pukle i zajęła się napitkiem – upiornie słodkim i mocno procentowym.

– Syropu nie pożałowałaś – wychrypiąła.

Celka wzruszyła ramionami.

– Nie umiem mieszać, Mati wybierała składniki i ona powinna robić koktajle. Ja się znam na dolewaniu wina.

– Nie będziemy zalewać takiego problemu winem – zaprotestowała natychmiast Pawłowska. – I wybaczyć, ja tu mam najwięcej inteligencji emocjonalnej, więc na razie niosę wsparcie.

– A ja niby co robię? – zjeżyła się Nowacka.

– Ty w razie potrzeby zaplanujesz następne morderstwo. Albo rozwód w dziesięciu krokach, z podpunktami.

Iwona pospiesznie przełknęła resztkę swojego drinka.

– Nie będzie morderstwa!

– Czyli mu wybaczymy? – upewniła się Matylda.

– Ale chyba nie od razu? – zastrzegła od razu Celina.

– Nic od razu nie będzie, ani wybaczenia, ani rozwodu – stwierdziła Borkowska. – Chyba źle zrobiłam w szpitalu, wylałam na niego wszystko i szu!, a trzeba było konstruktywnie... Wiecie, tak, żeby wiedział, co zawalił.

– Serio myślisz, że nie wie? Znam go tyle samo co ty, głupi nie jest.

– Jakby był mądry, toby nie wzywał imienia byłej nadaremno – oceniła rzeczowo Mati. – Plus pewnie po wypadku był oszołomiony, środki przeciwbólowe, nadmiar bodźców, dwie laski na głowie, pewnie nie zapamiętał połowy tego, co mówiłaś... Właśnie! Możesz to powtórzyć! Dobitnie! Tak, żeby zapamiętał, z mało subtelnymi wskazówkami, jak ma błagać o wybaczenie. Tak wiesz, konstruktywnie z nim zerwać, ale nie definitywnie.

– Nie umiem w zerwania, konstruktywne czy nie, nigdy z nikim nie zrywałam! – oznajmiła dramatycznie Iwona.

Matylda zmarszczyła brwi.

– Sama mówiłaś, że w szpitalu właściwie skończyłaś z Tadeuszem! Po prostu musisz to zrobić jeszcze raz, tylko teraz na zimno i według planu.

– Ale to histeria była, a nie porządne zerwanie. Jak się zrywa porządnie i bez hysterii?

– Nie wiem – jęknęła Mati. – Od dziesięciu lat jestem z Sebulą!

- I od tyłu lat z nim zrywasz! Powinnaś mieć doświadczenie.

- Ale my nie zrywamy konstruktywnie! Po prostu pewnego dnia zaczynamy się kłócić, z fajerwerkami albo wręcz przeciwnie, jedno chce kłótni i fajerwerków, a drugie ma je gdzieś i jest po związku. No, do następnego razu.

- A pozostali? Te wszystkie Areczki?

- Z Areczkiem mamy jasny układ, nie będziemy zrywać związku, którego nie ma! Co najwyżej seks nam się skończy. To znaczy ten wspólny! Nie umiem w zerwania!

Obie, Iwona i Matylda, pokiwały smętnie głowami, a potem jak na komendę odwróciły się do Celiny.

- Ja też nie umiem - zaprotestowała.

- Z Bartkiem zerwałaś - wytknęła Matylda.

- Ale nieprofesjonalnie, to było nic w porównaniu z tym, jak ze mną zrywał Krzysio, kiedy odchodził z mojej bandy...

- Krzysio! - wykrzyknęła Pawłowska. - Pamiętam, jak o nim mówiłaś! Potrzebujemy Krzysia!

- Krzysio mnie przekupywał słodyczami, żeby się móc kręcić obok mnie i być bardziej cool!

- A potem cię wystawił, bo mu sytuacja nie pasowała! - nie ustępowała Mati. - Znasz jeszcze kogoś, kto by umiał tak konsekwentnie wyznaczać granice??

- W sumie to nie - przyznała Celina. - Ale jemu by trzeba wszystko powiedzieć...

- Powiemy - oznajmiła mężnie Iwona. - To znaczy ja powiem, a jak mi słów zabraknie, to mi pomożecie.

- Na pewno jesteś na to gotowa?

- Na pewno to nigdy nie będę gotowa - przyznała Borkowska. - Ale jak widać, życie nie czeka, aż powiesz mu, że teraz już może ci dokopać, tylko bierze zamach.

- To nie życie, to Tadeusz, kretyn jeden - warknęła Celka. - Nawet nie mogę powiedzieć, że go nigdy nie lubiłam, bo zawsze był spoko!

Iwona poklepała ją pocieszająco po ramieniu.

– Nie przejmuj się, ja jeszcze długo nie będę pewnie mogła powiedzieć, że go kocham. Albo nie kocham. Zobaczymy.

– A wiesz, co chcesz mi powiedzieć?

– Tak. Że kiedy było mu najgorzej, wołał ją, a nie mnie. I że mnie, kurde, przekonał, żebyśmy tę przyszłą, potencjalną córkę nazwali Angelika. Jak sobie pomyślę, że w końcu mielibyśmy dziecko, i ona by się faktycznie tak nazywała, a ja bym się wtedy dowiedziała dlaczego... Ten drań by mnie potencjalnie zniszczył emocjonalnie. A teraz... teraz mam szansę się z tego podnieść. Ale najpierw muszą być jakieś popioły, żebym się odrodziła jak ten mityczny feniks...

– Czupakabra – podsunęła Celina.

– Czupakabra nie wygląda! Nie będę wyłazić z popiołów jako łysa psojaszczurka z kolcami na plecach! Jeśli już, to mogę przemykać jak Wielka Stopa w lesie, noszę czterdzieści jeden i mam zarąbiste włosy, nawet pasuje!

– Dobra, czyli odrodzisz się jako Big Foot, tylko musisz mieć odpowiednie warunki psychologiczne, kumam. Dobra, możemy kontynuować i dzwonić do Krzysia.

Matylda poderwała się z krzesła i rzuciła do flaszek.

– Czekaj, najpierw wymieszam drinki.

*

Krzysio Makowiecki informację, że ma już, teraz, przez telefon przeszkolić Iwonę z technik konstruktywnego zrywania z możliwością zamiany na konstruktywny plan naprawczy związku, przyjął zaskakująco spokojnie. Nic dziwnego, skoro tym razem pomoc Celinie nie oznaczała pętania się wieczorem po potencjalnych miejscach zbrodni, a ograniczała się jedynie do wysłuchania trzech kobiet, z których jedna próbowała mu wyjaśnić, o co jej chodzi, dwie pozostałe zaś, kierowane najszczerzą chęcią pomocy, co chwila wpadały jej w słowo.

Skończyło się na tym, że Krzysio zaczął Borkowskiej dyktować, co ma mówić. Szło bardzo powoli, bo każde zdanie było rozbierane na czynniki

pierwsze przez Celinę i Matyldę.

– Co do tej pory mamy? – spytała Mati.

Iwona sięgnęła po kartkę, odchrząknęła i zaczęła czytać.

– Tadeuszu, przez ostatnie dziesięć lat łączyła nas, jak sądziłam, miłość, oddanie i lojalność, przed- i poślubna. Niestety sobotnie wydarzenia wzbudziły we mnie obawę, że było to jednostronne. Przeżyłam ogromny wstrząs, gdy zorientowałam się, że nasz związek i nasza miłość zostały zbudowane na kłamstwie z twojej strony. To kłamstwo postrzegam jako zdradę fundamentów, na których zbudowaliśmy swoje wspólne życie. Co więcej, planowana przez nas przyszłość też została przez ciebie skażona tym kłamstwem...

– Dalej uważam, że to jest dobry moment, żeby go zapytać, co on, kurde, miał na myśli – wtrąciła Celina.

– ...ponieważ chciałeś nasze dziecko nazwać imieniem kobiety, wobec której, jak podejrzewam, wciąż żywisz i przez cały czas trwania naszego związku żywiłeś uczucia. Odbieram to jako afront wobec mnie, jako kobiety, twojej żony i potencjalnej matki twojego potencjalnego dziecka. Te rzeczy sprawiają, że podaję w wątpliwość wszystko, co nas łączy, i zadaję sobie pytanie, co nasze wspólne życie i nasza przyszłość są warte, dla mnie i dla ciebie. Nie mogę teraz udzielić sobie odpowiedzi na te pytania, ale muszę ją w sobie odnaleźć i ty też musisz to zrobić. Dopiero gdy oboje będziemy wiedzieli, czego naprawdę chcemy i co naprawdę ma dla nas wartość, będziemy mogli pójść naprzód. Może razem, a może osobno, lecz to, jak będzie wyglądała nasza droga...

– To jest mocne – westchnęła z podziwem Matylda. – Krzysiek, jesteś artystą, jeśli znowu się zejdziesz z Sebulą, to na pewno przed zerwaniem do ciebie zadzwonię.

– Jakbyś tak zrywała z Sebulą, tobyście się potem nie schodzili – mruknęła Celina.

– Ej!

– Nie zmieniajmy teraz tematu, skupmy się na Iwonie. Będzie musiała jeszcze to Tadeuszowi przeczytać. Ale chyba rano...

– Jakie rano, lepiej teraz!

- Jest dwudziesta trzecia!

- Jeśli nie odbierze, to nawet lepiej, nagra mu się na pocztę i nie będzie musiała z nim rozmawiać!

- To jest genialny pomysł - stwierdziła Iwona. - Dawajcie, doszlifujemy jeszcze końcówkę, akurat będzie dwudziesta trzecia trzydzieści, zadzwonię i się nagram!

Rozdział 16

– „Nie będę twoją koleżanką z wojska!” – ryknęła Anatola, szykująca się właśnie do porannego wyjścia z psem. – „Nie będę z tobą kradła koni!”

Matylda gwałtownie poderwała się na kanapie. Celina złapała pierwszą lepszą poduszkę i próbowała nią zakryć głowę, uszy i całą siebie. Iwona, przyzwyczajona do porannego repertuaru, otworzyła oczy. Wszystkie trzy spoczywały na różnych meblach w salonie Borkowskich. Na stoliku stały puste szklanki i miska z chipsami, a obok niej rozlewała się kałuża z roztopionych lodów czekoladowych. Sztuczne oczy wypchanych dzikich zwierząt spoglądały na to pobojuwisko z potępieniem, a nawet pogardą.

– Ciociu! Litości! – jęknęła Iwona.

– Nie ma litości – zapewniła ją Anatola. – Maciej właśnie wyjeżdża po Tadzia, musicie się zebrać z mebli na parterze, bo gdzie indziej go z tą złamaną girą wsadzimy? I okna od razu otwórzcie. Chodź, Czosek, bo się samym powietrzem upijesz, załatwimy raz-dwa co trzeba i będziemy panie wspierać i reanimować. „Bo! Ja jestem Wenus, a ty piana morska! Ferment, z którego muszę się wyłonić, się wyłonić!”

Zamek w drzwiach wyjściowych zgrzytnął i odciął je od dalszej części koncertu.

– Rany, co to było? – jęknęła Pawłowska.

– Jakiś oldskulowy przebój. Ona tak codziennie pod prysznicem zawodzi, jak mantrę – westchnęła Iwona.

– Serio? Ciotka jest zajebista. Nie mówię, że powinnaś sobie zostawić męża tylko po to, żeby ci powinowata została, ale chyba będę jej fanką. Ma młodocianych kochanków, takie mantry zapodaje...

– Nie – zaprotestowała Celina. – Zostaw Tadeusza i znajdź sobie jakiegoś miłego gościa, który ma miłą, cichą ciotkę. Może taką z zakonu? Ze ślubami milczenia?

- Neeee! Żadnych ciotek z zakonu, zostaw sobie Anatolę, nawet jeśli Tadeusza na kogoś wymienisz. Ale jeśli będziesz zmieniała, to na takiego, który się zdrabnia.

- Co?

- Zdrabnia się. Nie można ufać ludziom, którzy upierają się przy niezdrabnianiu - oznajmiła Mati.

- To jakaś nowa teoria?

- Owszem, ale zamierzam ją wdrażać. Zobacz, Areczek się zdrabnia i jest spoko.

- Na policjanta mówią Tomek - wtrąciła Iwona.

- Widzisz, stróże prawa się zdrabiają. A twój Jan...

- Janek - poprawiła Celina. - Zdrabnia się. Tadeusz też się zdrabnia, tylko rządziej.

- Za rzadko! - Matylda z lekkim trudem osiągnęła pion. Rozejrzała się po salonie. - Dobra, wstawajcie. Iwonka, rób te swoje czary przeciwkacowe, Celina, mów, od czego zacząć.

- Nie chcę - jęknęła Borkowska. - Nie chcę żadnych czarów, chcę pozostać tutaj i nie pamiętać, co się w ogóle wczoraj działo.

- A chcesz, żeby twój mąż, głupi Tadeusz, wszedł do domu i od razu się kapnął, że wczoraj piłaś z rozpacz, że on woli Angelikę?

Iwonę natychmiast spionizowało. Mało tego, sięgnęła do Celki, złapała ją za ramię i przemocą ściągnęła z fotela.

- Nie chcę. Ruchy, Celina, mamy maksymalnie godzinę. Ruchy!

*

- Idź się robić na bóstwo - zarządziła po dwudziestu minutach Celina, już w miarę przytomna, głównie dzięki kolejnym kubkom kawy, podsuwanym przez ciotkę. Poza zapewnieniem napoju życia Anatola nie kiwnęła nawet palcem, głaszała tylko Czoska i piła swoje cappuccino.

- Ale jeszcze jest tyle do zrobienia!

- Celka dobrze mówi - wtrąciła się ładująca zmywarkę Matylda. - My ogarniamy dom, ciotka głaszcze psa i kieruje pracami, a ty się

doprowadzasz do takiego stanu, żeby Tadeuszowi szczęka opadła! Najlepiej, gdybyś zdążyła z metamorfozą w opcji glamour...

Nowacka popukała się w czoło.

– Jak ty chcesz z niej zrobić opcję glamour, skoro ona tak wygląda na co dzień?

– No fakt. To musiałyby coś radykalnego zrobić... O, mogłabyś ściąć sobie włosy na zapałkę i być taką żyletą. To nawet maszynką w łazience dasz radę... – rozmarzyła się Matylda.

– Pogięło cię? – oburzyła się Iwona. – Wiesz, ile za doczepy dałam?

– Ale to byłby nowy początek! Wiesz, nowa ja, nowe życie, jak w filmie. W filmach zawsze zaczynają od zmiany fryzury!

– Bo to najłatwiejsze – odpowiedziała jej Celka. Dopiła trzecią kawę i poszła do salonu szykować posłanie dla wypadkowicza.

– Właśnie. Plus te laski z filmów nie mają jaj, żeby żyć i być nową sobą w starej skórze!

– Jaja są passé, mów o jajowodach albo coś. A teraz to w ogóle idź i odpicuj starą skórę. No już. – Matylda prawie siłą wepchnęła Iwonę na schody.

Borkowska odpuściła protesty, w końcu obie przyjaciółki miały rację. Błysk w oku byłego... wróć, aktualnego – bezcenny. Poprzedniego dnia patrzyła na Angelikę i widziała gwiazdę. Teraz miała pół godziny, żeby zrobić gwiazdę z siebie i to w trochę niesprzyjających, skacowanych okolicznościach.

I zdecydowanie chciałyby mieć tylko takie problemy i wyzwania w życiu.

Akurat kończyła podkręcać lokówką włosy, kiedy dobiegło ją z parteru wołanie Matyldy.

– Już są!

Iwona spojrzała w oczy swojemu odbiciu, wzięła głęboki wdech i poszła stawić czoła temu samemu światu, który się skończył niecałą dobę wcześniej.

Świat, w osobie Tadeusza, wkraczał właśnie do domu. Borkowski, postawny blondyn, metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, wspierał się na kuli i na swoim koledze Maćku, metr sześćdziesiąt dziewięć. Musiał tak robić, bo lewą nogę miał w szynie. Poruszał się półkrokiem posuwistoscaczącym, który nie przypadł do gustu Czoskowi. Powrotowi pana domu towarzysza krótka fanfara jazgotu, który zaraz ucichł – pies wciąż uważał, że rozsądniej jest chować się za ludzkie nogi, niż stawiać czoła wrogom. Anatola zaraz zresztą porwała kundla na ręce.

– Moje biedactwo, nie ma się czego bać, to tylko Tadzik. Zaraz ci przysmaczek dam z krewetką albo z robaczkami, a Tadzia zapakujemy do pokoju i będziesz miał znowu dom dla siebie.

– Też się cieszę, że cię widzę – powiedział Tadeusz, który wyraźnie spodziewał się cieplejszego przyjęcia przez krewną. – I nieźle się czuję, tylko nogę mam trzymać w górze...

– Wszystko wiem. – Anatola zbyła go machnięciem ręki. – Maciej mi zdawał relację na bieżąco, a resztę to już wiem od Iwonki.

Dezaprobata w głosie ciotki wystarczyłaby do sprowadzenia na Agregatową kolejnej epoki lodowcowej. Matylda, która starała się dyskretnie wyglądać z kuchni, niemal zakwiczała z zachwytu, powstrzymała ją tylko dłoń Celiny, brutalnie zakrywająca jej usta.

Tadeusz zarejestrował dźwięk, ale za plecami Anatoli dostrzegł najpierw nie drzwi do kuchni, lecz schody i stojącą na nich Iwonę.

Borkowska wyglądała obłądnie, sama była to skłonna przyznać. Nie wiedziała, czy to bardziej zasługa maseczek, plastrów pod oczy, zimnej wody lanej z prysznicą na zmianę z ukropem czy kostek lodu z drinków, którymi w nocy, jeśli ją pamięć nie myliła, Matylda pracowicie okładała jej zapuchnięte od płaczu oczy, mrużąc coś o okładach z tequilli i granatu.

Z pewną satysfakcją przyjęła fakt, że choć jej mężowi szczeka nie opadła – w końcu tak odstawioną żonę widywał na co dzień – to coś mu w oku błysnęło. Opad żuchwy zaliczył za to Maciek, któremu plecak Tadeusza niemal wypadł z rąk.

Borkowski puścił przyjaciela i wspomagając się kulą i ścianą, w dwóch susach znalazł się u stóp schodów, gdzie wykonał dziwny wygibas. Być może chciał się rzucić kolana, uniemożliwiła mu to jednak noga w szynie. Skończyło się na półzwisie na barierce i oparciu stopki kuli o przeciwległą ścianę z takim impetem, że aż zleciał łeb lisa.

– Iwona! Jestem idiotą! – krzyknął Tadeusz, nie zważając na publiczność za swoimi plecami.

Gdyby Borkowska była sędzią na zawodach, to właśnie podnosiłaby tabliczkę z maksymalną liczbą punktów dla zawodnika. Chociaż nie, może i zasłużył na dziesiątkę za autorefleksję, ale zero należało mu się za odkrycie tego, o czym wszyscy już wiedzieli.

– To w tej chwili nie jest żadna niespodzianka – zapewniła go.

Matylda znowu niemal parsknęła śmiechem i znowu z pełnym poświęceniem powstrzymała ją przed tym Celina. Pawłowska, najwyraźniej wątpiąc, czy da radę się opanować, zajęła strategiczne miejsce za plecami Nowackiej i uczepliła się rękawa jej bluzki, którego użyła jako knebla. Czosek, wyraźnie podekscytowany tym, że ktoś tu źuje odzież, wychynął z kuchni i zadarł łebek, jakby próbował oszacować, czy Celka ma jeszcze jakieś części odzieży do potarmoszenia.

Maciek strategicznie schował się za postawionym na ziemi plecakiem, uczepony stelaża jak nieletnia małpiatka matki. Strategicznie ustawił się tuż obok drzwi, najwyraźniej gotów przy pierwszej okazji czmychnąć z tej świątyni niezręczności. Na jego nieszczęście ucieczkę uniemożliwił mu Jan, który właśnie stanął w drzwiach, równie elegancki jak Iwona. Niósł papierową torbę, z której płynął aromat świeżych wypieków, i cztery papierowe kubki na jednorazowej tacy. Iwona była absolutnie pewna, że w jednym z tych kubków jest jej migdałowe latte, w drugim jakiś obrzydliwy ulepek z bitą śmietaną dla Mati, do tego czarna z odrobiną mleka dla Celki i jak nic frappe dla Anatoli. Skubaniec na pewno wyczał już nawet ulubioną kawę ciotki i teraz bezczelnie punktował – sądząc po tym, że Anatola węszyła niemal jak Czosek, to Zbenda trafił same dziesiątki.

Tadeusz pozostawał kompletnie nieświadomy tego, co działo się za jego plecami, wpatrywał się w Iwonę jak w ósmy, dziewiąty i jeszcze kilka następnych cudów świata.

– Wiem! Iwona, wiem, że dałem ciała. To, co mówiłaś, te wiadomości, które mi nagrałaś, to naprawdę... Iwona, to było coś. Słuchałem tego całą noc, pielęgniarzka mnie zaczęła gonić, że nie śpię, ale odsłuchiwała potem ze mną i powiedziała, że jesteś genialna. Potem oczywiście, logicznie, doszła do wniosku, że ja z kolei jestem głupkiem niegodnym ciebie, i miała rację!

Borkowska naprawdę, naprawdę chciała sobie przypomnieć, co się znalazło w tej przemowie skomponowanej przez Krzysia. Przygotowali tyle wersji, że trochę jej się mieszało, co w końcu zimno i z nienaganną dykcją wyrecytowała do telefonu, a na notatki nie miała szans spojrzeć. Matylda w szale sprzątania i ukrywania śladów po „wieczorku rozpaczny”, jak go nazwała, wrzuciła wszystkie kartki do niszczarki.

– No to akurat też zero zaskoczenia, ale dobrze mieć walidację zewnętrzną.

Pawłowska wydała z siebie zduszone kwiknięcie, prosto w ramię Nowackiej. Celina, wyraźnie poirytowana, gestem dała znać Janowi, żeby podał jej torbę z wypiekami, wygrzebała z niej solidnych rozmiarów muffina i bezceremonialnie wepchnęła przyjaciółce w usta. Czošek, zainteresowany okruszkami, zaczął im węszyć wokół stóp.

Maciej skorzystał z okazji i uprzejmie podsunął Zbendzie plecak, prosząc o podtrzymanie stelaża. Ledwie Jan to zrobił, kolega Tadeusza wymamrotał słabo słyszalne pożegnanie, pomachał ręką Iwonie i uciekł.

– Co? – Tadeusz zarejestrował, że coś zaszło, ale poświęcił temu może milisekundę uwagi, gdyż skupiał się tym, kto wreszcie był najważniejszy. – Iwona, całą noc nad tym myślałem i ja wiem, czego chcę! Chcę tylko ciebie, chcę tylko naszego życia i wszystko, wszystko zrobię, żeby cię o tym przekonać! Tylko ty się liczysz. Wczoraj mi odbiło, sam nie wiem co, jakiś głupi sentyment. Tak się w drodze zgadaliśmy o czasach szkolnych, wiesz, głupie wspominki, każdy wtedy myślał, że jest przyszłym królem świata, piwo lepiej smakowało, trawa była bardziej zielona, muzykę lepszą robili... Wiesz, Iwonka, jak to jest, nostalgia

poszła. I pomyślałem sobie o Angelice. Masz rację, ta pielęgniarka powiedziała, że jesteś szlachetna i rozumiesz siostrzeństwo. Może nie do końca łapię, o co w tym chodzi, ale ona ma rację co do ciebie, a ty miałaś rację co do mnie i Angeliki. Byłem szczył bez kręgosłupa, ale teraz już go mam, serio, prześwietlili mnie w szpitalu i jest, mogę ci zdjęcie pokazać, dali mi na płytce! Dwie kopie, bo powiedziałem, że jedną muszę mieć dla ciebie, żebyś zawsze wiedziała. Iwona, wtedy nie miałem tego kręgosłupa i zachowałem się jak ostatni dupek, ale nie mogę tego żałować, bo gdyby się potoczyło inaczej, to nie wiem, czy poznałbym ciebie i czy bylibyśmy teraz małżeństwem. A, kocie, to jest najcenniejsze, co w życiu mam!

Stał tak niczym wielki, pluszowy miś w survivalowych ciuchach, ze szczerością wypisaną na przystojnej twarzy, i wygłaszał tę piękną przemowę z całego serca. Była tak poruszająca, że Iwona zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem ta pielęgniarka z oddziału ratunkowego nie pomogła mu jej napisać. Tadeusz umiał w kodeks spółek handlowych, w głębokie emocje niekoniecznie.

No i zostawał jeszcze jeden, wielki problem, którego nie dało się przemilczeć.

- A kiedy upierałeś się, że jeśli kiedyś będziemy mieli córkę, to nazwiemy ją Angelika, to ci też odbijało, tylko tak długofalowo i mniejszymi rzutami?

Tadeusz zaczął nagle przypominać otaczające go wypchane zwierzęta z panicznym wytrzeszczem. Matylda zakrztusiła się muffinem, na co Celka bezceremonialnie popchnęła ją przez korytarz do drzwi wyjściowych, jednocześnie serwując solidne klepięcia w plecy. Anatola przyskoczyła do Jana, który oddał jej dwie kawy i ewakuował się za swoją partnerką.

W domu zostali już tylko Borkowscy z ciotką i psem. Iwona pokonała kilka ostatnich stopni, przecisnęła się między mężem, jego wciąż uniesioną kulą a ścianą i dopadła ciotki. Naprawdę potrzebowała kofeiny. Jakby mało było nocnego pijaństwa i płaczu, to teraz od głupoty własnego męża zaczynała ją boleć głowa.

Wzięła od Anatoli kubek i upiła duży łyk. Migdałowe latte, tak jak podejrzewała. Irytująco idealny Zbenda nie tylko pamiętał, jaką kawę lubi Celina, lecz także jej przyjaciółki. Szkoda tylko, że nie zostawił muffinów...

Jakby pod wpływem zakłęcia drzwi się uchyliły. Jan, z tym swoim czarującym uśmiechem, trzymał w wyciągniętej ręce papierową torbę.

Iwona bez wahania przejęła wypieki.

- Dziękuję.

Skinął jej tylko głową i zniknął. Zapewne zajął się ogarnianiem Celki i Matyldy, które w przeciwieństwie do Borkowskiej nie miały chwili dla siebie, tylko od razu po przebudzeniu weszły w tryb sprzątanania i przygotowywania salonu na miejsce rekonwalescencji, bez żadnej szansy na pomyślenie, że mają kaca.

- Co tu robił facet Celiny?

Do Tadeusza najwyraźniej w końcu dotarło, że mieli towarzystwo.

- Kawę przywiózł - odpowiedziała Anatoła. - Przecież widać. Nie zmieniaj tematu, żona ci pytanie zadała. Iwonko, oddaj te ciastka, pójdę do kuchni i zostawię was samych. Niech się Tadzio tłumaczy.

Zrobiła, jak zapowiedziała, a za nią podążył Czosek.

- To jest ten nasz pies? - spytał Tadeusz.

- Pies Bartka. Dziś go ma zabrać. Ciotka ma rację, nie zmieniaj tematu i przestań może robić za ornament w przedpokoju, tu już dość ssaków wisi na ścianach, ty już nie musisz się uwieszać. Idź do salonu, masz tam przygotowane łóżko i możesz trzymać nogę w górze. I żeby było jasne. - Szturchnęła Tadeusza palcem wskazującym prosto w mostek. - Jesteś moim mężem. Jesteś oprócz tego koncertowym głupkiem, najwyraźniej w młodości miałaś braki w kręgosłupie, a obecnie dostajesz zaćmienia umysłowych i podejmujesz naprawdę głupie decyzje. Dziecko imieniem Angelika możesz sobie wybić z głowy, jakiegokolwiek dziecko i dalsze małżeństwo ze mną zostają na razie sprawą otwartą, ale wyłącznie dlatego, że cię kocham, idioto, i jak na razie miłość wygrywa z wkurzeniem. Więc przemyśl sobie dobrze odpowiedź na moje pytanie, bo będziesz mi jej musiał udzielić i lepiej, żeby była prawdziwa i z sensem. A teraz idź na kanapę i zacznij się mentalnie ogarniać, bo na razie

bardziej potrzebuję kawy i ciacha niż twoich wyjaśnień. Ale! To! Się! Zmieni!

Szturchnęła go palcem jeszcze cztery razy, po czym zamaszystym gestem wskazała drzwi do salonu.

– Dawaj na to leże. Żebym miała pewność, że się nie przewrócisz po drodze.

– Iwonka... – Tadeusz próbował zrobić do niej maślane oczy i owszem, miało to urok, ale dokładnie takie same maślane oczy robił poprzedniego popołudnia do Angeliki, więc Borkowska zamiast rozczulenia poczuła przypływ furii.

– Na kanapę i ogarniasz się.

Posłusznie przekuśtykał przez przedpokój do pośłania na rozłożonej kanapie. Któraś z dziewczyn, pewnie Celina, przygotowała nawet piramidę z poduszek, w sam raz na wsparcie nogi i uniesienie jej pod kątem co najmniej czterdziestu pięciu stopni.

– A wiesz – odezwał się Tadeusz, moszcząc się na swoim nowym legowisku – dzisiaj na fejsie zaczepił mnie jakiś gość, Mrzysztof Kakowiecki. Nie znam faceta, a on mi nagle wysłał mema z kotkiem i napisem „Jeśli ktoś ci wysłał tego kota, to znak, że musisz się ogarnąć”. Spytałem go, o co chodzi, a on mi znowu wysłał tego mema. I znowu. Mam w Messengerze chyba z dziesięć kotków, które mówią mi, że muszę się ogarnąć. A teraz ty mi mówisz dokładnie to samo i wy możecie mieć rację!

– Mrzysztof Kakowiecki? – upewniła się Iwona. – To dalej, ogarniaj się. Dziesięć kotów, absolutnie przypadkowy gość z fejsa i twoja żona nie mogą się mylić.

Rozdział 17

Anatola, zgodnie z przyrzeczeniem, wzięła na siebie ogarnianie Tadeusza. Pilnowała jak Cerber, żeby nie zawracał Iwone głowy, nie wahała się nawet zagrać kartą biednej, starej krewnej spragnionej odnowienia więzi z bratanikiem. W rezultacie po południu Borkowski był już całkiem nieźle wciągnięty w fabułę *Sułtanki*, chociaż jeszcze trochę się gubił, gdy ciotka próbowała mu coś wyjaśnić. W głowie Anatoli Kösem funkcjonowała bowiem w tej samej rzeczywistości równoległej co ojciec Mateusz i w zasadzie należało się dziwić, że dobrotliwy ksiądz nigdy nie zajechał swoim rowerem na dwór sułtana. Może miał pod górkę – ciotka przysięgała, że Mateusz jeździ rowerem zawsze tylko w dół. Tadeuszowi brakowało danych, żeby z nią polemizować, ale zważywszy, że czekało go kilka tygodni w gipsie – miał realną szansę nadrobić braki w edukacji serialowej z aktywnym udziałem ciotki.

Ten aktywny udział nie byłby możliwy, gdyby ciotka nie przedłużyła pobytu na Agregatowej. Zrobiła to za entuzjastyczną zgodą Borkowskiej. Zapewniła Iwonę, że już ona ogarnie Tadzia, miglanca jednego, a jeśli tylko okaże się, że państwo domu potrzebują chwili dla siebie, czy to na rozmowę, czy to dla odnowienia żaru małżeńskiego ognia, to ona zaraz się zmyje.

Iwona nie miała ochoty na żadne odnawianie żarów, metaforycznie rzecz ujmując, bo ktoś – czytaj mąż – polał jej węgle wodą własnej głupoty. A każdy wie, że mokry węgiel się łatwo nie zapala, schnięcie zaś trwa i zaczyna się od takich czynności jak błaganie na kolanach, posypywanie głowy popiołem, przynoszenie w zębach ulubionej kawy i innych ekspiacji.

Na razie Tadeusz wyrażał czynny żal tylko werbalnie, z racji złamanej nogi na padanie i przynoszenie nie było co liczyć, posypywanie głowy

byłoby możliwe tylko gdyby Anatola dostarczyła mu popiół z ogródkowego grilla, a na to nie wpadła.

W związku z tym, podczas gdy ciotka i bratanek budowali więź i rozwijali wspólne zainteresowania, Iwona w kuchni popijała herbatę z melisą i podkarmiła Czoska. Pies, jak na zwierzę wierne, szlachetne i inteligentne przystało, odniósł się do nieznanego mu mieszkańca domu nieufnie i nie dał się przekupić nawet kokardką z mięsa kaczki. Omijał Tadeusza z daleka, ku rozpaczy Borkowskiego i ku cichej satysfakcji jego żony.

Bartek zapowiedział się na wieczór po odbiór psa i Iwonie było nawet trochę szkoda, że niedoszły świadek koronny je opuści. W sumie fajny był, cichy i wdzięczny.

– Też mi go będzie brakować. Może najwyższy czas, żeby w tym domu pełnym martwych zwierzątek zamieszkało jakieś żywe – rzuciła Anatola, szykując lunch dla Tadeusza.

– I potem się nie będziemy mogli rozwieść ze względu na psa – prychnęła Iwona. – Nie mówię, że będziemy się rozwodzić, ale teraz jest kryzys i to się może, realistycznie patrząc, różnie skończyć. Kryzys to nie jest dobry moment na dokładanie ekstra elementów do układanki: żadnych zwierząt, dzieci, przeprowadzek czy innych istotnych zmian.

– Jaka ta dzisiejsza młodzież jest rozsądna – stwierdziła z niesmakiem Anatola, zabrała tacę i wróciła do Tadeusza i sułtanki.

Celina i Matylda wykazały się taktem i dyskrecją (albo po prostu były zbyt skacowane) i przez resztę dnia ograniczyły się do mało natarczywego esemesowania słów wsparcia i zapytań o sytuację.

A sytuacja była patowa. Iwona czuła się urażona i oszukana, Tadeusz przy każdej okazji zapewniał ją, że jest jedyną istotną kobietą w jego życiu, a ona zastanawiała się, kiedy – i czy w ogóle – mu znowu uwierzy.

Po południu zabrała Czoska na spacer, byle wyjść z domu, odetchnąć świeżym powietrzem i na chwilę zapomnieć, że ma bajzel w życiu. Potrzebowała chwili spokoju.

– Pani Iwono! – Wołanie Agaty Dąbrówki ledwie przebiło się przez jazgot, jakiego Pufcio narobił na widok Czoska. Sąsiadka w ogóle się tym

nie przejęła, złapała swoje kudłate zwierzę pod pachę i dopadła Borkowskiej. – Pani Iwono, czy to prawda? Nie było morderstwa, jesteśmy wszyscy bezpieczni?

Iwona nie miała wyjścia, podniosła Czoska i spróbowała się precyzyjnie obok spragnionej wieści Agaty i spragnionego krwi pekińczyka.

– Ciocia pani nie mówiła? To był straszny wypadek.

– No tak, mówiła, ale tyle policji, tyle strachu i to wszystko, bo pan Krystian chciał sobie sztangę podnieść?

– Hantel – poprawiła Iwona. – Nie wyszło mu.

– Zabić się przy budowaniu tężyzny fizycznej. Mężczyźni są do kitu – oznajmiła autorytatywnie Agata.

– Czemu? Ja lubię – odpowiedziała odruchowo Borkowska. – To znaczy z umiarem i własnego męża, resztę to z daleka i wyłącznie z pobudek estetycznych.

Dąbrówka przełożyła wciąż miotającego się psa pod drugą pachę i zbyła zastrzeżenia Iwony niecierpliwym machnięciem dłoni.

– Wiemy, wiemy, już wszyscy wiedzą, poza Ziębicką. Ona twardo rozpuszcza plotki. Nie dość, że miała pani romans, to jeszcze pani wykończyła kochanka, żeby mąż się nie dowiedział. Słyszałam wczoraj w warzywniaku. Ziębicka się boi, że będzie następna, bo jako jedyna ma dość odwagi cywilnej, żeby mówić prawdę.

Iwonie znowu zawiesiło się oprogramowanie, ale tylko na chwilę. Kilka dni ekstremalnych szoków i proszę, człowiek się przyzwyczajał.

– Ona ze mnie próbuje zrobić seryjną morderczynię?

– Nie, seryjną to by pani była, jakby pani seryjnie wrywała facetów, a potem ich mordowała. Musi być wzór. Pan Machajko mi opowiadał, on słucha tych wszystkich podcastów, to się zna. Coś by musiało pasować... albo typ ofiar, albo narzędzie zbrodni...

– Pani Ziębicka uważa, że ją dopadnę z hantlem? Czy ja naprawdę nie mam nic lepszego do roboty?

– No ja myślę, że pani ma – zapewniła ją natychmiast Agata. – Ale weź to wytłumacz takiej plotkarce... Cicho, Pufcio, cicho, już idziemy...

Odeszła, unosząc ze sobą puchaty, jazgoczący podnózek.

Iwona poczuła, że zaczyna jej pulsować żyłka pod okiem. Serio, tego już było za dużo. Trup w ogródku obok, wałkowanie jej pseudoromansu przez policję i pół ulicy, wypadek Tadeusza i jego oburzające przywiązanie do byłej, a teraz jeszcze to? Próba zrobienia z Iwony seryjnej lub po prostu wielokrotnej morderczyni?

– Nie wiesz, czy Krystian miał jeszcze jakieś hantle w ogródku? – spytała retorycznie Czoska.

Pies, który po zniknięciu Pufcia odzyskał trochę rezonu i wyraził chęć stanięcia na własnych łapach, teraz zadarł łebek i całym sobą zaprezentował pełne niezrozumienie problemów opiekunki. Borkowska westchnęła i ruszyła z nim w stronę Nefrytowej.

Gdy mijala ogródek Magdy, sąsiadka wychyliła się przez żywopłot.

– Będiesz się czaić na tę Ziębicką? – zainteresowała się. – Słyszałam, co pani Agata mówiła.

– Nie, no skąd. Myślałam tylko, że skoro w okolicy grasuje seryjny morderca, to lepiej mieć jakąś broń. A takim hantlem można napastnika na przykład ogłuszyć. W obronie własnej – uzupełniła. – Do głowy by mi nie przyszło zaczynać od razu od morderstwa. Tu, na Agregatowej, lepiej być przygotowanym...

Obie parsknęły śmiechem.

– Macie teraz psa – zauważyła Magda. – Może robić za alarm.

– To jeszcze tylko dzisiaj. Bartek go wieczorem zabiera. Poza tym to nie jest pies obronny.

Obie przyjrzały się krytycznie Czoskowi. Czošek odwzajemnił im się spojrzeniem smętnym i żalonym.

– Kurczę, będę za nim tęsknić – wyrwało się Iwonie.

– Możesz go chyba odwiedzać? Albo Bartek przyjdzie z nim w odwiedziny.

– Średnio z tym będzie. Bartek jest w porządku, ale rozumiesz, to były przyjaciółki. Obyło się bez dramy, wszystko kulturalnie, ale nie utrzymujemy kontaktów towarzyskich, odkąd się rozstali.

– Jasne. – Magda pokiwała głową. – Miłego spaceru.

– Dzięki. – Iwona dała się poprowadzić Czoskowi w ołtaszyńskie uliczki, przekonując siebie samą, że wcale nie ma ochoty się rozplakać, bo jej czworonożny lokator w końcu trafi w ręce swojego opiekuna.

Udało jej nie rozplakać ani podczas spaceru, ani kiedy Bartek wieczorem wpadł z wielką bombonierką i milionem podziękowań, a potem zasiedział się nieprzyzwoicie z Tadeuszem, przejęty jego obrażeniami.

Iwona zostawiła ich samych i poszła do łóżka z pudełkiem czekoladek. Teoretycznie jej tygodniowy urlop się kończył i powinna wrócić do pracy, ale wobec morderstw, wypadków i kryzysów z czystym sumieniem wzięła pierwszy w całej swojej karierze zawodowej urlop na żądanie. Wyjadła wszystkie czekoladki i zasnęła zapłakana z mocnym postanowieniem, że nazajutrz nie wstanie z łóżka aż do południa.

*

W poniedziałek Iwona obudziła się o szóstej rano. Jej organizm, po latach tresury, miał najwyraźniej gdzieś postanowienia. Dzień zaczynał się o szóstej i już.

Skoro już wstała, to mogła zrobić coś dla siebie, szczególnie że trenera Józka nie widziała od dawna, a przez ostatnie kilka dni karmiła ciało i duszę alkoholem, słodyczami i golonką.

Iwona wyciągnęła dres, fioletowy, na cześć Anatoli, podłączyła słuchawki do telefonu i wyszła pobiegać. Właściwie to w planie miała rozsądny trucht z interwałowym podbieganiem, ale to nie brzmiało aż tak dobrze.

Anatola i Tadeusz jeszcze spali, wyszła więc na palcach i cicho zamknęła za sobą drzwi. O tej porze było już jasno, ale nikt jeszcze się nie kręcił...

– Iwona!

Serce jej podskoczyło nie do gardła, lecz do uszu, i zaczęło tam nerwowo trzepotać. Borkowska bardzo, bardzo powoli wypuściła powietrze z płuc i odwróciła się do sąsiada.

– Zbyszek! Cześć, ty tak rano na nogach?

Zbyszek Rybacki, były mąż Magdy spod jedyńki i aktualny kochanek-rezydent Laury spod siódemki, nie miał aparycji łamacza serc niewieścich. Był, najkrócej mówiąc, przeciętny. Przeciętnego wzrostu, przeciętnej tuszy, z twarzą, która nie pozostawała na długo w pamięci. Całkowicie zwyczajny czterdziestokilkulatek, który po dwudziestu trzech latach małżeństwa nagle odkrył, absolutnie przypadkiem, że lepiej mu będzie dwa domy dalej, u ciemnowłosej sąsiadki.

– Wczoraj wróciłem i aż spać nie mogłem. To jest szokujące, co tu się działo, szokujące. – Pokręcił z oburzeniem głową. – Co tu się w ogóle wyprawia w tej okolicy, to nie do pojęcia, strach tu dziecko chować.

Wspomniane dziecko liczyło sobie aktualnie lat dwadzieścia dwa i chowało się, owszem, jak tylko mogło, przed ojcem i jego flamą. Zuzanna zwykle wychodziła z domu rano, wypełniała dzień studiami i pracami dorywczymi, byle tylko unikać Zbyszka, który próbował ją przekonywać, że nie ma nic lepszego niż rodzina zintegrowana i że koniecznie powinna zaprzyjaźnić się z Laurą, przecież mają ze sobą tyle wspólnego.

– Wstałem rano, pomyślałem, że skoczę po świeże bułki, pójdę do Zuzki, zjemy sobie śniadanie, pogadamy sobie o tym, co się działo.

– Dobry plan – powiedziała nieszczerze Iwona. Wiedziała, że Magda nigdy nie stanęłaby na drodze kontaktów Zbyszka z córką, ale na pewno nie byłaby zachwycona widokiem eksmeża o poranku we własnej kuchni. O ile w ogóle już wstała.

Jak na komendę, drzwi domu z numerem jeden, doskonale widoczne z miejsca, gdzie stali Iwona i Zbyszek, szcęknięty, uchyliły się i wymknął się przez nie Bartek. Włosy miał lekko zmierzwione, policzki zarumienione, koszulę wymiętą. Wyglądał na człowieka głęboko zadowolonego z życia. Na smyczy prowadził Czoska.

Zbyszka Rybackiego aż zatchnęło.

– Co też... On jest za stary dla Zuzki, z dziesięć lat od niej starszy jak nic! To jest oburzające, jak Magda w ogóle może pozwalać...

Magda, również rozczochrana, wyrzała przez uchylone drzwi i podała Bartkowi telefon. Radecki odebrał go, a razem z nim długi, namiętny

pocałunek. Potem odszedł niemal w podskokach, tak zaaferowany własnym szczęściem, że nawet nie zauważył, że ma widownię. Czosek zauważył, ale jako zwierzątko pasywne merdnął tylko raz ogonem i podreptał za swoim panem.

Iwona nie mogła sobie odmówić spojrzenia na Zbyszka Rybackiego. Gapił się na drzwi, które zamknęły się za jego roznegliżowaną, chyba-jeszcze-oficjalnie żoną z taką intensywnością, że zapomniał mrugać.

- Widzisz, on nie do Zuzki - pocieszyła go bezczelnie Borkowska. - Nie masz się czym martwić.

Zbyszek nie odpowiedział, bo najwyraźniej zatchnęło go ze szczęścia, że jego córka nie spotyka się z facetami starszymi od siebie o dychę.

- Pozdrów Laurę - pożegnała się uprzejmie Iwona. Wetknęła słuchawkę w ucho, odpaliła muzykę i w całkiem dobrym humorze rozpoczęła bieg.

Rozdział 18

– A ten to kto? – zainteresowała się koło południa Anatola, wyglądając przez okno.

Były w kuchni obie – ciotka szykowała obiad dla Tadeusza, a Iwona, z jednej strony zadowolona, że nie musi skakać wokół emocjonalnie niewiernego rekonwalescenta, z drugiej zaś wkurzona niczym miś, któremu Złotowłosa bezceremonialnie wpakowała do kuchni i zaczęła wszystko przestawiać, patrzyła jej na ręce.

Zbyszek Rybacki przez cały dzień kręcił się po ulicy – coś naprawiał w ogródku, szedł do sklepu, wracał, dłuższą chwilę grzebał pod otwartą maską swojego auta i spoglądał na nie w zadumie, słowem – starał się ze wszystkich sił mieć widok na drzwi wejściowe domu byłej żony.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam o sąsiedzie spod jedyńki, który się wyniósł do sąsiadki spod siódemki?

– To on? I czemu tam tak stoi?

– Pies ogrodnika mu się włączył. A tak przy okazji, wiedziałaś, że Magda spod jedyńki i Bartek mają się ku sobie?

– Mogłam coś zauważyć... – przyznała Anatola.

– I pary nie puściłaś? Foch! Plotkujesz z połową ulicy, a ze mną nie?

Ciotka wzruszyła ramionami.

– A o tym, że zaczynają chodzić plotki, że morduję seryjnie, też nie mogłaś mi wspomnieć?

– Iwonko, o tobie zawsze będą chodzić plotki. Jesteś młodą, atrakcyjną kobietą, robisz karierę, masz przystojnego męża, życie ci się udało. O takich plotkuje się najlepiej.

Borkowska przygryzła wargę.

– W tej chwili wcale nie czuję, że tak wszystko mi się udało...

Ciotka poklepała ją po ramieniu.

– Iwonko, rzecz nie w tym, czy ci się udało. Najważniejsze to wyglądać na kobietę sukcesu, a to masz opanowane do perfekcji. Nikt nie zagląda głębiej, nikt się nie zastanawia, co kryje się pod powierzchnią. Ludzie rzucają okiem, wyciągają wnioski i potem zazdroszczą tego wszystkiego, co powierzchowne właśnie. Myślałam, że wy, młodzi, wiecie o tym najlepiej. W końcu na tym chyba polegają te całe internety?

Borkowska nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo zabrzączał dzwonek przy furtce. Przez kilka ostatnich dni niespodziewani goście zaczęli jej się nieprzyjemnie kojarzyć. I słusznie, bo tym razem przed domem znowu stali sierżant i podkomisarz. Chociaż jedno w tym było pozytywne – Królewiaak dumnie dzierżył w dłoni tłuczek Iwony.

– Przyjechaliśmy tylko oddać! – wykrzyknął już od furtki, wyciągając przed siebie narzędzie w wyprostowanej ręce, jak przedszkolak kwiatek dla pani.

– Iwonko, kto przyszedł?! – wydarł się z salonu Tadeusz.

– Iwonko, zaprosz panów – syknęła zza pleców Borkowskiej Anatola.

– Po co? – odsyknęła kątem ust Iwona, starając się zachować przyjemny wyraz twarzy.

– Tacy mili, przystojni, czarujący chłopcy... Niech ich Tadzio pozna. – Ciotka mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Iwonie chwilę zajęło, zanim uświadomiła sobie, co sugeruje Anatola. Miała policjantami wzbudzać zazdrość męża? Po co? Dlaczego? Czy ciotka naprawdę myślała, że ona nie ma nic lepszego do roboty?

Anatola wykorzystała tę chwilę, żeby podejść do furtki i zagarnąć do ogródka nie tylko sierżanta i podkomisarza, lecz także czekającego w aucie, jak się okazało, jeszcze jednego mężczyznę.

– Ale my jedziemy na miejsce przestępstwa – protestował nieznajomy.

– Tak bez kawusi? – zmartwiła się ciotka. – Panowie paliwa potrzebują, jedną kawkę chociaż, i mojego bratanka poznać...

– Pani Iwono, pani mąż wrócił? – zainteresował się podkomisarz. – Czy mamy udawać domokrażców? Czy pani mąż wie, co tu się działo?

- Wie - odpowiedziała ponuro Borkowska, przyjmując z dłoni sierżanta tłuczek.

Nie zdążyła ocenić szkód dokonanych przez policję, bo Anatola precyzyjnie się obok niej do wnętrza domu i przechodząc, zabrała jej niedoszłe tępe narzędzie z ręki.

- Umyję to, Iwonko, nie wiadomo, gdzie policja to trzymała i kto tego dotykał. Ale zdezynfekujemy, wsadzimy na dwa cykle do zmywarki i będzie akurat na schabowe dla Tadzika. A panów kolega to komisarz? Może major?

- To nie policjant, tylko prokurator - wyjaśnił sierżant, podążający za ciotką. - Może pani pamięta, był obok, wtedy jak...

- Jak Celina lżyła pana szefa? - przypomniała sobie Iwona.

- Tak! - Zacharczyk zatrzymał się pod drzwiami, cały rozpromieniony, jakby to było najwspanialsze wspomnienie jego życia. - A co tam u pani Nowackiej? Nadal...

- Nadal żywa, nadal szczęśliwa ze Zbendą, nadal gotowa złożyć na pana skargę - wyrecytowała Iwona, wykonując przy trochę niecierpliwie gest zapraszający. Mogliby już przestać kotłować się w ogródku, tylko tego brakowało, żeby pan Machajko znów wyskoczył z za któregoś żywopłotu.

- Żadnych skarg - wtrącił idący za Zacharczykiem prokurator. Był średniego wzrostu, przysadzistym mężczyzną z fryzurą na beatlesa z czasów *Yesterday* i znaczkiem w klapie marynarki. Na miniaturce tym razem była figurka świętego z mieczem w jednej ręce i wiosłem w drugiej. - Jak mają być skargi, to jedziemy dalej.

Zacharczyk, ignorując nieuprzejmość kolegi, z emfazą dokonał prezentacji.

- Prokurator Domski, pani Iwona Borkowska.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, zapraszam.

Iwona najchętniej pozbyłaby się z życiorysu już całkiem policji, prokuratury i z rozpędu również skarbowki oraz ZUS-u, lecz najwyraźniej nie było jej to dane. Puściła wszystkich trzech przedstawicieli władzy

przodem, a sama kontrolnie rozejrzała się po okolicy. Nie zauważyła nikogo z sąsiadów, i dobrze.

Niemal w progu własnego domu natknęła się na zawalidrogę w postaci prokuratora. Stał dokładnie pod zezowatym dzikiem i wpatrywał się w niego w oszołomieniu. Podkomisarz zniknął właśnie w drzwiach kuchni, a sierżant stał pod ścianą wyraźnie zestresowany dobiegającym z salonu pokrzykiwaniem Tadeusza, który koniecznie chciał wiedzieć, co się dzieje.

– Nie uprzedziliście pana prokuratora – wytknęła Królewiaкови Borkowska.

– Uprzedzaliśmy, ale nie wierzył – przyznał sierżant, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Iwone przyszło na myśl, że może biedak chce skorzystać z toalety, ale boi się bażanta. Na jego szczęście wypchanego ptaka Anatola eksmitowała na taras.

– No wie pan co? – oburzyła się Iwona. – Mnie mógłby pan nie wierzyć, jestem postronną osobą, ale współpracownikom?

– My byśmy sobie też nie uwierzyli – westchnął sierżant. – Wie pani, taki dom z wystrojem jak u seryjnego mordercy i to we Wrocławiu, na Ołtaszynie, to jest coś.

– Kto przyszedł?! – ryknął z salonu Tadeusz.

Prokurator aż podskoczył i prawie zarył czołem w kiel dzika. Żeby uniknąć trepanacji, odchylił się gwałtownie i walnąłby dla odmiany potylicą w nos lisa, gdyby sierżant i Borkowska wspólnymi siłami w ostatniej chwili nie podtrzymali go i nie postawili do pionu.

– Tu jest niebezpiecznie! – oburzył się prokurator.

Borkowska z miejsca się poirytowała.

– Ze dwadzieścia lat to wisi i nikt jeszcze się nie nadział – mruknęła.

– Iwona! Co tam się dzieje?!

– Nic! – odkrzyknęła Borkowska. – Panowie policjanci podziwiają taksydermię!

– O, to się tak nazywa – ucieszył się Królewiaкови. – Nie mogłem sobie przypomnieć. Ale my tu nie przyjechaliśmy podziwiać... Przywieźliśmy

tłuczek!

– Interesy, wrażenia estetyczne i jeszcze kawa, czegoż chcieć więcej? – Zacharczyk, którego najwyraźniej każda najmniejsza drama przyprawiała o wyrzut endorfin, stanął w drzwiach kuchni z kubkiem. – Pani Anatola jest doprawdy kobietą wielu talentów, kawa u pań jest wyśmienita.

Wyśmienitą kawę to akurat robił ekspres Iwony, a ciotka co najwyżej naciskała guzik, ale Borkowska machnęła ręką na ostentacyjne pochlebstwa podkomisarza. Chce się podlizywać Anatoli, to proszę bardzo, niech ten jej trzeci i czwarty mąż mają konkurencję...

– Szkoda, że już nie ma rogalików Iwonki – westchnęła wyglądająca mu zza pleców ciotka. – Były wyśmienite, nie wiem, jak ona to robi, tak wyglądać, tak piec i jeszcze mieć takie dobre serce, no ideał...

Zacharczyk pracowicie kiwał głową, najwyraźniej gotów dołączyć do peanów Anatoli. Sierżant przestał nadażać za wydarzeniami i ewidentnie kombinował, jak tu na wszelki wypadek wyjść ze strefy rażenia.

Prokurator również nie załapał, co się dzieje, zawiodły go też instynkty człowieka pierwotnego ostrzegające o niebezpieczeństwie. Uwagę skupiał na trofeach w przedpokoju, niemal szorował po nich nosem, ale oderwał się na chwilę, żeby zlustrować Iwonę.

Borkowska, która nade wszystko nie znosiła być przedmiotowo omiatana wzrokiem, z miejsca znieubiła go jeszcze bardziej.

– Aż dziwne, że pani go jednak nie zamordowała – przyznał szczerze prokurator. – Mieszkając w takich warunkach... Byt kształtuje świadomość, tu serio bym się seryjnego mordercy spodziewał...

– Ja sobie wypraszam! Jestem urzędniczką bankową! Kobieta zamężną! Szanowanym filarem społeczeństwa! Przestrzegającym prawa! – Iwona się zapowietrzyła, a potem nagle skłęsała. – O kurde, moje życie jest do kitu.

– Trochę tak, ale zawsze dobrze jest myśleć pozytywnie, prawda? – podsunęła Anatola.

Zacharczyk gotów był przy smacznej kawusi nie tylko obserwować rozwój sytuacji, lecz także pracowicie dolewać oliwy do ognia.

- Co jest do kitu, pani Iwono? Proszę mi koniecznie o tym opowiedzieć.

Borkowska nie zdążyła przekierować na niego furii, bo pan domu powstał w końcu z łoża boleści i dołączył do towarzystwa.

- Moja żona nie jest żadną morderczynią! - Tadeusz stanął w drzwiach salonu. Wprawdzie miał na sobie stary dres i skakał na jednej nodze, ale wciąż imponująco górował nad wszystkimi zgromadzonymi. - Nikt nie będzie jej oskarżał, nikt!

- Ktoś oskarża panią Iwonę? - zainteresował się od razu entuzjastycznie podkomisarz. - O co? Pani Iwono, co tym razem? Następne morderstwo? Może kolejny romans?

- Ro... - Tadeusza lekko zatchnęło. Spojrzał na Iwonę niczym zbity szczeniak, a potem nagle jakby coś w nim pękło. - Proszę w to nie mieszać romansu mojej żony! To jest nasza prywatna sprawa i ona miała na pewno dobre powody! To wcale nie oznacza, że kogokolwiek zamordowała, to są sprawy w ogóle od siebie niezależne! Iwona nie miała z żadną śmiercią nic wspólnego, jeśli ktoś tu miał motyw, to ja!

Domski, niższy od Tadeusza o dobre trzydzieści centymetrów, aż zadarł głowę, żeby przyjrzeć się temu kuriozum, przyznającemu się znieścacka do morderstwa, którego nie było.

- Co ty robisz, idioto? - syknęła Iwona.

- Ratuję cię! - Tadeusz z pomocą kuli przekatapultował się od drzwi do żony i wolną dłonią złapał ją za rękę. - Wybacz, kochanie, przepraszam, że zawiodłem, my sobie damy radę, nie martw się o ten romans, ja ci wybaczę i na pewno miałaś powód, ja wszystko rozumiem, wezmę winę na siebie, ty się do niczego nie przyznawaj!

- Nie było żadnego morderstwa! - ryknęła Iwona, aż w korytarzu echo poszło.

Sierzant podskoczył, prokurator tak się wyprostował, że walnął głową o ryj dzika, tylko podkomisarz i Anatola zachowali całkowity spokój.

- Dobrze, że psa już nie ma - westchnęła ciotka. - Tylko by się zestresował...

Borkowska ją zignorowała.

– Nie było żadnego morderstwa, a ja nie miałam i nie mam żadnego romansu! – powtórzyła, przy każdym słowie potrząsając ręką Tadeusza, jakby w ten sposób przekaz miał do niego lepiej trafić. – No już! – fuknęła na zgromadzonych. – Proszę potwierdzać.

– Nie było morderstwa i nie było romansu – posłusznie zaraportował Królewski.

– Nie było morderstwa i nie ujawniono żadnego romansu – dodał podkomisarz.

Wszyscy spojrzeli na prokuratora, zajętego rozmasowywaniem potylicy.

– Ja też muszę? No dobra. Morderstwa nie było, a o romansie się nie wypowiadam, bo to nie moja sprawa.

– No wie pan co – wysyczała Iwona, która bardziej przypominała w tym momencie wściekłą żmiję niż człowieka.

– A co oni tu w ogóle robią? – spytał Tadeusz. – Policjanci i prokurator. I jeszcze o morderstwach gadają.

– Zaprosiłam ich na kawę – wtrąciła się Anatola. – Trochę się w przedpokoju zastali, bo sam wiesz, że tu jest jak w muzeum.

– Co?

– Panów zatkało na widok kolekcji martwych zwierzątek twoich rodziców – wyjaśniła Iwona. – Mamy tak zarąbisty wystrój wnętrza, aż policja się zachwyca, bo dom jak u seryjnego mordercy na naszym wrocławskim Ołtaszynie to atrakcja, rozumiesz? Dobrze, że mnie nie aresztowali od razu, jak tu weszli...

– Z początku trochę kusiło – przyznał podkomisarz. – Ale panie były dwie i nie wiedzieliśmy, którą zgarniać, to zaczęliśmy od rozmowy.

– Pani Anatola była trochę na prowadzeniu jako podejrzana – dodał sierżant. – Przez ten rzut nożem podczas szarży, starszy posterunkowy był naprawdę pod wrażeniem.

– Ale... kolekcja taty...

Zacharczyk już się rozpromienił i Iwona dałaby sobie rękę uciąć, że zaraz spyta z tym swoim głupio pięknym uśmiechem, czy świętej pamięci Anatol Borkowski przypadkiem nie był seryjnym mordercą. Wtedy Tadeusz jak nic przyłoży mu kulą, zrobi się z tego afera i będzie jeszcze gorzej. A pani Mołdawska z naprzeciwka na pewno skorzysta z okazji, żeby puszczać plotki o zmarłych.

– Kolekcja taty się na wszystkich tak patrzy, że bażanta musiałam zabrać z kibla, bo ludzie dostawali zaburzeń urologicznych! – wypaliła.

– A... faktycznie, nie widziałem go, miałem spytać...

– Na tarasie stoi. Tyle razy ci mówiłam, że ten wystrój jest straszny, i proszę, dobrze, że panowie sprawnie ustalili, że nie było morderstwa, boby mnie aresztowali z powodu tego, co nam wisi na ścianach!

– Całkiem sprawnie ustalili – pochwaliła Anatola. – Oczywiście, jakby im poszło trochę szybciej, to byście mieli mniejszy rachunek za wodę...

– Nieistotne – wpadła jej w słowo Iwona. – Nie ma morderstwa, nie ma romansu, kawa jest. Panowie się napiją!

– Ten... morderstwo tak jakby jest – wtrącił się prokurator. – Bo my jesteśmy w drodze i koledzy właściwie tylko ten tłuczek i my jednak pójdziemy...

– Ale kawa – zaprotestował Zacharczyk. – Pani Anatola zrobiła...

– Pani Anatola nam wybaczy – oznajmił Domski.

Sierzanta nie musiał poganiać, Królewski już stał w drzwiach. Podkomisarz, wyraźnie przegłosowany, ze smętnym westchnieniem oddał ciotce kubek z kawą, uklonił się szarmancko i podążył za kolegami.

– Do zobaczenia – powiedział z uczuciem do Iwony, w ogóle niezrażony tym, że obok stoi jej co prawda okulały, ale jednak niemal dwumetrowy mąż. – Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, kto wie, może za sprawą pani Celiny... Może za sprawą pana Jana...

– Pan mi serio sugeruje, że jeśli facet mojej przyjaciółki ją wykończy, to przynajmniej będzie powód, żeby pan wpadł na kawkę? – wytknęła Iwona.

– Pani Iwono, skąd! A nawet jeśli, czymże jest taki drobny nietakt wśród przyjaciół...

– Pan prokurator ma rację, pan naprawdę już musi iść. Przystępczość rośnie, statystyki wykrywalności się nie poprawiają, jeśli zamiast jechać na miejsce zbrodni, będziecie nachodzić niewinne osoby i krytykować im wystrój wnętrz! Nie mówię do widzenia, ale mogę panom życzyć szerokiej drogi!

Prokurator wymruczał pod nosem coś jakby pożegnanie, a może nawet przeprosiny, i pospiesznie opuścił dom. Zacharczyk, wciąż wydymający smętnie usta, podążył za nim. Próbował ucałować Iwonę w rękę, ale rozsądnie odpuścił, gdy cofnęła się o krok. Spłoszony sierżant puścił kolegów przodem i odwrócił się jeszcze do Borkowskiej.

– Będzie skarga? – zgał.

– Będzie skarga – potwierdziła Iwona. – Celnie dam ją napisać, niech ma jakąś rozrywkę. Do widzenia.

Zamknęła za nimi drzwi, nabrała powietrza i odwróciła się do ciotki i męża, którzy wciąż stali w korytarzu.

– Tadeusz! Czemu ty stoisz, wracaj na kanapę i noga w górze! Ciotka ci obiad zrobiła, przecież zaraz wystygnie!

– Ale... – zaczął niepewnie Borkowski.

– Nie ma ale, rekonwalescencja to rekonwalescencja. Anatola ci przypilnuje, a ja idę pobiegać.

– Biegałaś rano... – powiedziała Anatola.

– Ale znowu muszę.

Rozdział 19

Borkowska była joggerką okazjonalną, ale dobrze wiedziała, że przesadziła i dobrowolnie skazała się na zakwasy. Jednak godzina stękania na świeżym powietrzu pozwoliła jej rozładować złość i rozważyć sytuację.

Właściwie gdyby bieganie w ramach ucieczki od stresów weszło jej w nawyk, to miała szanse wziąć w końcu udział w jakimś biegu i zdobyć fajny medal. Nie żeby od razu maraton, ale może pół? Niech jej się na coś przyda ten kryzys małżeńsko-życiowy!

Pośrednia przyczyna jej kryzysu właśnie wysiadła z auta zaparkowanego tuż przed skrzyżowaniem w Agregatową i stanęła wprost przed nadbiegającą Iwoną.

Angelika robiła wrażenie zdenerwowanej, uśmiechała się nieśmiało i trochę lękliwie, ale i tak, ku irytacji Borkowskiej, wyglądała świetnie.

Nie to co ona sama, zgrzana, spocona i w błękitnym dresie.

– Cześć – powiedziała niepewnie Konarska.

Iwona wzięła głęboki oddech i postanowiła być szlachetną, życzliwą osobą.

– Cześć. Tadeusz jest w środku...

Angelika aż się otrząsnęła.

– A weźże, nie przyjechałam do Tadeusza. W ogóle go nie chcę widzieć i serio, jeśli jeszcze kiedyś zadzwoni do mnie kumpel ze szkoły i powie, że koniecznie chce się ze mną zobaczyć, to telefon za okno wyrzucę. Dlatego tu zaparkowałam. Nie wiedziałam w ogóle, czy iść do was do domu... Chyba nie dałabym rady zadzwonić do drzwi. Chciałam się upewnić, że z tobą wszystko okej, i jeszcze raz przeprosić.

Iwonę na chwilę zatkało.

– Tego się nie spodziewałam – przyznała. – Ale jak tak, to dobra: nie masz mnie za co przepraszać, bo nic mi nie zrobiłaś. Mało tego, w całej tej

sytuacji byłaś zaskakująco w porządku. Nawalił Tadeusz. A czy ze mną wszystko okej... – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy wszystko i nie wiem, czy okej jest słowem, którego bym użyła, ale będzie dobrze. Jakie to będzie „dobrze”, to się dopiero okaże, ale mnie się uda. Mnie się zawsze udaje.

– To dobrze. – Angelika uśmiechnęła się, szeroko i szczerze. – Nie będę ci więcej głowy zawracać ani przypominać, że istnieję. Chciałam tylko zobaczyć, co z tobą, bo wczoraj... Zaskoczyłaś mnie tym, co powiedziałaś Tadekowi, i tym, co powiedziałaś o mnie. Przez chwilę myślałam, że mnie zbluzgasz, a tymczasem wsparłaś mnie bardziej niż laska, którą uważałam kiedyś za przyjaciółkę. Nie spodziewałam się tego. Trochę mi przywróciłaś wiarę w ludzi... a właściwie w inne kobiety.

– Siostrzeństwo górą – stwierdziła Iwona. – A tamtej byleż przyjaciółce najlepiej zajdź za skórę, żyjąc dobrze, po swojemu i bez niej.

– Dobra rada, ale ona niestety tego nie zobaczy. Utonęła wiosną w Odrze.

Borkowskiej zapaliły się w głowie lampki alarmowe.

– Czekaj... Znałaś Monikę Malinowską?

– Niestety. – Konarska się skrzywiła. – Ty też? Nie żebym jej życzyła takiego końca, ale nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że ktoś ją wykończył. Albo sama skoczyła, jak jej się życie posypało. We wszystko właściwie uwierzę, tylko nie w wypadek.

Iwona ze wszystkich sił zdusiła w sobie nagłą żądzę wiedzy. Nie mogła spłoszyć źródła informacji.

– Dlaczego? – spytała nonszalancko. – Mało ją kojarzyłam, ale z tego, co słyszałam, to ona miała wszystko poukładane, karierę, narzeczonego...

Angelika prychnęła.

– Jasne, w pozory to ona umiała. Moje szczęście, że się na niej poznałam na tyle wcześnie, że nie wyszłam z interesu stratna.

– Jak stratna? Na jej obrazach?

– A gdzie tam! Monika rozkręciła piramidę finansową, piramidkę właściwie. Próbowwała mnie w to wciągnąć, ale nie ze mną takie numery.

Nie powiem, dałam się parę razy w życiu na coś podobnego nabrać, tyle że poważnym graczom, a nie ślicznej dziuni, która próbowała twierdzić, że to wszystko firmuje jej narzeczony. Jak się rozstali, to wyszło szydło z worka, gość o niczym nie wiedział! Zresztą, co się dziwić, ona śmiała twierdzić, że mi pomogła rozkręcić biznes, i to wszystko dzięki jej doradztwu. Za przykład robiłam, wyobrażasz to sobie? Jakby żyła, to chyba bym ją pozwała...

Borkowskiej zawirowało w głowie. Jan Zbenda, fachowiec od finansów. Firmowanie nazwiskiem jakiegokolwiek przekrętu finansowego położyłoby kres jego wiarygodności jako eksperta, szkoleniowca, doradcy. Motywu im brakowało – i proszę bardzo, motyw jak w mordę strzelił!

– A ten narzeczony wiedział, że ona sobie nim gębę wyciera? – spytała podchwytliwie Iwona. – Może dlatego z nią zerwał?

Angelika wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wcześniej mi już zaczęły różne rzeczy nie grać i co najmniej od roku się już z nią nie zadawałam. Jeśli wiedział, tobym się nie zdziwiła, jakby sam ją utopił.

– Taaa... – powiedziała słabo Iwona. – Ludzie są czasem powaleni.

– I to jak – zgodziła się Angelika. – Pojadę już. Jeszcze raz przepraszam. I do niezobaczenia.

Iwona pomachała jej na pożegnanie, automatycznie, niczym robot. Czy policja w ogóle wiedziała, że Malinowska robiła przekręty? Czy może Zacharczyk tak się zafiksował na Janie, że to w ogóle pominął? A może właśnie dlatego się na nim zafiksował?

Może gdyby dopiero co nie wyrzuciła podkomisarza za drzwi, mogłaby go podpytać... Wróć, to by się tylko źle skończyło, znowu by się zaczęła czepiać, a Celina by jej zrobiła jesień średniowiecza...

Skręciła w Agregatową, weszła do domu i dopiero po dwóch krokach zorientowała się, że coś jest nie tak. Na miejscu zezowatego dzika ziała pustka, po zestresowanej sarence też nie było śladu...

Z salonu wykuśtykał Tadeusz. Jedną ręką wspierał się na kuli, drugą złapał najbliżej wiszące trofeum.

– Co ty robisz? – spytała Iwona.

– Będę to wszystko palił, kocie. Zaczniemy od nowa, zbudujemy nowe życie na zgliszczach! Myślałem, co zrobić, żeby ci udowodnić, że liczysz się tylko ty i to, co mamy, jest dla mnie najważniejsze, i w końcu mnie olśniło. Koniec z trzymaniem się przeszłości, nie będzie cię żadna policja podejrzewać o mordowanie tylko dlatego, że zostawiłem łby po tatusiu. Oglądałem z ciotką taki program i tam babka pytała, czy rzeczy sprawiają radość. Mnie, kocie, radość sprawiaasz tylko ty, a reszta jest bez sensu bez ciebie. Niech płoną!

Podpierając się kulą, przemieścił się z powrotem do salonu i przez otwarte drzwi francuskie wyszedł do ogrodu. Iwona otrząsnęła się i pobiegła za nim.

Na środku ogródka leżał stos wypchanych zwierząt, z bażantem toaletowym na szczycie. Tadeusz dorzucił tam zabranego z korytarza lisa i końcówką kuli upchnął go na miejscu.

Anatola siedziała obok, na krzeselku ogrodowym, i z zainteresowaniem obserwowała sytuację.

– Czy ciebie pogięło? – jęknęła Iwona.

– Nie, połamało – odpowiedział krótko Tadeusz. – Ten gość z fejsa miał rację, muszę się ogarnąć. Z każdej strony i zaczynam od domu!

– A możesz się ogarniać tak, żeby nam staż miejska nie wbijała z mandatem? To nie średniowiecze, nikt nie pali trucheł w ogródku!

– To co mam z nimi zrobić?

– A skąd mam wiedzieć? Wygooglaj? Zadzwoń do zakładu utylizacji? Do higieny komunalnej? Krematorium? Nie mam pojęcia!

– Ale jak to zabiorą do utylizacji, to nie będzie wielkiego gestu – zmartwił się Tadeusz.

– Co? – osłupiała Iwona. – Ja nie chcę żadnych wielkich gestów! Po cholere mi wielkie gesty? Chcę z powrotem naszą zwyczajną normalność. Tylko bez tych wypchańców, ich się możesz wielkim gestem pozbyć, tylko sam, bo ja teraz muszę zadzwonić do Celiny...

– Teraz? – oburzył się jej mąż. – Naprawiamy nasze małżeństwo, a ty koniecznie musisz dzwonić do przyjaciółki?

– Koniecznie teraz musisz małżeństwo naprawiać, w ogródku, ze stosem trupków na trawie, ciocią na krześle i panem Machajką przy płocie? – odparowała Iwona.

Faktycznie, sąsiad już coś pokrzykiwał przy furtce, wypytując, co się dzieje i grożąc wezwaniem policji, związku łowieckiego i CBA. Anatola wstała z krzeselka, zakasała rękawy i ruszyła dać mu odpór. Przy okazji puściła do Iwony oko, najwyraźniej całkiem zadowolona z obrotu spraw.

– Widzisz, ciocia i sąsiad się zneutralizują – wytknął Tadeusz.

– Ale stos truchel dalej leży i straszy... Ogarniaj, potem będziemy naprawiać, a teraz ja naprawę muszę zadzwonić do Celiny!

Borkowski całkiem niezłe opanował katapultowanie się za pomocą kuli, bo jednym susem znalazł się przy niej.

– Kocie... co się stało? – spytał poważnie.

Iwona naprawę planowała zachować pewne rzeczy wyłącznie dla siebie – lub też dla siebie i przyjaciółek – lecz z nadmiaru przeżyć coś w niej pękło.

– Ja z nią muszę o Janie porozmawiać! Mam nowe informacje o tej jego narzeczonej i jej śmierci! I teraz sama nie wiem, czy my go będziemy zaraz musiały mordować, czy stawać na głowie, żeby ukryć, że on to zrobił.

Po wyrazie twarzy Tadeusza zorientowała się, że chlapnęła za dużo, i już-już zastanawiała się, jak to odkręcić, gdy na oblicze jej męża wstąpiła nagle dzika determinacja.

– Cokolwiek będziesz chciała zrobić, ja ci w tym pomogę – obiecał solennie. – To będzie ten mój wielki gest! Uratujemy nasze małżeństwo!

Pochylił się, cmoknął ją siarczyście w czubek głowy i pokuśtykał rąco w stronę domu. Iwona miała nadzieję, że po to, by wyszukać w internecie sposób na legalne pozbycie się truchel z ogrodu...

Westchnęła ciężko. Musiała zadzwonić do Celiny i nie tylko przekazać jej wieści o Janie, lecz także o tym, że właśnie zyskały nowego,

entuzjastycznego wspólnika. A potem... Cóż, zapowiadał się pracowity wieczór. Tydzień. Miesiąc. Rok. Nie miała pojęcia, jak to wszystko ogarnie, pozostało tylko wierzyć, że jakoś jej się uda.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19